

Elizabeth McCracken

GROM
Z JASNEGO
NIEBA

i inne
opowiadania



Elizabeth McCracken

GROM
Z JASNEGO
NIEBA

i inne
opowiadania

PRZEŁOŻYŁA
Daria Kuczyńska-Szymala

 WYDAWNICTWO
KOBIECE

*Edwardowi
z każdego powodu*



Coś cudownego

Tuż na zachód od Bostonu, tuż na północ od autostrady, duch Missy Goodby śpi skulony pod drucianym płotem przy ślepej uliczce Winter Terrace, ubrany w parę ogrodniczek z ektoplazmy. Ten głuchy dźwięk to Missy stukająca plastikową halloweenową dynią o kolano; ten błysk światła w rogu ciemnego ganku to odbicie księżyca na okularach, które nosiła, żeby skorygować leniwe oko. Późnym wieczorem, gdy spacerujesz z psem i nagle zaczynasz czuć zimno, tracisz pewność siebie i nabierasz przekonania, że świat jest ci nieprzyjazny – to też Missy Goodby, sycząca tak, jak wtedy, gdy żyła i miała sześć lat: „Nienawidzę cię, cuchniesz, śmierdzisz, dzidzia”.

Dzieci z sąsiedztwa pamiętają Missy. Gryzła, gdy była zła, i szczypała bez powodu. Nie żał im jej ducha. Pamiętają pogrzeb, na który musieli iść, gdy umarła, pamiętają, jak jej matka rzuciła się na trumnę, zawodząc, pamiętają, jak pomyśleli, że żartuje, więc roześmiali się głośno, ale ich uciszono. W opowieści dzieciaków z okolicy trumnę opuszczono do ziemi, a rozpaczająca matka Missy Goodby zeskoczyła na dół i potem trzeba ją było wyciągać z grobu niczym chwast. Każdy w końcu wierzy w lepszą wersję jakiejś historii. Tak naprawdę Joyce Goodby tylko klepnęła trumnę podczas

pogrzebu. Klepnęła ją, dwa małe klapsy, nic poważnego. Wiedziała, że błaganiem nigdy nie zdoła córki do niczego skłonić, nie dlatego, że była martwa, tylko dlatego, że była uparta. Zawsze tak było, że im bardziej się Missy prosiło, tym większa była szansa, że zrobi coś okropnego. Joyce Goodby dała klapsa trumnie, odwróciła się i poszła, nasłuchując za sobą kroków. Przeszła całą drogę do domu, a tam zdjęła buty, czarne czółenka z przetartymi szarymi kamykami przy palcach. „Skończyłam z wami” – powiedziała im.

Dusza jest płynna, ulatnia się powoli. Ciało to wiadro i łatwo ją z niego wychłapać. Gdy jesteś smutny, przytłoczony, masz złamane serce albo jakąś obsesję, przyjaciele powiedzą ci, żebyś wyluzował. Ale tak naprawdę chcą, żebyś wyschnął. Lecz to nie jest kwestia woli. Pomóc mogą tylko czas i światło.

A zresztą po co?

Lepiej siedzieć w ciemnościach i pielęgnować wilgoć. Zasłonić okna, wyłączyć radio. Unikać gazet, telewizji, w ogóle przebywania na zewnątrz, każdego miejsca, w którym zbierają się małe dziewczynki, choć świat produkuje je w błyskawicznym tempie, choć wydaje się, że teraz żyje na świecie więcej małych dziewczynek niż jakichkolwiek innych ludzi. Albo mężczyzn w średnim wieku w źle dopasowanych spodniach, albo niemowlaków, albo młodych kobiet o szerokich, współczujących, zmarszczonych czołach. Kogokolwiek nie straciłeś, jest ich więcej, tylko że nie tych twoich. Kichnij. Poczuj swędzenie. Wciągnij gwałtownie powietrze. Zamknij okna. Wymień pościel, a potem materace. Wygrzeb rękę ze swoich zębów. Kup szczotki do szorowania powietrza.

Ale nawet wtedy zapach proszku do prania z prześcieradeł wpadnie ci do nozdrzy. Chili, które gotuje twój dobry syn, odwiedzi cię w sypialni. Pot

z jego ubrań, gdy wbiega do domu po lekcjach, odór z jego wielkich, krzykliwych butów, okropny zapach baterii włożonych do pilota od telewizora, spaliny samochodu, plastikowe włoski na twojej szczoteczce do zębów, słonawy smak sody oczyszczonej, gdy rezygnujesz z pasty. Uczyni swój dom tak bezpiecznym i szczelnym jak to możliwe. Filtruj powietrze, gotuj wodę: wysypka zostaje, świst się pogarsza.

To, na co jesteś uczulona, przechodzi przez ściany.

Dzieci z sąsiedztwa nie pamiętają, jak Joyce wyglądała dawniej, gdy regularnie przejeżdżała Winter Terrace; zapomniały jej kręconych czarnych włosów, kolczyków w kształcie księżycy i gwiazdki, aksamitnych legginsów. Minęło pięć lat. Teraz, gdy odcięła się od świata, wiedzą o niej wszystko. Nie obcina już ani nie farbuje swoich włosów w kolorze rtęci, tylko skręca je jak ręcznik i przypina do głowy. Papierowa maska na jej nosie i ustach sprawia, że oczy wydają się wielkie. Nosi ubrania z organicznej bawełny i lnu; jakiś wariat mógłby wręcz uznać je za jadalne. Ona i jej syn, Gerry, wyglądali podobnie, para piegowatych, serdecznych ludzi. Ale już nie. Jej piegi umarły z braku światła. Brwi ma gęste, a rzęsy cienkie. Wydaje się zrobiona z mydła i wełny stalowej.

Coś jest nie tak w tej okolicy, mówi swojemu synowi, przez to Missy zachorowała na chłoniaka i przez to ona sama czuje się źle.

Oczywiście, że jest czarownicą. Starsze dzieci mówią to młodszym, a te, które mieszkają przy ulicy – tym z za rogu. Wiedźma z Winter Terrace, tak ją nazywają, jakby była jakąś siedemnastowieczną legendą. Zjada dzieci. Zabija je. Zabiła swoją własną córkę milion lat temu.

Jakiś patykowaty chudzielec, który nawet nie jest z tej ulicy, opowiada Santosowi i Johnny'emu Mackersom o wiedźmie i o duchu. Mackersowie dopiero co wprowadzili się na Winter Terrace. Santos ma dziewięć lat,

kręcone włosy i dziwny akcent, bo od niemal dziesięciu lat cierpi na zespół przewlekłego spływania wydzieliny po tylnej ścianie gardła. Johnny to pięcioletni twardziel, prawdziwy postrach przedszkola, którego po kryjomu stworzył Santos. Santos kradnie ojcu papierosy i zapala je Johnny'emu. Nauczył Johnny'ego wszystkich przekleństw, jakie zna, nauczył go, jak się bić, wszystko to w nadziei, że ich matka będzie kochać Johnny'ego trochę mniej, a jego trochę więcej. Ale to nie działa. Już są znani na ulicy, na której stopa Johnny'ego Mackersa nigdy jeszcze nie powstała. Jeździ swoim trójkołowym rowerkiem wszędzie: w górę i w dół ulicy i w głąb przylegającego do domu garażu. Wjeżdża nim prosto w druciany płot.

– Jesteś pierdolonym wariatem – stwierdza Santos. – Pierdolonym wariatem. – On sam nie lubi tego słowa, ale inaczej Johnny się nie nauczy.

– Tam przy płocie jest Kraina Duchów – mówi z drugiej strony chuderlak. – Tam łapią się wszystkie duchy i właśnie dlatego nazywają to ślepym zaułkiem.

– Nieprawda – mówi Santos.

– Właśnie, że prawda – odpowiada chuderlak. – Duch zmarłej dziewczynki. A do tego jeszcze wiedźma. – Spluwa, żeby wyjść na twardziela, ale za mało ćwiczył: ślini się tylko, a potem zażenowany odchodzi.

Johnny Mackers jest smagły, ciemnowłosa i wygląda jak Włoch, podobnie jak ich matka; Santos odziedziczył irlandzki wygląd po ojcu. Lubi zamykać gdzieś Johnny'ego. Sprawdzał już wszystkie zamknięcia w ich nowym domu. Strych, piwnicę, szafę z lustrami w pokoju rodziców: każdy zamek brzmi inaczej, klucz, zasuwka, klamka, gałka, haczyk. Cieszy się z historii o duchu, bo będzie miał czym straszyć Johnny'ego. „Martwa dziewczynka chce cię pocałować. Już tu idzie. Zrób dzióbek”. Ale martwa dziewczynka nie jest zainteresowana i Johnny Mackers to wie. Dzieciaki

z okolicy kłamią, gdy mówią, że ją widzą. Martwa dziewczynka nie patrzy, jak Santos wpycha Johnny'ego do szafy w przedpokoju. Martwa dziewczynka nie widzi palców w szparze pod drzwiami ani stopy, która je depcze. Nie widzi, jak pani Mackers otwiera drzwi godzinę później i mówi: „Co ty tam robisz, na litość boską? Do szalu mnie doprowadzasz tym ciągłym chowaniem się. Lepiej idź pojeździć na rowerze. I to już”. Martwa dziewczynka nie śpi na zewnątrz, nigdy. Po co miałyby to robić? Jest ze swoją matką, która – sprzątając kuchnię (ma tak bystry wzrok, że widzi pojedyncze drobinki kurzu, pojedyncze bakterie przemykające po blacie) – słyszy przypominający ucieranie w moździerz dźwięk plastikowego koła zgrzytającego po kratce kanalizacyjnej, dźwięk, który z pewnością mógłby oznaczać coś więcej niż ponurego, czarnowłosego chłopca przejeżdżającego z jednego końca ulicy na drugi.

Inne dziecko mogłoby się zmienić w innego ducha, takiego, którego widzą tylko małe dzieci, takiego, który pomaga znaleźć zgubione piłki, takiego, który domaga się słodyczy. Mogłoby odwiedzać Johnny'ego Mackersa późnym wieczorem, gdy obmyśla plan, jak zabić swojego brata Santosa. Mogłoby nastraszyć samego Santosa. Mogłoby czegoś dokonać.

Ale ona woli wąchać skórę matki. Najlepsze miejsce na skórze Joyce to zagłębienie tuż pod kością policzkową i tuż nad kością szczęki: trzeba się zbliżyć, trzeba niemal wejść Joyce pod nos, żeby je znaleźć. Czasami Missy przeszkadza i tamuje matce oddech. Ale nie ma takiego zamiaru. Gryzące, szczypiące dziecko gryzie i szczypie, wzdłuż ramion matki, wzdłuż jej bladego brzucha.

– Zobacz – mówi Joyce do swojego syna i pokazuje mu swoje przedramiona, które są pokryte dziwnymi rozmazanymi sentencjami

wyrażonymi wysypką.

Gerry Goodby miał dwanaście lat, gdy umarła jego młodsza siostra. Teraz ma siedemnaście lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i gra w drużynie lacrosse. Obserwował, jak jego matka zamienia się z normalnej kobiety w jakąś nieskalaną warzywną substancję, bladą, chudą, świetlistą. „Co zamierzasz?” – pyta jego ojciec. Chodzi mu o college. Przez ostatnie pięć lat Gerry i ojciec odbywali w kółko tę samą rozmowę w dwóch wersjach na zmianę. „Chcę zamieszkać z tobą” – mówił Gerry, a jego ojciec odpowiadał: „Wiesz, że to niemożliwe, wiesz, że matka cię potrzebuje”. Albo ojciec stwierdzał: „To szaleństwo, ona jest szalona, przeprowadź się do mnie” a Gerry odpowiadał: „Wiesz, że to niemożliwe”.

To on zamknął pokój Missy. Rok po jej śmierci, gdy matka rzeziła, płakała i liniała na kanapie. Dała mu wskazówki. „Niczego nie dotykaj. Po prostu zamknij”. Przybił do framug matę ogrodową, a potem pomalował ją lateksową farbą. Matka czuła się lepiej przez niecały miesiąc.

Czasem zatrzymuje się na korytarzu i dotyka zapadniętej ściany w miejscu, gdzie były drzwi do pokoju Missy. Ma wrażenie, jakby był projekcją na ścianie i czekał na resztę filmu. „To nie do zniesienia” – myśli. Zawsze uważał, że to wyrażenie należące do świata dorosłych, jak „kredyt hipoteczny”.

Missy alergen, Missy trucizna. Jest w tym domu wszędzie, choćby ich matka nie wiadomo ile szorowała, zmiatała, czyściła i paliła. Jest w ceglach. W nowej pościeli, w ekologicznym płynie do czyszczenia. Wczepia się, unosi i pragnie – tak jak pragną duchy tak jak pragnie woda, i chce, czasem daremnie, a czasem nie – żeby ten dom nie był tak bardzo zamknięty. Unosi się codziennie do sufitu i zbiera tam, skapuje na dół, próbuje ponownie. Na zewnątrz jest świat czystej skóry, który czeka, by ją zapisała.

– Umarłabym bez ciebie – mówi pewnego ranka Joyce Goodby swojemu

synowi. On wie, że to prawda, tak samo jak wie, że jest jedyną osobą, którą to obchodzi. Czasem myśli, że to nie byłaby zła wymiana, śmierć matki za jego wolność. Każdy by zrozumiał. Ale teraz pora iść do szkoły. Nie umrze w trakcie lekcji; przynajmniej do tej pory nie umarła.

Po drugiej stronie ulicy Santos zamyka Johnny'ego Mackersa w starym kufrze na strychu, zamiast odprowadzić go do przedszkola. A potem, uwolniony, winny, postanawia sam pójść na wagary. Idzie na róg i wsiada do autobusu, który ma na czole wypisane: CENTRUM PRZEZ PIKE. Ma akurat tyle drobnych, żeby zapłacić za przejazd. Autobus jest pełen ludzi. Jakiś mężczyzna w szarej wiatrówce wstaje.

– Hej – mówi. – Usiądź sobie tutaj, chłopczyku. – Santos siada.

Świat toczy się dalej. I będzie się toczyć. W każdej chwili możesz wyjrzeć przez okno i spojrzeć na sąsiadów. Gruba para, która mieszka obok, kłóci się, a potem przytula się na misia. Nastoletni chłopcy grają w koszykówkę bez koszulek. Starsza pani z domu obok czeka na pielęgniarkę; jej posokowiec drzemie na słońcu jak jakaś celebrytka, z łapą na nosie. Masz ochotę schować swoje pięści pod te stare, dobre, wielkie psie uszy, płowe i rozgrzane słońcem. Chcesz pocieszyć starszą panią, podrażnić się z grubą parą, popatrzeć – tylko popatrzeć – na tych półnagich, beztroskich chłopców. „Musisz wyjść z domu” – twierdzi twoja rodzina. „Już pora. Pora powrócić do świata”. Ale ty nigdy tego świata nie opuściłaś. Jesteś przepelniona czułością, troską o każdą żyjącą istotę, ale nic nie możesz zrobić – ani dla sąsiadów z naprzeciwka, ani dla ludzi przy sąsiedniej ulicy, ani tych za rogiem, ani jadących autostradą dwie przecznice stąd, ani tych w mieście, ani w całym kraju, ani w całym świecie, na zachodzie, na wschodzie, na północy i na południu. Jesteś tak pechowa, że nie chcesz się nawet otrzeć o kogoś, kto nie jest.

Nie pójdziesz na spotkanie żadnej grupy. Nie zaczniesz czytać książki. Nie interesują cię cudze historie, nie gdy twoja własna historia zajmuje ci cały czas. Kiedy nadeszła tragedia, przyjaciele mówili: „To takie smutne. Co za straszliwy pech” – i widać było, że w to wierzą. Co się zmieniło? Jesteś tak samo smutna i nieszczęśliwa, jak wtedy, gdy to się stało. To nadal jest takie smutne. To nadal jest straszliwy pech.

Martwi żyją dalej w najzwyczajniejszy sposób. Widnieją w książkach telefonicznych. Dostają pocztę. Ich peruki tkwią na plastikowych głowach z tyłu szafy. Łóżka mają pościelone. A ich buty wszędzie się walają.

Farba na drzwiach wciąż się lepi. Głupio nawet tu być. Joyce zarzeka się, że czuje przez matę zapach ognioodpornej deski zagłówek łóżka, pachnących naklejek na biurku, starego błyszczyka do ust, płynu do kąpieli w buteleczkach w kształcie zwierzątek ustawionych na komodzie, niewymienionego materaca, kurzu. Sukienki z Bloomingdale’s, która była jej, ale potem Missy, z materiału w drobne paseczki. Meksykańskiej skaczącej fasoli kupionej w sklepie z gadżetami dla żartownisiów jeszcze przed diagnozą, cztery małe ciemne ziarenka w plastikowym woreczku z przezroczystą górą i niebieskim dołem, który zamyka się jak starodawne portmonetki. Ogrzewało się je w dłoni, a one budziły się, zaczynały wiercić i podskakiwać: robaki, które w nich mieszkały, spały w zimnie, ale objęły się o ścianki, gdy temperatura rosła.

– Robaki? – zapytała wtedy Missy. Cały jej nos pokrywała koronka piegów, różowych na obwódkach. – A jak się je karmi?

– Nie karmi się – powiedziała Joyce.

– W takim razie umrą z głodu!

Joyce naprędce wymyśliła historyjkę: robak nie jest robakiem, tylko duszą. Jest jej dobrze tam, gdzie przebywa, jest wieczna, a gdy fasolka

przestaje się ruszać, to znaczy tylko, że dusza przeniosła się, żeby poszukać sobie innego domu.

– Z powrotem do Meksyku? – zapytała Missy, a Joyce odpowiedziała:

– Pewnie, czemu nie.

(Kto wie? Może to dlatego te robaki budzą się, jak jest ciepło – myślą sobie: „Nareszcie jesteśmy z powrotem w domu w Oaxaca”). Wtedy reinkarnacja była niosącą pociechę bajeczką. W bajkach ludzie zawsze rodzą się ponownie jako zwierzęta, żaby, wędrowne łabędzie.

A teraz Joyce czuje, że świat zdrzął, i myśli: „Meksykańska skacząca fasola”. Nie potrafi się zdecydować, czy dom jest fasolką, a ona robakiem, czy też fasolką jest jej ciało, a robakiem jej dusza.

Ani to, ani to: ktoś otworzył zewnętrzne drzwi na werandzie i głośno je za sobą zatrzaskał. I wtedy rozległ się dzwonek.

Johnny Mackers uciekł. Kopniakami wyswobodził się z kufra, z którym jego prababka przyплыnęła kiedyś z Irlandii, nadal pełnego serwetek i obrusów, które wydawały jej się niezbędne w nowym życiu. Opowiedziała kiedyś Johnny’emu historię o małpie należącej do bogatej rodziny, dla której pracowała, i chociaż wiedział, że ta małpa umarła w domu tamtej bogatej rodziny, był przekonany, że kufer cuchnie małpą, a także elementem każdej historii, którą opowiedziała mu prababcia: whisky, naftą, pożarami domów, poparzoną dziecięcą rączką smarowaną masłem, końskim potem, cytrynowymi drażetkami, wewnętrzną stroną drewnianej sztucznej szczęki. Okazało się, że kufer zrobiony jest z kartonu obłożonego spróchniałą dębinią i tanią cyną. Kopiąc, rozbił jedną ściankę na kawałki i wyczołgał się na zewnątrz. Zdemolowany kufer przeraził go. Wyglądało to tak, jakby skopał swoją własną prababkę, zanim zdołała wsiąść na statek, popłynąć do Bostonu, spotkać w parku rozrywki swojego przyszłego męża i mieć z nim

dzieci.

Dzwoni do drzwi raz i drugi. W zeszłym roku w starej okolicy pomagał Santosowi sprzedawać miętówki na zbiórkę dobroczynną; trzeba zadzwonić, policzyć powoli do dziesięciu i zadzwonić jeszcze tylko jeden raz. Liczy do dziesięciu, ale szybko, więc powtarza liczenie raz za razem. Żeby powstrzymać się od ciągłego dzwonienia, wodzi palcem po wygrawerowanym przy dzwonku napisie. Nie wie, co znaczy „akwizytor” i że sam nim jest. Powietrze na werandzie jest duszne. Szybko je przełyka. Drzwi domu się otwierają.

– Proszę pani – mówi – chce pani kupić kamień?

Kamienie w ręku Johnny’ego Mackersa są delikatnie porysowane kredkami. Znalazł je tydzień temu, gdy był z ojcem na plaży Revere: tam były obmyte wodą i sprawiały wrażenie antycznych i cennych. Jak wyschły, okazały się szare i po prostu stare. Kobieta, która otworzyła drzwi, to oczywiście wiedźma, matka zmarłej dziewczynki. Przyszedł do niej jako pierwszej ze wszystkich sąsiadów, bo może potrafi spełniać życzenia, a Johnny jedno życzenie ma. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, poprosi: chciałby, żeby jego brat umarł. Jest najczystsą osobą, jaką kiedykolwiek widział, a mimo to nie do końca białą. Wszystko w niej jest jakies rozmazane, jak ziemia pod powierzchnią lodowiska do hokeja.

Zrobi dla niej wszystko. To też od razu wie. Tak trzeba, jeśli się chce, żeby życzenie się spełniło.

Chłopiec ma pajęczyny we włosach, ale ona tego nie czuje. Nie czuje dymu papierosowego ani niteczek z wykładziny, ani oblepiającego go osadu typowych imigranckich rozczarowań z kufra, ani rdzawego rozcięcia na kostce, które powinno zostać opatrzone. Czuje tylko pot małego dziecka z odrobiną słodkiego, mdłego sosu pomidorowego. Keczup, a może spaghetti z puszki.

– Wejź – mówi. – Poszukam portfela.

Gdy chłopiec jest już w środku, nie wie, co robić. Sadza go przy kuchennym stole i proponuje talerz domowych ciasteczek piegusków. Zjada jedno. Wolałby coś czekoladowego i ze sklepu, ale jego matka lubi takie ciastka, pełne ziaren sezamu, a on wie, że jedzenie ich to dobry uczynek. Jednym palcem wyciąga mu pajęczynę z włosów. Chłopiec sięga po kolejne ciasteczko i pociera policzek wierzchem dłoni.

– Przydałaby ci się kąpiel – mówi.

– Okej – odpowiada.

Zaraz, Joyce. Nie możesz tak sobie wykąpać cudzego dziecka. Nie możesz zaprosić do domu nieznanego chłopca, zabrać go na górę i powiedzieć: „Hop siup. Ściągaj ubranie. I do wanny”.

Łazienka jest żółto-różowa. Johnny Mackers przypuszcza, że jego niespodziewane posłuszeństwo to jakiś rodzaj higienicznego uroku. Nigdy nie staje taki nagi przed swoją matką: jego mama lubi go podszczypywać. „Tylko troszkę!” – mówi i szczypie go w kolano albo w brzuch, albo gdziekolwiek. Santos ma rację, ich matka bardziej kocha jego. A jego niechęć do całusów i przytulania sprawia, że tylko szczypie i łaskocze, niczym podstępny złodziej. „Tylko ty, ty!” – mówi, gdy widzi jakąkolwiek część jego ciała, którą można uszczypnąć.

– Bąbelki? – pyta Joyce, a on kiwa głową. Ale nie ma płynu do kąpieli. Więc wlewa do wanny całą butelkę szamponu.

A więc to prawda, co mówią dzieci z sąsiedztwa. Ona naprawdę porywa dzieci.

Nie jest obrzezany. Wygląda jak włoska rzeźba ze snu, kolorowe putto z kąta kościoła. Wanna jest pordzewiała, różowa, ma przesuwaną szybę, która wygląda tak, jakby składała się z miliona odcisków palców. Bąbelki unoszą się wkrótce niczym pieniste ramiona, którymi ktoś wzrusza,

rozdzielone tam, gdzie wlewa się woda z kranu.

Migdałowe mydło jest popękane jak stary ząb. Chłopiec wchodzi do wanny.

– Ostrożnie – mówi Joyce, gdy chwyta się prowadnicy szklanych drzwi. Kiedy Missy się urodziła, Joyce poczuła ulgę: kochała męża i syna, ale uważała, że z dziewczynką jest inaczej. Może miało to naukowe podstawy, jakby nowiutkie dziewczęce organy przemawiały do jej autorskich narządów, przekazując informacje niczym radio. Obcego małego chłopca łatwiej pokochać niż obcą małą dziewczynkę. Woda spływająca po brudnych włosach odsłania jego uszy, ich rozmiar i kąt. Namydla je i myśli o Missy w wannie, pięknych, długich włosach spiętych w węzeł na karku, dużych uszach, półkolistym miejscu, w którym przylegają do głowy. O łuku u podstawy jej czaszki.

– Masz bardzo małe uszy – mówi Joyce.

– Wiem – odpowiada chłopiec.

Namydla mu łopatki, które przesuwają się pod ciemną skórą, i jest zdumiona, widząc, że jest cały, dobrze odżywiony, może nawet bardzo kochany.

(Oczywiście, że tak. Nawet w tym momencie jego matka woła jego imię na sąsiedniej ulicy. Zaraz zadzwoni na policję).

– Jak masz na imię? – pyta Joyce.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

– Nie wiesz, jak masz na imię?

Ponownie wzrusza ramionami. Patrzy na swoje wypełnione pianą dłonie. A potem mówi:

– Johnny.

– A nazwisko?

– Lion – odpowiada. Schyla twarz ku pokrytej pianą wodzie, wkłada do niej głowę i robi bąbelki.

Gdy się wynurza, ona mówi z uśmiechem:

– Masz brudne ubrania. Musisz się przebrać w czyste. Gdzie byłeś?

– W kufrze.

– W kufrze?

– W takiej starej walizce – odpowiada. Wali w szklane drzwi od prysznicza, bo nudzą go te pytania.

Jest już po lekcjach. Pani Mackers, sprytna podszcypywaczka, jest już z powrotem na Winter Terrace, rozpytując dzieciaki z okolicy, czy nie widziały Johnny’ego, małego chłopca, małego chłopca na trójkołowym rowerku. Nie wie też, gdzie jest Santos, ale Santos jest wystarczająco duży, żeby o siebie zadbać (choć tu się myli – Santos jest w tym momencie w okropnych tarapatkach, oddalony o wiele mil właśnie ją przywołuje). Ostatni nastolatek, którego pyta, jest tak piegowaty, że aż jej go żal – moment przerwy w panice.

Nie, Gerry Goodby nie widział małego chłopca.

Patrzy w okno Missy; zawsze w nie spogląda, gdy wraca do domu, z kijem od lacrosse zarzuconym na ramię niczym strzelba. Nie pomyślał, żeby zaciągnąć rolety na sam dół, zanim zamknął jej pokój, i ciągle go to martwi. Widać krawędź komody, która zachodzi na okno, pociemniałą tęczową naklejkę i sam czubek pyska wielkiego konia na biegunach o imieniu Blaze, który umiał powiedzieć sześć różnych zdań, jak się go pociągnęło za sznurek na szyi. Blaze był najpierw koniem Gerry’ego. Wydawało się niesprawiedliwe, że musiał tak zniknąć. Gerry wie, że pewnego dnia będą zmuszeni sprzedać ten dom, a nowi właściciele odkryją grobowiec sześćioletniej faraonki. Zupełnie jakby zamurowali Missy, zamiast

pochować ją na cmentarzu, jakby – niczym w historiach o duchach – miał pewnego dnia ujrzeć jej twarz patrzącą na niego z okna i wołającą bezgłośnie: „Dlaczego?”. Gerry – w myślach – zawsze odpowiadał: „To nie twoja wina, nie miałaś pojęcia, jaka jesteś groźna”.

Ale tym razem widzi, jak w oknie coś się pojawia, a potem znika, a potem znowu się pojawia: bujany koń ukazuje swój profil, to samo wyrzeźbione w drewnie oko raz po raz.

I nie tylko to: drzwi wejściowe są otwarte.

Mata została rozcięta od góry do dołu. Za nią widać stare drzwi z mosiężną gałką, wciąż jaśniejące po tych wszystkich latach w ciemności. Za drzwiami jest pokój Missy.

– Hej – mówi jego matka. Siedzi na łóżku, gładząc parę jasnożółtych ogrodniczek, które leżą na jej kolanach. Obok rozłożony jest cały zestaw: majteczki marki Lollipop, o których Missy ułożyła kiedyś piosenkę, granatowy golf, podkoszulek z malutką różyczką z przodu. Cały pokój jest w kurzu. To dziwny rodzaj kurzu, sadza i stary dom, nie ma w nim nic ludzkiego. Ale i tak w porównaniu z resztą domu ten pokój to kraina Oz. Kołdra w różową kratkę. Ściany różowe z ciemnoróżowym dekoracyjnym paskiem. Lalki wszelkiej narodowości ułożone wzdłuż ściany, jakby dopiero co wydobyto je z gruzów po trzęsieniu ziemi. Szorstkość poliestrowych poszewek czuć samym wzrokiem. Głęboko wciąga powietrze. Nie pozostał nawet ślad owocowego zapachu Missy.

Lecz jego matka jakby tego nie zauważyła. Na jej policzki wystąpiły rumieńce – słyszał to wyrażenie, ale nigdy tego nie widział.

– Zobacz – mówi i wskazuje ręką.

Chłopiec. Wpadł przez komin albo jest zabawką Missy, która ożyła. Jak inaczej wyjaśnić jego obecność tutaj: brązowego, nagiego, tuż obok bujanego

konia, z którego właśnie zszedł, z szarym ręcznikiem na głowie. Dwoma rękami ciągnie sznurek, który uruchamia głos Blaze'a, ale Blaze miał udar i nie może mówić, jęczy tylko przepraszająco, zanim chłopiec przerwie mu kolejnym pociągnięciem. Przez na wpół zaciągnięte rolety policyjne światła barwią Winter Terrace: na niebiesko, mniej niebiesko, znowu bardziej niebiesko.

Na zewnątrz dzieciaki z sąsiedztwa siedzą na krawężniku, ze stopami na ulicy, czekając, aż policja każe im się rozejść. Nie ma tego małego, co pali, tego, który tak lubi przeklinać. Dzieci układają swoją historię. „Kiedy ostatni raz go pani widziała?” – pyta policjant, ale prawda jest taka, że kobieta, która jeszcze nie płacze, odzyska swojego syna. To znaczy odzyska jednego ze swoich synów: ten, którego jeszcze jej nie brakuje, zniknie na dobre, na zawsze, i do jutra rana stanie się ulubieńcem matki, a do jutrzejszego popołudnia policja wypyta o niego każdego mieszkańca ulicy, a dzieci z okolicy będą udawać, że pamiętają Santosa, choć nawet nie kojarzą jego imienia. On też przejdzie do legendy.

W pokoju Missy Goodby Gerry słucha matki: patrzy na małego chłopca. Zastanawia się, jak przemyścić go z powrotem do domu. Zastanawia się, jak zatrzymać go na zawsze.



Dom

Ogłoszenie powinno było brzmieć: *Do wynajęcia nora z sześcioma pomieszczeniami, butelka syropu klonowego Mrs. Butterworth's w salonie, zapiaszczone prześcieradła, utrzymujący się zaduch.*

Albo: *Poszukiwany naiwny najemca małego domu, niezbędne zamiłowanie do obtłuczonego fajansu, reprodukcji abstrakcjonistów z lat sześćdziesiątych i poobgryzanych przez myszy książek o Georgii O'Keeffe.*

Albo: *Rudera dostępna od czerwca.*

Tymczasem ogłoszenie na stronie internetowej college'u określało dom pod numerem 55 przy Bayberry Street jako stary, z charakterem, słoneczny, umeblowany, uroczy, przy cichej uliczce tuż obok uczelni i niedaleko od oceanu. Duży ganek; osobne studio. Idealny dla młodego małżeństwa, takiego jak Stony Badower i Pamela Graff, on – trzydziestodziewięcioletek, rudy, łagodny, z długimi kończynami i dużym nosem, rzadki okaz, możliwe, że wymarły gatunek; ona – jasnowłosa Niemka, delikatna, uczuciowa i porywcza. Wyglądała jak pucołowata łobuziara z niemieckiej książki dla dzieci, która właśnie obciąła sobie warkocze nożem i rozglądała się, do czego jeszcze można by go użyć. Miała taki wyraz twarzy, jakby prosiła się o nauczkę. Jak wiele uczuciowych osób, nie potrafiła dogadać się

z członkami własnej rodziny. Stony nie miał okazji ich poznać.

– Ameryka – powiedziała tego miesiąca. – W porządku. Twoja kolej. Pokaż mi Amerykę.

Przez trzy lata narzeczeństwa i małżeństwa przeprowadzali się co kilka miesięcy. Berlin, Paryż, Galway, okolice Odense, okolice Edynburga, Rzym, a teraz mieszkali w przerobionej na dom kamiennej stodole w Normandii, która w zimne dni cuchnęła krowimi plackami, a w gorące zgubionymi przez dzieci turystów kredkami. Wkrótce będzie lato, a stodoła zrobi się koszmarne droga i pełna Anglików. Nadeszła pora na Maine, gdzie Stony miał rozpocząć dwuletni kontrakt polegający na skatalogowaniu zbioru podziemnych publikacji z lat sześćdziesiątych: druki na papierze ryżowym, patyczkach od lodów i serwetkach. Teraz wypadła jego kolej, by poszukać kolejnego miejsca do życia.

– Rozpakujemy moje rzeczy z przechowalni – oznajmił. – Trochę ich mam.

– Tak, kochanie – powiedziała. – Ja też.

– Ty masz torbę na ramię. I ubrania. I solniczkę w kształcie kaczkę z odłamanym dziobem.

Zagadała pretensjonalnie, dumna i szczęśliwa z posiadania powleczonej metalicznym szkliwem kaczkę o imieniu Trudy. „Jedyny eksponat w muzeum. Jak umrę, ludzie nic nie będą o mnie wiedzieć”. To była opinia specjalisty. Była kustoszem muzealnym. W Normandii pomagała zorganizować wystawę w kamiennym domu, który należał do żydowskiej rodziny deportowanej podczas wojny. W Paryżu – atelier pomniejszego artysty, który przez wiele lat był kochankiem znanej poetki; w Danii – muzeum w dawnym przytułku. Jej specjalnością była atmosfera niedawnego odejścia: wiadomo było od razu, że z mieszkańcami stało się coś strasznego, ale wciąż miało się nadzieję, że to da się jeszcze odwrócić. Kładła stare

okulary na biurku, wsuwała odpowiednie buty pod łóżka i nie pozwalała odkurzać. Zbyt czyste miejsca są martwe. W Rzymie stworzyła wystawę z przedmiotów osobistych Ezry Pounda: obgryzionych ołówków, szklanek, kości do gry, książek z oślimi uszami. Tylko ulotka napomykała o znamienitości. W muzeum Hansa Christiana Andersena w Odense, gdzie znaleźli się jako zwykli turyści, roztkliwiała się nad górną częścią protezy dentystrycznej Andersena i długością sznura, który woził ze sobą na wypadek pożaru w hotelu.

– Więcej można wywnioskować ze sztucznej szczęki niż ze stosu pamiątek – powiedziała wtedy. – Szczęki nie kłamią. – Ona sama wyrzucała wszystko. Nie chciała, żeby ktokolwiek wystawił choćby najdrobniejszą jej część.

Stony oznajmił z powagą:

– Nie chcę już nigdy pić ze szklanek z Ikei. Ani spać na prześcieradłach z Ikei. Ani – co najistotniejsze – smażyć na patelniach z Ikei. Twój mąż jest posiadaczem naprawdę drogich patelni. Co ty na to?

– Jestem pod wrażeniem, a ty jesteś burżujem.

– Wynajem na rok – odparł.

– Przeróżające – odpowiedziała Pamela, uśmiechając się swoimi pięknymi, krzywymi, nieamerykańskimi zębami, a potem dodała: – Może będzie nas stać na dziecko.

Wtedy jeszcze żyła, mimochodem. Za dwa miesiące będzie według lekarzy żyć cudem, a później będzie żyć w zasadniczo stałym stanie przejściowym. Czy też zupełnie niestałym: będzie żyć technicznie. Teraz paradowała wokół stodoły w biustonoszu, jak zwykle trochę za małym, i w majtkach, jak zwykle trochę za dużych, chociaż była kobietą o małych piersiach i dużej pupie. Okulary w czerwonych oprawkach ledwo się trzymały. „Mam chude uszy” – zawsze powtarzała. I między innymi dlatego

do siebie pasowali: byli ludźmi z pchlego targu, złożonymi z dziwnych elementów. Ona utykała. Utykało się nawet, wymawiając jej imię, bo akcent padał na drugą sylabę. Przez pierwszy miesiąc znajomości był przekonany, że ma na imię Camilla i nigdy nie nauczył się wypowiadać jej imienia na głos bez powtórzenia go najpierw w myślach: „pa-MILL-a, pa-MILL-a”, podobnie jak przed zbudowaniem zdania po niemiecku musiał w pierwszej kolejności zebrać słówka i odpowiednio rozłożyć czasowniki. Tak naprawdę robił to samo ze zdaniami w języku angielskim, gdy rozmawiał z Pamelą, kiedy jeszcze żyła.

Napisał maila do kobiety, która wystawiła dom na wynajem – nie była właścicielką, tylko reprezentowała właścicieli – i po miesiącu wyklócania się (nie przysłała obiecanych zdjęć; był trzeci w kolejce, po watasze studentów oraz gromadzie chętnych letników; gdyby właściciele wynajęli dom na lato, zarobiliby o wiele więcej pieniędzy) zdołał namówić ją na roczny wynajem, począwszy od 1 czerwca.

Utykanie, jak się okazało, było skutkiem udaru, którego Pamela doznała tuż pod dwudziestce i o którym nigdy mu nie wspomniała. Kolejny dosięgnął ją w normandzkim gospodarstwie dwa tygodnie przed wyprowadzką; upadając, uderzyła głową o metalowy regał z Ikei. Francuski Stony’ego był na tyle dobry, że potrafił zapytać lekarzy, jak bardzo jest źle, ale nie na tyle dobry, żeby mógł zrozumieć odpowiedź. To Pamela mówiła w obcych językach; on gotował obiady; a ona oznajmiała, że są pyszne. W szpitalu jej język był bezrobotny, leżał opuchnięty w ustach, a ją karmiono przez rurkę. Ktoś założył jej okulary, żeby bardziej przypominała siebie. Pielęgniarka przychodziła co godzinę, żeby je poprawić. Robili to tak, jakby te okulary były dziełem sztuki, a cała Pamela ścianą w galerii – płasko ułożone, delikatne dłonie, obawiające się siły grawitacji. On siedział na plastikowym zielonym krzeselku i przysypiał. Pewnej nocy obudził się, gdy była tam

ostatnia pielęgniarka, która poprawiła okulary, a potem zmieniła pościel. Odwróciła się do Stony'ego. Ostatni strzępek francuskiego, jaki mu został, wyciekł dołem jego brzucha.

– Nie? – zapytał.

Pielęgniarka przypominała małego brązowego królika. Nawet usta miała brązowe. Zachwiała się na boki, jakby nie mogła się zdecydować, czy lepiej, żeby szalony mąż złapał ją i zjadł od razu, czy też powinien ją najpierw trochę pogonić. A potem wzruszyła ramionami.

Gdy ktoś umiera, nie wolno wzruszać ramionami. Wrócił na farmę, żeby spakować rzeczy. Najpierw swoją walizkę, ogromną, z zielonego nylonu, z marudnymi, zacinającymi się suwakami. A potem Pameli, beżową, na ramię, podłużną i poprzesywaną paskami niczym kratownica z połowy XIX wieku. Musiał opuścić Francję jak najszybciej. Wepchnął do torby za małe biustonosze i za duże majtki, jej ulubione mokasyny z czarnej, popękanej lakierowanej skóry, stos haftowanych chusteczek. On sam potrzebował walizki, torby na komputer i mnóstwa plastikowych worków, żeby przenieść się z miejsca na miejsce, zbierał pamiątki jak wpisy o szczepieniach, ale wszystkie rzeczy Pameli mieściły się w żeglarskiej torbie. Nie udało mu się znaleźć kaczk; pamiętał słowa przemielej, wyznającej buddyzm gospodyni z Edynburga, gdy przeproszał za zniszczenie dużej włoskiej misy malowanej w śliwki: „Mamy takie powiedzenie: I tak już było pęknięte”. Do dziś nie był pewien, czy „my” oznaczało buddystów, czy Szkotów. Zostawił gospodyni liścik w sprawie kaczk, ale oczywiście utrata kaczk go nie zniszczy.

Torba ważyła tyle co kamienie w kieszeni samobójcy. Stony wysłał maila do swojego nowego szefa, dobrodusznego archiwisty, i zapytał, czy mógłby załatwić za niego sprawę z domem – on przyjedzie, z pewnością przyjedzie, ale na jesień. *Moja żona nie żyje* – napisał nieprzyjemną, klarowną angielszczyzną. Płakał już, wiele godzin, ale nagle zrozumiał, co go dopiero

czeka – okres życia bez ironicznego śmiechu czy radości. Wsadził torbę do szafy, żeby zajęła się nią francuska gospodyni. Popioły z kostnicy wróciły w urnie, razem z certyfikatem wyjaśniającym, czym są, do okazania celnikom. Zabrał je ze sobą do Anglii, dokąd pojechał na lato, żeby pić.

Niewłaścicielka domu była niską, lekko pomarszczoną kobietą z blond kucykiem, w czapce baseballowej i w błyszczącym, szeleszczącym czarnym dresie, wyraźnie sugerującym, że gdzieś tam jest mąż ubrany w identyczny strój. Pomachała do niego z nieszczególnie dużego ganku. W ostatnich miesiącach słała mu radosne maile o szykowaniu dla niego ślicznego domku, przewozie mebli, urządzeniu kuchni, co sprowadzało się właściwie do jednego pytania: na co ty człowieku wydawałeś kasę przez całe życie?

Książki, dzieła sztuki, przybory kuchenne. Och, jeszcze kolekcja oryginalnych, za to bezużytecznych stolików. I to wszystko. Czy upchną jakoś stoliki, książki, garnki, patelnie, obrazy? Oczywiście – odpisała. Wybrał ten dom, bo nie był do końca umeblowany: nawet wcześniej – wymawiał to słowo teraz jako spondej, akcentując obie sylaby – zamierzał połączyć się na nowo ze swoimi książkami, dziełami sztuki, talerzami, biurkiem lekarskim, stołem obiadowym, przeróżnymi szafkami na fiszki, bocznym stolikiem zrobionym ze starej skrzynki po serze. Nie chciał żyć pośród cudzego życia, a domy na wynajem zwykle są w pełni umeblowane. Człowiek czuł się jak nastolatek, którego obciążono zbyt dużą odpowiedzialnością. Z rodzicami krzywiącymi się na samo przestawienie mebli, na samo ułożenie łopatek w kuchennej szufladzie.

To nie był dom w stylu wiktoriańskim, jak z jakichś powodów zakładał, ale zwykły dom z drewna pomalowany na błękit przypominający pastę do zębów. Zdumiewające, jak śmierć zamienia drobne rozczarowania w niemal teatralne zniewagi.

– Halo! – Kobieta pośpieszyła w jego kierunku. – Jestem Carly. No, to pan jest. Nareszcie! Wydaje mi się, że wieki minęły, odkąd zaczęliśmy rozmawiać o tym domu!

Ganek się łuszczył i był cały obstawiony krzeselkami turystycznymi.

– Cieszę się, że udało się znaleźć letników – powiedział Stony.

Carly pokiwała głową.

– Tak. Ostatni wyprowadził się dziś rano.

– Ach – dodał Stony, choć omawiali to w mailach w zeszłym tygodniu. Przez swój uprzejmy sposób bycia, jako wiecznego najemcy, niepotrzebnie sugerował pomocne rozwiązania i powiedział, że przyjedzie czwartego, zamiast trzeciego, żeby miała więcej czasu na zorganizowanie sprzątania.

– To salon – powiedziała. Poszedł za nią. Drobna, szeleszcząca Carly, z włosami przykrytymi chłopięcą czapką. Poczuli się jak zbliżający się do emerytury chart prowadzony przez dżokeja: wielki nos, krowie oczy, starający się zachowywać grzecznie pomimo całego rozedrgania. Może skończyć na farmie albo zginąć, w zależności od tego, gdzie ona skręci.

Nie dżokej, oczywiście, w charcich wyścigach nie ma dżokejów.

– Kominek – powiedziała Carly. – Kabłówka wciąż jest podłączona. Może dopisze panu szczęście i się nie zorientują. – Nastolatek o pełnej szczęce siedział na skórzanej pufie z podręczną konsolą do gier i marszczył brwi nad ekranem niczym rzymski cesarz zirytowany wybrednością swoich lwów. – Ładny pokój. Takie stare domy to domy z duszą. A ten – uwierzy pan? – został zbudowany z elementów z Sears, Roebuck & Co. Wybierało się z katalogu, dostarczali i montowali.

Niemal usłyszał głos Pameli: „To nie jest stary dom”. Stodoła w Normandii była z osiemnastego wieku, a mieszkanie w Rzymie jeszcze starsze. Ściany pokrywały ręcznie zbite półki na książki, wypełnione wydaniem w miękkich okładkach: Ionesco, pełen zestaw Rothów:

Henry'ego, Philipa, Josepha.

– Kominek działa?

– Był jakiś incydent z wiewiórką – odparła mętnie Carly. Przemknęła przez drzwi. – Jadalnia. Zgodnie z warunkami umowy, jak pan na pewno pamięta, narożny kredens ma pozostać zamknięty. – Rzeczony kredens wypełniony był salaterkami, podstawkami na jajka i wiktoriańskimi filiżankami z ochraniaczami na wąsy. W rogu zepsutą lodówkę turystyczną zgrabnie wsunięto pod trójnożne krzesło; z szuflady białego melaminowego biurka wystawały jakieś papiery. „Meble z K-marta” – pomyślał. Cóż, poprosi ekipę od przeprowadzek, żeby znieśli to do piwnicy.

– Kuchnia w tę stronę. – Kuchnia przypomniała mu dzieciństwo w latach siedemdziesiątych i okropny smak drewnianych patyczków używanych przez lekarzy. Wyglądało to tak, jakby ktoś wybebeszył na drugą stronę szopy ogrodową. Szafki w kolorze miodu wykańczał szlaczek udający gont; laminowany blat miał wzór niczym szpitalna piżama. W okrągłych fluorescencyjnych lampach zebrała się kolekcja martwych owadów. Wysoko ponad wszystkim terakotowe słońce uśmiechało się znad gontowych łupków bez śladu jakiegokolwiek ironii czy wstydu.

Z góry schodów dochodził zapach odświeżacza powietrza i mieszał się z odorem starych papierosów, jakichś chemikaliów i czegoś jeszcze gorszego.

– Cztery sypialnie – oznajmiła Carly. Zaprowadziła go na górę do jednego z pokoi od frontu, którego umeblowanie składało się z podwójnego materaca na brązowej drewnianej ramie. Wyglądało trochę jak posłanie porwanej i przetrzymywanej w piwnicy nastolatki. Kawowe zasłony było mocno poplamione i lekko nadpalone papierosami.

– Proszę posłuchać! – powiedziała Carly. – To ruchliwa ulica, ale w ogóle jej nie słychać! Pościel jest w szafach. Będę lecieć – dorzuciła. –

Taekwondo. Proszę się rozgościć i dać mi znać, gdybym mogła coś jeszcze dla pana zrobić, dobrze?

Nie stał tak blisko kobiety przez całe lato, przynajmniej nie na trzeźwo. Miał ochotę dotknąć palcem jej kucyka, a potem pociągnąć go niczym uczniak.

– Mogę zobaczyć studio? – zapytał.

– Zapomniałam! – odpowiedziała. – Zapraszam.

Przeszli przez brudne podwórze do na wpół przerobionego garażu.

– Zamek się zacina – powiedziała Carly, szarpiąc za drzwi z okienkiem z matowego szkła. – W środku wydaje się ciemno, dopóki nie zapali się światła.

Studio miało być dla Pameli; zajmowała się czasem malowaniem i tworzeniem biżuterii. Stony nie wiedział, czy to lepiej, czy gorzej, ale to miejsce było najbardziej przygnębiającym pomieszczeniem, jakie kiedykolwiek widział. Stare rolety zdawały się uszyte ze skrzydeł ciem. Na korkowej tablicy tańczył wycięty z gazety Picasso. Zapach pleśni sprawiał niemal fizyczny ból. Przy jednej ścianie leżały na kozłach drzwi płytowe, a na nich przedmioty rozmaitych kształtów, skupione, jakby chciały się ogrzać. Doniczki, wazon, misy, wszystkie wyraźnie z jednej rodziny, w kolorze błękitnej szarości drogich, rasowych kotów. Miał wrażenie, że zaraz się do niego odwrócą i zamrugają.

– Mój ojciec zajmował się ceramiką – powiedziała Carly.

Zastanowił się przez chwilę.

– Ach! Pani rodzice są właścicielami tego domu?

– Moja mama – odpowiedziała Carly. – Jest ginekologiem-położnikiem. Na emeryturze. Na każdym kroku spotykam w tym mieście ludzi, których moja matka powitała na świecie. Jest jak instytucja. Teraz przebywa w Nowym Jorku. A tu jest nawet koło, gdyby był pan zainteresowany. Myślę,

że nadal działa. Garncarskie.

– Nie, dziękuję.

Westchnęła i wyłączyła światło.

Wrócili do domu.

– Okej, pączusiu – powiedziała, a nastolatek wstał i okazał się dziewczyną, a nie chłopcem, z paroma wyraźnymi, wyglądającymi na bolesne pryszczami wysoko na policzkach i długim nosem oraz uśmiechem, który sugerował, że nie wszystko jest z nią w porządku. Poczłapała w stronę drobnej matki i stanęły obok siebie, obejmując się ramionami.

Czy jest tylko dziwna? A może ma jakieś uszkodzenie mózgu? Carly sięgnęła ręką i założyła kosmyk włosów za ucho córki. Może – uznał Stony – wszystkie amerykańskie nastolatki wydają mu się ostatnio dziwne, tak jak reklamy przed restauracjami z fast foodem – JUŻ WKRÓTCE KANADYJSKI SER! MCZĘBERKO POWRACA! – wydają mu się tajemnicze i groźne.

– W porządku? – zapytała Carly. Dziewczyna pokiwała głową i przysunęła się bliżej. Atmosfera w domu z katalogu Sears, Roebuck & Co. – tak, przypomniał sobie, normalnie zaintrygowałoby go coś takiego jak dom złożony z gotowych elementów – wydawała się pełna czułości i smutku. „Moja żona umarła” – pomyślał. Zastanawiał się, czy Carly coś powie. Nie byłaby już pora? „Przy okazji, bardzo mi przykro. To smutne, co się panu przydarzyło”. Ostatnio zdarzało mu się tak myśleć. To nie była żalność, która mogłaby ogarnąć go w dowolnej chwili, która niczym woda zaginałaby wszystkie proste i wprawiała wszelkie przyrządy nawigacyjne w jego posiadaniu w pozbawione sensu wirowanie – lecz racjonalna, konkretna myśl: „Czy to nie było okropne, to, co mi się przydarzyło, miesiąc, dwa, trzy miesiące temu. To, co przeżyłem, to dla człowieka straszne doświadczenie”.

Carly powiedziała:

– Taekwondo. Proszę dzwonić, w razie czego.

Puste opakowanie po ciastkach z napisem „Teddy Grahams”. Opróżniona do połowy butelka z gazowanym napojem. Patyczki do uszu rozrzucone na podłodze w łazience. Butelka sosu Mrs. Butterworth’s, lepka, ponizona, niczym ofiara przestępstwa. Niedopałki papierosów w studzience przy piwnicznym oknie. Trzy opakowania po prezerwatywach za łóżkiem-platformą. Gumki recepturki w każdej szufladzie i wokół każdej gałki u drzwi – dlaczego stare gumki są takie irytujące? Ściany na górze najeżone pinezkami i śladami po pinezkach oraz prostokątnymi cieniami po plakatach. Ktoś przesypał wciśniętą do szaf pościel kilkoma pudełkami kulek na mole, a na wierzch wrzucił nieuprane prześcieradła. Na myśl o segregowaniu czystej i brudnej pościeli zachciało mu się płakać. Mata w łazience wyglądała jak ulepiona z gum do żucia o różnych kolorach. Brudne ołówki turlały się po blatach, tkwiły w kubkach do kawy i przytulały się do listew przypodłogowych. Wypłowiwały obrus w jadalni był wysmarowany jajecznicą. Kuchnia w kolorze miodu lepiła się jak miód. Ściany na górze były nagie i brudne; ściany na dole pokryte starymi obrazami. Półki ugięły się od książek. Na półkach przed książkami widać było okrągłe ślady po kubkach z kawą oraz – nie ma lepszego słowa – odpadki: część połamanego kółka na klucze, kolejne ołówki, pół talii kart. Miał krewnych tego rodzaju. Gdy był dzieckiem, uwielbiał ich domy, bo – jak to możliwe? – nic się nie zmienia, na zewnątrz jest rok 1971, a w środku nadal 1936, ale potem trochę urósł i uświadomił sobie, że na stoliku nocnym leży ta sama maść Vicks VapoRub, że pocztówka wsunięta za lusterko toaletki nigdy stamtąd nie zniknie, zrozumiał, że słoiki z monetami nie symbolizują możliwości, jak to sobie wyobrażał, lecz są tylko słoikami i tylko monetami.

Gospodarze wypełnili dom najgorszymi rzeczami i stwierdzili: „To będzie dobre dla innych”. Wielki, pleciony bujany fotel okrywała narzuta

w hinduski wzór; stół na kółkach pod telewizor zrobiony był z udającego drewno laminatu i brakowało mu jednego kółka. Obrazy na ścianach – plakaty i reprodukcje – wypływały od słońca, ale to im wcale nie zaszkodziło.

Kuchnia była, obiektywnie rzecz biorąc, w okropnym stanie. Na blatach stało mnóstwo butelek po starym oleju z resztkami szumowin na dnie. Opróżnione do połowy pudełka wyjątkowo tanich ciasteczek zostały zaklejone taśmą. Miejsce pod zlewem całe wypełnione było w większości pustymi plastikowymi butelkami po płynach czyszczących. Gdy otworzył kosz na śmieci w kuchni i wyleciała z niego chmara much, zadzwonił do Carly ze swojego dopiero co kupionego telefonu komórkowego. Jej głos był pełen rozczarowania.

– Cóż, mogę wrócić i zabrać śmieci...

– W domu jest brudno – powiedział Stony. – Brudno. Trzeba zamówić ekipę do sprzątnia.

– Nie sądzę, żeby mama się na to zdecydowała. Zapłaciła komuś za sprzątnie w maju...

Pamela powiedziałaaby: „Wycofaj się. Zażądaj zwrotu czynszu i zaliczki”. To znaczy tak mu się wydawało. I był wściekły, że przywołuje jej głos w takiej sprawie.

– Ale rzecz nie w tym – stwierdził – czy było tu czysto w maju. Brudno jest teraz. Dom jest brudny i trzeba to jakoś rozwiązać.

– Teraz jestem zajęta – powiedziała Carly. – Wpadnę później.

I wtedy przyjechała firma od przeprowadzek, dwóch facetów, którzy wyglądali jak instruktorzy jogi w średnim wieku. Szef emanował dziwnym spokojem, który zdawał się jedynie maskować ogromną wściekłość. Gwizdnął na widok stanu, w jakim był dom, a Stony miał ochotę go uściskać.

– Spokojnie – powiedział facet od przeprowadzek. – Niech pan zatrudni

kogoś do sprzątanía i odliczy sobie od czynszu. – Wyładowali stare rzeczy Stony’ego, lekárskie biurko, stół do jadalni, pudła z ksiáżkami, pudła z naczyniami, wszystko to, czego potrzebował w swoim nowym życiu wdowca-burżuja. Naprawdę tu zamieszkał. Czuł się przytłoczony ciężarem swoich rzeczy, a potem uznał, że to nie jest złe uczucie. Wyszperał w programie pocztowym maila od Carly, z kopią do Sally Lasker, na której nazwisko wypisał czek z czynszem. Siedząc na kaloryferze i wychylając się, był w stanie złapać szczątkowe wi-fi, więc siedział tak, wychylał się i napisał stanowczego, acz uprzejmego maila do Sally Lasker, opisując ze szczegółami wszystko oprócz jej nieszczęsnego gustu artystycznego.

Sally odpisała.

Posprzątałiśmy dom w maju, od dołu do góry – napisała. Bardzo dużo czasu zajęło mi odkurzanie ksiáżek, zrobiłam to sama. Wyczyściłam ślady po kubkach na półkach. Upraliśmy całą pościel. Przykro mi, że dom nie spełnił pana oczekiwań. Przykro mi, że letnicy narobili tylu szkód, to na pewno dla pana nieprzyjemne. Ale wygląda na to, że bardzo dużo pan oczekuje jak na dziewięćmiesięczny wynajem. Obawiam się, że przeżyliśmy całe życie skromnie i może tam, w Europie, wyobrażał pan to sobie inaczej. Mam jednak wrażenie, że jak dotąd bardzo szliśmy panu na rękę.

Przeczytał jeszcze raz, zdumiony i wściekły. Co za różnica, że dom posprzątaño w maju? Że wcześniej na półkach też były ślady po kubkach? Skończył latem czterdzieści lat, a to przypominało mu, jak kończył osiemnaście. „Nie jestem dzieckiem!” – miał ochotę wrzasnąć. „Nie śpię na zbitych domowym sposobem meblach! Nie zaklejam brudnych ścian plakatami albo hinduskimi chustami!”.

Co ona ma na myśli, że „poszli mu na rękę”?

Udał się do sympatycznego centrum typowego dla miasteczka w stanie Maine i wypił dwa piwa w barze z transmisjami sportowymi, a potem wrócił. Cały czas układał w głowie list do Sally i pisał jej, że cieszy się, że znalazła letników, którzy wyrównali czynsz za lato, i że może nie orientuje się dokładnie, dlaczego opóźnił swój przyjazd.

Gdy z powrotem złapał sieć, czekała na niego wiadomość.

Proszę wynająć kogoś do sprzątnia. I odliczyć sobie od czynszu. Przepraszam i mam nadzieję, że to rozwiąże problem. Jeśli chce pan przechować coś cennego, proszę trzymać to w studiu, a nie w piwnicy. Piwnicę zalewa.

Nawet nie mógł wysłać swojego pełnego słusznego oburzenia maila.

Tego wieczoru spakował całą kuchnię Sally i wyniósł do piwnicy, ściągnął ozdoby ze ścian i przeniósł je do zawilgoconego studia. Nie potrafił zdecydować, co byłoby bardziej wrogim aktem: spakowanie brudnej maty łazienkowej czy też wyrzucenie jej. Spakowanie – postanowił, więc ją spakował. Wcisnął przesypaną kulkami na mole pościel do worków na śmieci. Wyniósł służącą za łóżko drewnianą platformę i spał na rozkładanej kanapie, a następnego dnia poszedł do pobliskiej galerii handlowej i kupił sobie łóżko. W poniedziałek przyszła firma sprzątająca, panie wyglądały jak bohaterki serialu o więźniarkach (braki w uzębieniu, tatuaże, dzinsowe szorty, głębokie dekolty) i same z siebie stwierdziły, że dom jest obrzydliwy, a on poczuł szczerą radość: tak, był obrzydliwy i każdy to widział. Zachwycał się tym, jak ciężko pracowały. Wyczyściły każdą szafkę w kuchni. Wyniosły wszystkie butelki. Dał im bardzo duże napiwki. Jedna ze sprzątaczek zapisała swój numer telefonu na karteczkach i zostawiła je w kilku miejscach w domu – OSOBISTE USŁUGI SPRZĄTAJĄCE ZADZWOŃ JACKIE 75\$ – a właścicielka firmy zadzwoniła do niego

następnego dnia, żeby powiedzieć, iż słyszała, że jedna z dziewcząt oferowała prywatne usługi – czy to prawda, bo to jest nielegalne, a Stony mimowolnie potwierdził, i był zdruzgotany, że idealna transakcja dotycząca sprzątanía została zbrukana. Potem oddzwonił i powiedział, że chyba coś źle zrozumiał – niczego nie oferowała, wszystko było zgodnie z przepisami.

Tego wieczoru napisał do Sally maila, w którym opisał, gdzie przeniósł rzeczy: wyposażenie kuchni do piwnicy, pościel i ozdoby ze ścian do studia.

Pomalował ściany na górze i powiesił swoje obrazy. Spakował część książek z półek. Stopniowo powynosił połowę mebli do studia i zastąpił je przedmiotami nabytymi na aukcji. Odwiedził go jego nowy szef, dobroduszny archiwista.

– Mój Boże! – powiedział. – Ten dom! Sprawileś, że wygląda wspaniale. Wiesz, próbowałem w maju wycofać cię z tej umowy, ale Sally się nie zgodziła. Chciałem znaleźć ci coś ładniejszego. Ale pięknie to urządziłeś. Wspaniale.

W pracy katalogował zbiory podziemnej działalności, piękne, śmieszne obiekty pożądania, pamflety, przypinki, plakaty. Co pomyśleliby o nim twórcy tych publikacji? Jakaż to przyjemność katalogować rzeczy, które tworzono, by nie dały się skatalogować – chociaż może nie powinien tego robić. Ich twórcy nie sądzili, że one przetrwają, że wypełnią pudła, a te pudła wypełnią półki. Był kartografem kreślącym mapy nieokreślonego świata, nadającym numery katalogowe i przypisującym nazwy tam, gdzie dotąd widniały tylko fale i rysunki potworów morskich. Jacyś ludzie z pewnością tych potworów żalowali.

Nie obchodziło go to. Kontynuował, tworzył swój mały pomnik nietrwałości.

W marcu spotykał się już z Eileen, wykładowczynią socjologii, rozsądną młodą kobietą, która przygotowywała niosące pociechę ciężkostrawne

zapiętki i robiła mu masaż pleców. Uświadomił sobie, że nigdy się nie dowie, co tak naprawdę do niej czuje. Nie była jego dziewczyną, stanowiła efekt uboczny wszystkiego, co nie było Pamelą. Podobnie jak ten dom. Od czasu do czasu nachodziła go nagle myśl: „Ale co ta kobieta miała na myśli, że poszli mi na rękę?”. I przez cały dzień, niczym telegraf, odbierał następującą wiadomość: „Moja żona nie żyje, moja żona nie żyje, moja żona nie żyje”. Cichszą niż wcześniej: już sobie z nią radził. Potrafił zachowywać się tak, jakby nie był szaleńcem owładniętym tylko jedną myślą.

W kwietniu zrobił sobie tatuaż w studiu w centrum, z którego korzystali studenci – kartka papieru unosiła się niczym porwana wiatrem nad jego biceps z jednym wypisanym na czarno słowem: „Efemeryda”.

A potem był maj. Skończył mu się wynajem. Pora znowu się przenieść.

Za sprawą jakiejś duchowej perwersji polubił ten dom, jego feng shui z katalogu Sears, Roebuck & Co., wrażenie kanciastej tymczasowości, dobre światło niemal przez cały dzień. Sally wysyłała mu maile, zmieniając datę wyprowadzki i przez cały tydzień straszyla przedłużeniem wynajmu o kolejny rok. Czy byłby zainteresowany? Poradził się swojego serca i był zdumiony, odkrywszy, że tak, byłby. Ostatecznie zdecydowała, że przeprowadzi się do domu z powrotem pierwszego czerwca, żeby przygotować go do sprzedaży. Może chce go kupić? Nie, proszę pani. W takim razie: trzydziesty pierwszy maja.

Znalazł mieszkanie, z którego dało się dojrzeć ocean, lokum dla dorosłych, z nowiutkimi urządzeniami i blatami w arktycznej bieli, które niczego mu nie przypominały: ani gospodarstwa w Normandii, ani belkowanego rzymskiego apartamentu, ani krytej strzechą chaty nieopodal Odense. Gdy opróżnił dom ze swoich rzeczy, poczuł ulgę, że powraca jego dawny brud, to było jak czyszczenie olejnego obrazu i dotarcie do

brzydszego, bardziej ponurego malunku pod spodem. Znowu odkrył wyciszające panele na sufitach na górze i czerń drewnianych podłóg. Zabrał z salonu kilim i położył stary orientalny dywan, spakował swój płaski telewizor – szaleństwo finansowe – do pudła i odnalazł w piwnicy starego mamuta bez pilota oraz kulawą szafkę z laminatu. Wysprzątał dom tak, jak nigdy dotąd nie posprzątał żadnego wynajmowanego lokum, ponieważ był skruszony i ponieważ podejrzewał, że Sally skorzysta z każdej okazji, żeby uszczknąć coś z zaliczki. Umył ściany, wnętrza szafek, listwy i framugi drzwi. Ona nie ma pojęcia, ile czeka ją pracy – pomyślał. Z trudem wniósł z powrotem stary bujany fotel i okrył go hinduską narzutą, żeby miała gdzie usiąść, ale obrazów już nie powiesił i nie przyniósł z powrotem wyposażenia kuchni.

A zresztą.

Zresztą, po co miałby to robić?

Te pudła były niczym wehikuły czasu: na samą myśl o nich przypominała mu się furia, z jaką je pakował. A teraz udawał przecież miłego, rozsądnego człowieka.

Kupił bukiet żonkili i ustawił je w słoiku po przetworach na środku stołu w jadalni razem z karteczką, która przypominała Sally, gdzie ma swoje przybory kuchenne i pościel, podpisał ją i dodał numer swojej komórki. A potem wyjechał na weekend, w górę wybrzeża, żeby na kilka dni oderwać się od tych wszystkich przedmiotów, pudeł, skamielin swojego życia.

Rano pierwszą wiadomością w telefonie było pytanie Sally, gdzie są jej ściereczki do naczyń.

Drugą: pytanie od miskę do suszenia sałaty.

Trzecią: o jej akt urodzenia. Zostawiła go w białym biurku, które stało w jadalni, i gdzie ono jest?

Czwartą: gdzie się, na Boga, podziały wszystkie przyprawy? Czyżby schował je do jakiegoś pudła?

Zasięg w tej części stanu był fatalny. Przyłożył telefon do jednego ucha, a dłoń do drugiego.

– Sally? – powiedział.

– Kto tam? – zapytała.

– Stony Badower.

Zapadła cisza.

– Pani najemca...

– Wiem – powiedziała tonem wielkiej damy. A potem westchnęła.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Przeprowadzka z powrotem jest trudniejsza, niż myślałam – stwierdziła.

– Ale wszystko w porządku?

– Znalazłam ściereczki – powiedziała. – I biurko.

– A akt urodzenia? – zapytał.

– Też. – I znów cisza.

– Może wpadnę do pani wieczorem, jak wrócę – zaproponował. – Będę mógł...

– Tak – odrzekła. – Z przyjemnością.

Wyobrażał sobie kobietę, która wygląda jak ulepiona na garncarskim kole, okrągła, lśniąca, ani piękna, ani przydatna. Nietłukąca się, dopóki nie upadnie z wysokości. Postarzała wersja drobnej, jasnowłosej córki. Ale drzwi otworzyła kobieta dorównująca mu wzrostem, około metra osiemdziesiąt, przed siedemdziesiątką, raczej z żeliwa niż z gliny, z ciemnymi włosami i ostrym nosem wnuczki. Uścisnęła mu dłoń.

– Cześć, Stony. – Na kwiecisty T-shirt założyła rodzaj dzieciennego, jasnoniebieskiego kombinezonu, jaki noszą robotnicy w Berlinie, ale jakiego,

jego zdaniem, nie nałożyłby żaden dorosły Amerykanin. Podkreślał niepokojąco piękną linię jej pleców, gdy wchodziła do kuchni. Już wygrzebała jakąś starą ceramikę i znalazła nowy obrus, żeby przykryć nadpaloną papierosami ceratę na stole w jadalni.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała. Gdy się odwróciła, w każdej ręce trzymała element miski do suszenia sałaty: pokrywkę ze sznurkiem, który wprawiał ją w ruch przypominający żyroskop, i koszyk, który się obracał. Jej wzrok wyrażał cierpienie z powodu braku plastikowej miski ze zwężającym się dnem. Jego własna miska do suszenia sałaty czekała w pudle w nowym mieszkaniu. Działała na zasadzie korbki.

– Kto pakował rzeczy z kuchni? – zapytała.

– Ja – odpowiedział.

– Nie rozumiem jednego – powtórzyła. – Te dwa elementy były w osobnych pudłach. A co z miską? Zniknęła.

– Och – powiedział.

Wskazała na półkę przy oknie – pustą i wyszorowaną do czysta płynem do drewna Murphy Oil Soap.

– A co z moimi przyprawami?

– To moja wina – odparł, chociaż przed przyjściem sprawdził w internecie hasło: „Jak długo można przechowywać przyprawy” i ucieszył się z odpowiedzi. Wciąż miał je przed oczami, klejące się, pokryte kurzem, zielono-brązowe sklepowe pojemniki z przyprawami, plastikowe, krępe, z czerwonymi zakrętkami. Wyrzucił je razem ze wszystkim, co było zużyte do połowy. – Pozbyłem się ich. Były brudne. Wszystko w kuchni było brudne.

Ze smutkiem pokręciła głową.

– Wszystkie powycierałam w maju.

– Sally – powiedział. – Przysięgam, kuchnia naprawdę była brudna.

Okropnie brudna. – Na pewno? Próbował sobie przypomnieć, przywołał w pamięci kosz z muchami, nabrał pewności. – Wszystko. Możliwe, że nie miałem czasu, żeby przyglądać się, czy coś jest czyste, czy nie, ale było bardzo źle.

Westchnęła.

– Tylko że... Ja myślałam, że tutaj wrócę.

– Och – powiedział. – A... A kiedy się wyprowadziłaś?

– Cztery lata temu. Gdy przeszłam na emeryturę. Dokładnie. Carly tutaj dorastała, nie mówiła ci? Byłam w tym domu bardzo szczęśliwa.

– Nie – odpowiedział. Myślał, że wyprowadzili się dziesięć lat temu. Dwadzieścia.

– Posłuchaj, mam do ciebie prośbę. Może mógłbyś mi pomóc z wniesieniem paru mebli z powrotem?

– Oczywiście – odparł.

– W studiu jest fotel, który chciałabym mieć na górze. Żebym miała na czym usiąść. Rozglądałam się za moim łóżkiem. Naprawdę nie powinno się go przesuwać.

– Mówiłem, że moim zdaniem...

– W porządku. Amos je zrobił. Zrobił mnóstwo mebli w tym domu – półki, biurka. Zajmował się ceramiką.

– Przykro mi – powiedział, bo gdy Pamela umarła, obiecał sobie, że gdy ktoś powie mu choćby najdrobniejszą, najsmutniejszą historię, odpowie: „Przykro mi”. To znaczy: „Tak, tak właśnie było”. Nie wolno wierzyć ludziom, którzy twierdzą, że niewspominanie o smutku to rodzaj magicznego zaklęcia, które pozwala utrzymać taki smutek z daleka – jakby żal był przeciwieństwem Rumpelsztyka i zjawiał się tylko na dźwięk swojego imienia.

– Ten dupek – powiedziała – zajmuje się ceramiką, powinnam

powiedzieć. – Rozejrzała się po kuchni. – Tylko że – dodała – ta pustka. Nie byłam na to przygotowana.

Na jego oczach zmieniła się z żelaznej wdowy w porzuconą żonę.

– Myślałem, że sprzedajecie dom – rzekł.

Podrapała się po karku.

– Tak. Chodźmy – powiedziała tonem przedszkolanki. – Studio.

Padał deszcz, więc włożyła przezroczysty płaszcz przeciwdeszczowy, kolejny dziecinny element garderoby. Nawet przewiązała go paskiem. Wyszli tylnymi drzwiami, których Stony prawie nigdy nie używał. W deszczowej szarzyźnie, w przejrzystym płaszczu na błękiecie wyglądała na zmianę jak secesyjna pozytywka i sofa owinięta folią z obawy przed zaplamieniem w domu na przedmieściach.

Gałka drzwi się zacięła. Pchnęła je biodrem.

– Mógłbyś? – zapytała, a on zdołał je otworzyć i zapalił światło.

I znowu to samo: stół zastawiony ceramiką, a Picasso dalej tańczył, choć teraz aż do pasa pokryty był pleśnią. Okropny odór. Zobaczył rzeczy pościągane ze ścian domu, które wyniósł dziewięć miesięcy temu i ostrożnie poukładał, ale bez wątplenia i tak zniszczyła je wilgoć. Poczł pierwsze ukłucie winy i próbował przysypać je paroma garściami złości: gdyby to nie przydarzyło się jej rzeczom, przydarzyłoby się jego.

– Tutaj jest wszystko – powiedziała. Wskazała na róg. – Och, uwielbiam ten stolik. Należał do mojej matki.

– Cóż, wspomniała pani, żeby nie do piwnicy.

– Był pan tu tylko dziewięć miesięcy – zauważyła. Dotknęła krawędzi blatu, na którym stały niebieskoszare naczynia, a potem odwróciła się i spojrzała na niego. – Sporo pan zdziałał, jak na zaledwie dziewięć miesięcy.

Uśmiechnęła się wtedy, pięknie. Krople deszczu niczym łzy spływały po jej okrytej plastikiem piersi. Starła je dłonią i powiedziała:

– Gdy weszłam do środka, poczułam, jakby wymazano dwadzieścia pięć lat naszej obecności.

– „Droga pani – miał ochotę odpowiedzieć – wynajęła mi pani dom, dom, a nie muzeum poświęcone pani i pamiątkom po Laskerach oraz szczęściu i upadku waszego małżeństwa. Zażyczyła sobie pani rynkową stawkę czynszu, a ja płaciłem go, żeby mieć gdzie mieszkać”. Ale uświadomił sobie, że wszystko źle zrozumiał. Cztery lata temu nie zostawiła po sobie najgorszych rzeczy, tylko te najlepsze, ukochane, zostawiła obrazy na ścianach, mając nadzieję, że wniesie piękno w życie studentów, letników i nieoficjalnych podnajemców, wszystkich tych na tyle nieszczęsnych ludzi, że nie stworzyli jeszcze swoich domów. Kochała terakotowe słońce, które usunął z kuchni pierwszego dnia. Kochała łóżko, które w latach siedemdziesiątych zrobił dla niej ten zdolny, okropny człowiek, jej mąż. Kupiła dla siebie tanią miskę do suszenia sałaty, żeby jej najemcy mogli używać tej, która tak dobrze działała. Gdyby Pamela była z nim tego dnia dziewięć miesięcy temu, domyśliłaby się. Zauważyłaby kawałki breloczka od kluczy, cmoknęłaby na widok brudnego dywanu i opowiedziałaby mu całą historię. To był dom opuszczony z powodu smutku, nie z powodu wojny czy epidemii, ale z powodu rozpadu związku, i utrzymywany nadal, by upamiętnić zarówno małżeństwo, jak i jego upadek.

– To było takie dziwne uczucie, zobaczyć, że wszystko zniknęło – powiedziała. – Jakby zostało splądrowane. Wie pan?

Nawet nie zadzwonił, żeby zapytać francuską gospodynię o Trudy, błyszczącą kaczkę, a teraz nagle wydało mu się, że to największa wyrwa w jego życiu, większa niż Pamela, bo o niej wiedział, że nie ma jej już na świecie. Powinien był zabrać kaczkę do Ameryki, mimo że prochy Pameli rozsypał nad jeziorem w Norfolku. Powinien był pojechać do Bremy, skąd pochodziła, zaskoczyć jej matkę i siostry, domagać się pokazania jej łóżka

z dzieciństwa, wyśledzić, jeśli zostało oddane do sklepu charytatywnego albo przekazane jakiemuś krewnemu – to Pamela nauczyła go, że łóżko na wystawie to nie jest tylko mebel, to duchowy portret każdego, kto kiedykolwiek na nim spał, kto się na nim urodził, kto się na nim kochał, kto na nim umarł. „Popatrz” – powiedziała. „Zobaczysz ich, jak się przyjrzysz”. Wszystko zrobił źle.

– Wiem – stwierdził. – Przykro mi. – A potem dodał: – I tak już było pęknięte.



Terpsychora

1.

W moim salonie wisi na ścianie piła, niczym klucz z kieszeni giganta. Wisi tam od dawna.

- Po co ci ta piła? – pytają ludzie, a ja im mówię:
- Nie jest moja. Nigdy nie miałam piły.
- Ale co ona tu robi?
- Wisi – odpowiadam.

Gdybyście ją teraz zdjęli, zobaczylibyście ducha piły. Albo – nie, nie ducha, bo błękitna tapeta z tyłu byłaby ciemniejsza w miejscu, gdzie piła chroniła ją przed słońcem. Duchy są blade. A więc to pokój jest duchem. A piła jedyną rzeczą, która jest prawdziwa.

Ostatnio, choć mówię to z żalem, tak chyba właśnie jest.

2.

Oto jak zostałam piosenkarką. Czterdzieści lat temu mijałam pomnik Waszyngtona w Baltimore i pomyślałam sobie: „Wejdę na górę”. To było z samego rana. Dopiero otworzyli. Wchodząc po schodach, zamknęłam oczy

i zaczęłam śpiewać – myślę, że to było *Summertime*. Tak, oczywiście, że tak. *Summertime*. Trzymałam rękę na żelaznej poręczy. Wyczuwałam schodki stopami. Wyobrażałam sobie, że jestem na przyjęciu, że opieram się o fortepian i śpiewam dla niewielkiej publiczności. Szłam na górę i śpiewałam. Nie znałam dobrze słów, głównie z powodu poprzekręcanej wersji, jaką lubił podśpiewywać mój przyjaciel Fred – „Tummersime, and the iving is leazy / jif are fumping, and the hiver is rye...”¹.

I wtedy jakiś męski głos powiedział:

– Wow.

W mojej pamięci opierał się o ścianę dwa schodki przed szczytem, a na ramieniu, niczym strzelbę, trzymał piłę. Ale oczywiście nie przyszedłby z piłą do pomnika Waszyngtona. Był wysokim, grubokościstym blondynem o surowej twarzy z poobijanym, przypominającym drożdżową bułeczkę nosem, w małym filcowym kapeluszu na tyle głowy. Spodnie miał z ciemnego, sztucznego materiału, z dziurami. Ciemnopomarańczowy kardigan wyglądał jak pordezewiały drucziany czyścik do garnków. Był taki wielki, że człowiek się zastanawiał, jak się tam znalazł – czy to wieżę wybudowano wokół niego? A może przywieźli go w kawałkach i złożyli już na miejscu?

– Wow – powiedział znowu i zaklaskał, uginając przy tym kolana w synkopowanym rytmie, niczym trafiony strzałą Amora bohater kreskówki z lat trzydziestych. Spodziewałam się tryskających wokół jego głowy słów ekscytacji podkreślonych wykrzyknikami. Zerwał kapelusz. Jego włosy wyglądały tak, jakby je uczesał kawałkiem posmarowanego masłem tostu.

– To byłaś ty? – zapytał.

Skinęłam głową. Może był jakimś miejskim urzędnikiem, który pilnuje, żeby było cicho.

– Brzmisz jak piłą – powiedział. Miał miękki głos. Pomyślałam, że może

być z Południa, jak ja, ale potem okazało się, że w lot chwycił każdy akcent. Tak naprawdę był z Paterson w New Jersey.

– Piła? – zapytałam.

Pokiwał głową.

Przytknęłam palce do gardła.

– Nie wiem, co to znaczy.

Wyciągnął ręce, w jednej z nich wciąż trzymał kapelusz.

– Pięknie – powiedział. – Nie z tej ziemi. Chodź ze mną, pokażę ci. Dziewczyno, dałaś Gershwinowi nauczkę. Gdzie śpiewasz?

– Nigdzie – odparłam.

Według moich przyjaciół nie potrafiłam śpiewać. Jediną osobą, która kiedykolwiek powiedziała coś miłego o moim głosie, był mój przyjaciel Fred Tibbets, który twierdził, że jak jestem pijana, to czasami udaje mi się trafić w dźwięk. Ale wtedy dużo piliśmy, a gdy byłam pijana, Frank też był pijany. I sentymentalny. Mimo to w duchu wierzyłam, że potrafię śpiewać. Jedynym dowodem było to, że śpiewanie sprawia mi przyjemność. To najpowszechniejszy na świecie błąd: wiara w to, że przyjemność ma jakikolwiek związek z umiejętnością, choćby nawet pośredni.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Niedobrze – powiedział z powagą. – Paskudnie. Zmienimy to. – Podszedł, by wziąć mnie za rękę, ale zamiast to zrobić, powiesił na niej swój kapelusz. Wtedy poczułam, jak jego ręka ściska mnie przez filc. – Będziesz dla mnie śpiewać, okej? Zrobisz to? Będziesz dla mnie śpiewać.

Sprowadził mnie w dół monumentu, ściskając kapelusz, który okrywał moją dłoń. Nadgarstek zaczął mi się pocić, ale nie zwracałam na to uwagi.

– Oczywiście, że będziesz – podkreślił. Szedł pierwszy, ale cały czas się zatrzymywał, więc ciągle niemal wpadałam na jego łokieć. – Znam ludzi. Jestem z Filadelfii. Mieszkam tam. Przyjechałem do Bawlmore, bo mój

kolega, członek trio, złamał rękę i potrzebowali gitarzysty. I proszę. Tu jest dwieście dwadzieścia osiem stopni. Przeczytałem na tablicy. I policzyłem. Boże, ale z ciebie szczupła dziewczyna, prawie nic, jesteś taka śliczna, owszem, jesteś, nie protestuj, wiem, o czym mówię. Cóż, może nie zawsze, ale w tej chwili tak. Zagram ci na pile. Nie każdy umie to docenić, ale ty na pewno. Jak masz na imię? Możesz powtórzyć? O ja cię. Zmienimy to, musimy, potrzebujesz czegoś krótkiego i zwięzłego. Na przykład ja kiedyś byłem Gabrielem McClonhashemem, niezła ksywka, co? A teraz jestem Gabe'em Maconem. Jeśli chodzi o ciebie, sam nie wiem, niech pomyślę: Miss Porth. Bo jesteś szansonistką i dlatego Miss. Albo Porthkiss, no nie wiem. A Miss Kiss brzmiałoby głupio. Zobacz, jak się rumienisz! Kobieta – muzyczna piła. Jest tyle miejsc, gdzie mogłabyś śpiewać, nie znasz swojej wartości, na tym polega problem. Słyszałem wielu piosenkarzy, takich i siakich. Usłyszałem cię i pomyślałem: „To jest głos, którego mógłbym słuchać do końca życia”. Nie żartuję, nie robię sobie żartów z takich spraw. Nie żartuję z muzyki. Po prostu mnie zamurowało. Zobacz, nadal mam gęsią skórkę. Uratowałaś mnie z tej wieży, Roszpunko: zszedłem, wiedziony twoim głosem. Porozmawiam z moim kumplem Jakiem. I z jeszcze jednym facetem. Mam co do ciebie dobre przeczucie. Bardzo dobre przeczucie. Czy tobie też się kręci w głowie? Może to nie przez schody. Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? Pytam poważnie. Ja wierzę, oczywiście, że wierzę, czy pytałbym, gdybym nie wierzył? Bo wierzę w szczęście i tyle. Jesteśmy już prawie na dole. Biedactwo, nawet nie weszłaś na szczyt. Chodź. Za dziesięć centów jednak warto się pofatygować. Wracamy na górę. Chodź, chodź.

– Umieć śpiewać? – zapytałam go.

Spojrzał na mnie. Miał zielone oczy, a źrenice otoczone zębatymi obwódkami ciemniejszej zieleni.

– Zaufaj mi – powiedział.

3.

Nie należałam do tego rodzaju dziewcząt, które wspinają się na pomnik z obcym facetem. Albo idą z nim do jego pokoju w hotelu. Albo zgadzają się przenieść z nim do Filadelfii na drugi dzień.

Ale zrobiłam to.

Pokój miał na najwyższym piętrze hotelu Elite, idealne miejsce dla samobójcy: toaleta na korytarzu, umywalka w rogu pokoju, widok na inny budynek z oknami dokładnie naprzeciwko okien hotelu.

– Piła muzyczna – powiedział Gabe Macon. Otworzył tekturową walizkę, która leżała w nogach pojedynczego łóżka. Najpierw wyjął długi przedmiot owinięty w materiał. Smyczek do skrzypiec. A potem kawałek kalafonii.

– Tym w nią uderzasz? – zapytałam.

– Uderzam? Co uderzam? – odparł Gabe.

– Myślałam...

– Posłuchaj – powiedział. Piłę trzymał powieszoną w szafie z ubraniami. Wydawało mi się, że piła do grania to instrument perkusyjny. Coś jak ksylofon. Albo marimba. Natarł smyczek kalafonią i usiadł na krześle w rogu. To była najzwyczajsza piła do cięcia drewna. Chwycił ją stopami na dole, a potem przeciągnął smyczkiem po tępej stronie ostrza. Piły właściwie nie było widać, rączka tkwiła między jego stopami, a wygięta końcówka w dłoni: był wielkim facetem z ostrzem w sercu, mężczyzną zadającym przemoc za pomocą nieprawdopodobnej broni.

To było jak dźwięk pięknego bólu zęba. To był głos każdej zaczarowanej harfy, fletu, księżniczki zamienionej w drzewo w każdej kiedykolwiek napisanej bajce.

– Ja tak brzmie? – zapytałam.

Pokiwał głową, nie przestając grać.

Ja tak brzmie. To było poniżające, niepokojące, brzydkie, podniecające. To było jak spojrzenie na korzystną fotografię samej siebie robiącej coś, co wolałabyś, żeby nie zostało uwiecznione na zdjęciu. To ja. Grał *Fly me to the moon*².

Skończył i popatrzył na mnie tymi swoimi oczami jak z rysunków Rube'a Goldberga³.

– To ty – powiedział. Odgiął piłę w jedną i w drugą stronę, a potem upuścił ją na podłogę.

Podniosłam ją i spróbowałam dostrzec swoje odbicie w metalu.

– Nie piłuje się ząbków?

– Nie – odparł. – To moja druga piła. Daj mi ją. – Uniosłam ją za ostrze, a on złapał za jasnobrązową rączkę. – Pierwsza, którą kupiłem, była za dobra. Krótka i droga. Nie zginała się. Potrzebna jest taka tania i sporej długości. Ta ma osiem punktów na cal. Znaczy się zębów. – Nagiął ją. Metal wydał z siebie ten przypominający grzmot zza kulis dźwięk, który przyszedł mi na myśl, gdy po raz pierwszy powiedział, że brzmie jak piła. – Ale ta jest w porządku. – Obrócił ją do góry nogami i znowu złapał rączkę pomiędzy brązowe buty i przeciągnął smyczkiem. Zapalił tylko jedną lampkę przy łóżku, gdy weszłam do pokoju. Zrobiło się już ciemno. Słuchałam piły i patrzyłam na umywalkę w kącie. Wypełzył z niej pajak i stukał ostrożnie jedną z nóg z przodu, niczym ślepiec laską przed wejściem na stopień. Piła westchnęła. Ja również. A potem Gabe wyciągnął smyczek i dotknął nim mojego ramienia. Wzdrygnęłam się, jakby ostrość piły przeniknęła do końskiego włosia.

– To ty – powtórzył.

Może już kochałam Gabe'a. Czymże jest miłość od pierwszego

wejrzenia, jeśli nie wylanym na ciebie wiadrem, które splukuje całą wcześniejszą nienawiść do samej siebie, aż widzisz się wygładzoną, przylizaną i odważną? A przynajmniej po raz pierwszy uwierzyłam, że to możliwe, by ktoś mnie pokochał.

A może tylko pokochałam piłę.

4.

Wyjechaliśmy do Philly następnego dnia. Historia naszego sukcesu, a nie był to wielki sukces, jest dość nudna, jak wszystkie tego rodzaju historie. Mnóstwo czekania przy telefonie. Mnóstwo okropnych konkursów talentów. Jeden wspaniały wieczór talentów, gdy wygrałam komplet naczyń. Powrót stamtąd, gdy Gabe niósł naczynia i roztrzaskiwał je po kolei o bruk.

– Nie rób tego – powiedziałam. – Są moje...

Przyłożył talerz do mojego czoła, a potem uniósł go i znowu przyłożył, jakby przymierzał się do uderzenia młotkiem w gwóźdź.

A potem musnął moje czoło krawędzią talerza.

– Nie mów mi, co mam robić – powiedział.

5.

Pisał piosenki. Zanim go poznałam, nie miałam pojęcia, jak się pisze piosenki. Jego mieszkanie przy Sansom Street cuchnęło przypalonym sosem pomidorowym, a w kuchni, zamiast kuchenki, stało pianino, które wyglądało, jakby wyniesiono je z pożaru. Czasami na nim grał. Czasami siedział przy nim, a jego dłonie szarpały się nad klawiszami niczym psy na smyczy. *Świat poza światem, który znamy. Kieszeń pełna drobniaków. To, czego tak bardzo żałujesz. Niech twe oczy mnie wypatrują.* Był takim cwany naśladowcą, takim przebiegłym złodziejem, że ludzie myśleli, że to jakieś mało znane

standardy, jeśli coś takiego w ogóle może istnieć, piosenki, które dawno temu słyszeli po wielokroć, a teraz je sobie tylko przypominają. Codziennie pisałam piosenkę. Wściekał się, że czasami coś plątałam albo nie potrafiłam wszystkich zapamiętać. *To zbrodnia karygodna. Nie przejmuj się. Aż do końca.*

Graliśmy je razem. Kupił mi zieloną drapowaną suknię, która uwierała, i pasujące do niej operowe rękawiczki, które były za długie i wbijały mi się w pachy, a także szminkę i sztuczne rzęsy – wszystko upiorne, zwłaszcza te rzęsy.

Historia pełna jest smutnych opowieści o głupich kobietach. Okropne jest to, że ja nie byłam głupia. Zapytajcie kogokolwiek. Zapytajcie Freda Tibbetsa, który kłamał i mówił, że umiem śpiewać. Nagraliśmy płytę pod tytułem *Miss Porth śpiewa!* Przez długi czas można się było na nią natknąć w koszarach w sklepach z płytami pod hasłem „Wokal” albo „Inne”, albo „Oryginalne”. Na okładce byłam ja, z odchyłoną do tyłu głową. Usta miałam umalowane czerwoną szminką, która nadawała mojej cerze pomarańczowy odcień, a w moich uszach tkwiły malutkie kolczyki w kształcie piły. Włosy wydawały się orzechowe.

Ale to błąd drukarski. W rzeczywistości miałam wtedy włosy w kolorach papieru ściernego: diamentowe, rubinowe, granatowe.

Byłam w radio. Byłam w programie „Gypsy Rose Lee Show”⁴. Miss Porth, kobieta-muzyczna piła! Tylko rzecz w tym, że piła Gabe’a brzmiała jak człowiek. Po co być człowiekiem, który brzmi jak nieożywiony przedmiot brzmiący jak człowiek?

6.

To nie jest historia sukcesu. W świecie byliśmy tym, czym byliśmy zawsze.

Historia miłosna: piła i głos jak piła. Byliśmy dwojgiem paralizująco nieśmiałych, miażdżąco krytycznych ludzi, którzy zakochali się na osobności, z dala od słów i zastrzeżeń innych, a potem wyjechaliśmy z miasta, zanim ktokolwiek mógł nas ostrzec.

W Filadelfii zaczął rzucać we mnie różnymi przedmiotami – głupimi, wprawiającymi w zakłopotanie, leciutkimi rzeczami: miską białek z jaj, które właśnie miałam ubić na suflet, kartką urodzinową dla mojego brata, całą zawartością dopiero co otworzonego pudełka z cukrem pudrem. Potem długo zostawiałam białe odciski palców. Mówił, że to był wypadek, że wcale nie chciał tym rzucić. Że tylko gestykulował.

A potem zaczął grozić mi piłą.

Nie sądzę, by on sam potrafił to wyjaśnić. Nie pił, ale takie sprawiał wrażenie. Jakby to nietrzeźwość, czy cokolwiek to było, sterowała jego kończynami. Brała piłę. Przystawiała ją do mojego gardła i tam ją trzymała. Nie poruszał ostrzem i mówił o okropnych rzeczach, które sobie robi.

– Popęnię samobójstwo – mówił. – Zrobię to. Nie zostawiaj mnie. Powiedz, że tego nie zrobisz.

Nie mogłam ani się odezwać, ani pokręcić głową, więc starałam się tylko patrzeć na niego z miłością. Nie mogłam znieść tego, jak siebie nienawidzi. Miałam ochotę zabić tego, kto sprawił, że on tak się czuje. Nasze mieszkanie było jasne z przodu, przy oknach, a ciemne i duszne z tyłu, tam gdzie stało łóżko. Tam, gdzie byliśmy teraz i leżeliśmy na narzucie, która wyglądała jak mapa ze szkolnej klasy: pomarańczowa, niebieska, zielona, żółta.

– Moje życie się skończyło – powiedział Gabe. Czuć było od niego zapach przypalonych pomidorów z całego mieszkania. – Jestem stary. Stary. I pozbawiony talentu. Wiem to, ale jednocześnie słucham cały dzień radia i nie rozumiem. Dlaczego łamiesz wszystkie serca? Dlaczego to robisz? Jesteś szalona. Prawdopodobnie w ogóle nie potrafisz kochać. Potrzebujesz

pomocy. Chcę się zabić. Myślałem o tym, odkąd byłem małym dzieckiem.

Ostrze piły ukąsiło mnie, osiem śladów zębów na cal. Tania stał, taka, którą łatwo się wygina. Ręce trzymałam na tępej stronie. „Jak do tego doszło?” – zastanawiałam się, ale taką samą pełną dezorientacji myśl miałam, gdy uwierzyłam, że zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia i leżeliśmy w jednym łóżku: „Jak to się stało?”.

– Mógłbym skoczyć – powiedział. – Jak myślisz, co ja robiłem na tamtej wieży, gdy mnie znalazłaś? Okna okazały się zbyt małe. Nie miałem pojęcia. Byłem zdecydowany. Ale wtedy pojawiłaś się ty i byłaś taka drobniutka. I ten twój głos. A ja chyba zmieniłem zdanie. Powiesz coś, Maryo? Złamałaś mi serce. Kiedyś się zabiję.

Wiedziałam o nim wszystko. Ważył dokładnie dwa razy tyle co ja, co do joty. Był ambitny i pełen wątpliwości: chciał być sławny i jednocześnie chciał, żeby nikt na niego nie patrzył, nigdy, co chyba leży w ludzkiej naturze – w nim było to jedynie zwielokrotnione. To było niemal wszystko, co o nim wiedziałam. Wciąż czasami opowiadaliśmy sobie nawzajem historię naszego życia: Dlaczego weszłam na tę wieżę akurat tamtego dnia? Dlaczego on to zrobił? O mały włos nie zostałyby w Filadelfii. Ja o mały włos nie wyjechałam na weekend do domu, ale umarła moja cioteczna babka Florence i rodzina pojechała na pogrzeb. Gdyby przyszedł pięć minut później, nie usłyszałby, jak śpiewam. Gdybym ja była dziesięć minut później, uśmiechnęłabym się, mijając go przy wejściu.

Mieliśmy szczęście, mówiliśmy sobie, czyste, ślepe szczęście.

7.

Pewnego wieczoru mieliśmy występ w kabarecie U Maxiego. Bolało mnie, gdy śpiewałam, perły wbijały się w skaleczenia po pile. Właściciel nazywał

się Marco Bell. Uwielbiał mnie. Marco miał tak pomarszczoną twarz, że gdy palił, widać było, jak każda bruzda na jego twarzy napina się i wiotczeje.

*Jest świat poza światem, który znamy,
Zieleń, w której o pośpiechu zapominamy,
Pójdź za mną, a zaraz się przekonamy,
Czym błękitne szczęście jest.*

Moja zielona suknia była za luźna i ciągle musiałam ją podciągać. Miesiąc temu nie była za duża.

W czasie przerwy usiadłam obok Marca.

– Co u pana? – zapytałam.

– Same smutki – odpowiedział. Oparł się na dłoni, w której trzymał papierosa. Pomyślałam, że zaraz podpali sobie wypomadowane włosy.

– Przykro mi – powiedziałam.

– To przez panią, Miss Porth. Przez panią... – Machnął ręką w kierunku miejsca, w którym wcześniej stałam.

Roześmiałam się.

– Nie wszystkie piosenki są smutne.

– Właśnie że tak – odparł. Roztaczał wokół siebie aurę niezwyklej powagi. Miał wielką rosyjską głowę z groźnymi brwiami. Przed trzema laty jego żona doznała udaru i czasami odwiedzała klub w sukni we wzór w jodełkę. Siedziała na wózku inwalidzkim i klepała w blat stołu, albo w rytm muzyki, albo szukając czegoś, co tam odłożyła. – Mylisz się. Są smutne.

Powiedziałam:

– Czasami wydaje mi się, że nikomu nie robię przysługi.

Za mną pojawił się Gabe. Czuję gestem dotknął mojego ramienia.

Poczekaj, nie mów, że było inaczej. To nie była przyjemna miłość, to nie była dobra miłość, ale nie wmówisz mi, że to nie była miłość. Miłość to nie jest tlen, choć wielu autorów piosenek tak twierdzi; to nie jest substancja chemiczna, która jest albo całkowicie obecna, albo całkowicie nieobecna; nie da się jej zredukować do jakichś składników. Nie jest jak kwiat ani jak zwierzę, to nie jest nic takiego, co potrafisz rozpoznać, gdy to zobaczysz. Miłość to jedzenie. I tyle. Ani lepsze, ani gorsze. Czasem bardzo dobre. Czasem okropne. Ale żeby twierdzić – a ludzie to robią – że to nie była miłość. Jakby to zapewniało lepsze samopoczucie! Cóż, może nie była odżywcza, ale przez jakiś czas mnie podtrzymywała. Gdybym odeszła, byłabym tak samo zła jak każdy nawrócony grzesznik, zachwycona starą sobą, ale nawet z ostrzem przy szyi kochałam go, jego troskę o przyszłość, jego nieuchronne ponure nastroje, jego szczerą uczuciowość – to też jeszcze tam było, choć skalane wyrzutami sumienia.

Zostałam też przez piłę. Nie dlatego, że mi groziła. Zostałam z powodu tych chwil na scenie, gdy potrafiłam ją zrozumieć. Gabe odginał ją do tyłu, a ona wołała: „Och, nie, kochanie, pomóż”. Pragnęła pociechy. Pragnęła pocieszyć mnie. Obie miałyśmy kłopoty, my dwie: miodousta piła i dziewczyna o głosie piły. „Pomocy, pomocy, my jeszcze żyjemy” – śpiewała piła, choć zwykle jej pieśni składały się z samych zaimków: „Ja, my, mój, ty, ty, my, mój”.

Tak, owszem. Miałam opowiedzieć wam o pile.

Gabe dotknął mojego ramienia i rzekł:

– Chodźmy, Maryo.

Marco powiedział:

– Za chwilę. Miss Porth, napijmy się.

– Marya – powiedział Gabe.

– Z przyjemnością – odrzekłam.

Kabaret U Maxiego cieszył się popularnością – nie miał szyldu, to było miejsce dla wtajemniczonych. Był tłum. Gabe uderzył mnie pięścią. Uderzył mnie w pierś. W prawą pierś. Bardzo dziwne miejsce na cios pięścią. Nie najgorsze. Pomyślałam to w tamtej chwili: „Nie najgorsze miejsce na taki cios”. Krzesła u Maxiego miały oparcia rzeźbione we wzór bambusa. Uderzył mnie. Nigdy wcześniej nikt mnie nie uderzył. Powiedział:

– Widzisz, jak to jest, gdy ktoś łamie ci serce? – A ja pomyślałam: „Tak, w tej chwili wydaje mi się, że wiem”.

Przewróciłam się na plecy. Marco objął rękami ramiona Gabe’a i szeptał mu coś do ucha. Zgromadził się tłum. Ludzie mnie dotykali. Wolałabym, żeby tego nie robili.

To chcę wam powiedzieć: Wiedziałam, że coś się kończy, i byłam wdzięczna, i już za tym tęskniłam.

8.

Mniej więcej pięć lat temu w restauracji niedaleko mojego mieszkania ktoś mnie rozpoznał.

– Czy to... Czy pani nie jest... Miss Porth? – zapytał. – Miss Porth! – Mężczyzna w moim wieku, tweedowa marynarka, łysy, z pomarszczoną twarzą o zadartym nosie, przypominającą pysk szczeniaka, takiego, który zawsze wygląda tak, jakby zaraz miał kichnąć. – Widywałem panią u Maxiego – powiedział. – Bardzo często. Naprawdę często. Studiowałem na Uniwersytecie Pensylwanii. Miss Porth! Dobry Boże! Zawsze się zastanawiałem, co się z panią stało.

Siedziałam przy barze, czekając na przyjaciółkę, i chciałam zakończyć tę rozmowę, zanim przyjdzie. Mężczyzna usiadł na stołku barowym obok mnie. Rozmawialiśmy przez chwilę o Filadelfii. On nadal tam mieszkał, przyjechał

tu tylko na konferencję. Wrzucił lód ze szklanki po drinku do ust, a ja wiedziałam, że znalazł się z powrotem tam – nie słuchał mnie, wcale, przypominał sobie tylko, kto siedział wtedy obok niego i czy tamta kobieta chciała następnego drinka, i czy on miał dość pieniędzy, żeby kupić po drinku im obojgu. Myślał wtedy o sobie same dobre rzeczy: teraz wiedział już, czy miał wtedy rację, czy nie, a czy miał, czy nie – sama ta wiedza była nieciekawa. Wcale nie miałam ochoty być okazją do nostalgicznych wspominek.

– Mam pani płytę – powiedział. – Jestem fanem. Naprawdę. Uwielbiam muzykę. Ale... Jakiś facet panią uderzył – przypomniał sobie nagle. Jego szczenięca twarz już, już miała kichnąć. – Nie pamiętam. Był pijany? Jakiś pani wielbiciel? Tak. Szaleniec.

– Ktoś przypadkowy – odparłam. – Co pan studiował?

– Etnografię – odrzekł zamyślony. – Zawsze mnie zastanawiała jedna rzecz. Mogę zapytać? Nie ma pani nic przeciwko?

„Och – pomyślałam – skocz w tę króliczą norę, jeśli musisz, ale nie łap mnie za rąbek ubrania, nie wciągaj mnie ze sobą”.

– Uwielbiałem pani słuchać – powiedział. Głowę przechylił też jak szczeniak. – Była pani wyjątkowa. Ale zawsze się zastanawiałem... Chodzi mi o to, że wygląda pani na inteligentną osobę. Wtedy nigdy z panią nie porozmawiałem. – Kawalek lodu przykleił się do dna szklanki, wygrzebał go palcami. – Czy miała pani świadomość, że ludzie się z pani śmieją?

A potem dorzucił:

– O, mój Boże.

– Przepraszam – dodał. – Ja nie – zapewnił. – Przysięgam, była pani cudowna.

Odwróciłam się do niego i powiedziałam: – Oczywiście, że wiedziałam. – Jak mogłabym nie zauważyć?

Granica pomiędzy dumą a jej brakiem jest cienka, krucha i ekscytująca jak świeży lód. Tylko gdy jesteś młody, śmiało po nim jeździsz i jest ci wszystko jedno, po której stronie wylądujesz. Ja taka byłam. Niewinna. Później, gdy jesteś stary, gdy już mnóstwo wiesz, cóż, trzeba sporego wysiłku, przeróżnych lin i dźwigni i mnóstwa sztuczek, żeby uchronić cię przed wpadnięciem na drugą stronę, o ile w ogóle jesteś skłonny zaryzykować.

Może i wiedziałam wtedy, że niektórzy ludzie nie traktują mnie poważnie. Ale mimo wszystko: po raz pierwszy przychodzili się pośmiać. Ale nie po raz drugi. Słyszałam publiczność. Słyszałam, jak byli cicho, gdy śpiewałam z zamkniętymi oczami. Na pewno niektórzy z nich myśleli: „Kto się da na to nabrać? Co ona sobie wyobraża, że kim jest, w tej zielonej sukni, z tymi wymyślonymi piosenkami?”. Ale słuchali. Myślę, że to tym ludziom, właśnie tym, którzy najpierw myśleli, że są ode mnie lepsi, zapierało dech w piersiach. I to oni przyprowadzali następnym razem swoich znajomych. I to oni kupowali moją płytę. To oni myśleli: „To ja. To właśnie ja daję się nabrać”.

Dostałam później list, w którym proszono mnie o pozwolenie na zamieszczenie dwóch piosenek z *Miss Porth śpiewa!* na płycie pod tytułem *Piosenki z Marsa: ekscentrycy i ich muzyka*. W liście napisano: *Nie wie pani, co się stało z G. Maconem? Bo oczywiście potrzebujemy też jego pozwolenia.*

9.

W tamten wieczór, gdy mnie uderzył, wróciłam z Gabe'em do domu po raz ostatni. „Oczywiście, nie dzwoń na policję” – powiedziałam Marcowi. Gabe był wykończony, pełen skruchy. Zaprowadziłam go do łóżka, do wypłowiej narzuty, a on zasnął. Z telefonu w kuchni zadzwoniłam do jego siostry

w Paterson, której nigdy nie miałam okazji poznać, i powiedziałam jej, że Gabe Macon ma kłopoty, jest sam i potrzebuje pomocy. A potem położyłam się obok niego. Gabe miał na szyi archipelag pieprzyków, którego wcześniej nie zauważyłam, i kilka bladych blizn po trądziku na nosie. Marszczył przez sen brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. Uwielbiałam ten nos. On go nienawidził. „Ja naprawdę tak wyglądam?” – pytał na widok swojego zdjęcia. Zasłaniał nos dłonią.

Nie wiedziałam, co się z nim stanie. Musiałam przestać się o niego martwić. Nie trzymała mnie tam ani miłość, ani piła, ani strach przed samotnością: to było pragnienie, by poznać koniec historii, i pragnienie, by jej zakończenie było szczęśliwe.

O piątej nad ranem wyszłam z torbą, piłą, siniakami w bambusowy wzór na plecach i siniakiem w kształcie pięści na piersi. I już wkrótce byłam zdumiona, jak on mnie mało obchodzi. To chyba było najgorsze.

10.

Nadal, bez względu na wszystko, nie potrafię zapomnieć tamtego pierwszego wrażenia. Nawet teraz, choć było to wiele lat temu i daleko stąd, a piła wisi w salonie jako pamiątka, gdy myślę o Gabie, widzę postać z kreskówki z lat trzydziestych: czarne, owalne źrenice, dłonie w białych rękawiczkach ułożone płasko na tle, długie, ciemne kończyny bez łokci i kolan, które zamiast się zginać, falują. Tania, cudowna, hałaśliwa muzyczka, która mimowolnie poprawia humor. Napełnia cię tanią, hałaśliwą nadzieją. I zdajesz się mknąć przez krajobraz susami na sprężynujących kończynach, w pozbawionym dachu samochodziku z napędem na sprężynę, w tej swojej hałaśliwej, pneumatycznej egzystencji. Nawet nie zauważasz, że w tle, przez cały czas, w takiej samej kolejności, przesuwa się to samo drzewo, ta sama

szopa, ten sam róg ulicy, ta sama mysia dziura, ten sam zastawiony do obiadu stół, te same wydęte wiatrem zasłony.

1. „Summertime, and the living is easy / Fish are jumpin’ and the cotton is high...” (fragment piosenki *Summertime* z opery Georga Gershwina *Porgy & Bess* z 1935 roku, która stała się standardem jazzowym, wykonywanym m.in. przez Ellę Fitzgerald).

2. Standard muzyki popularnej i jazzowej skomponowany w 1954 roku przez Barta Howarda, wykonywany przez wielu artystów, m.in. Franka Sinatrę, Doris Day czy Natę Kingę Cole’a.

3. Rube Goldberg (1883–1970) – amerykański rysownik, rzeźbiarz, pisarz i inżynier.

4. Program telewizyjny z 1958 roku amerykańskiej aktorki filmowej i burleskowej Gypsy Rose Lee.



Juliet

Nazywaliśmy królika, który mieszkał w dziale dla dzieci, Kaspar, od Kaspara Hausera, choć dzieci, które przychodziły go odwiedzać i dręczyć, myślały, że chodzi nam o miłego duszka. To miałoby sens, gdyby królik był biały, ale on był szarobrązowy. Chował się w kąciku klatki, a dzieci wsadzały palce przez druty; wołały „króliczku, króliczku” i płakały, gdy matki mówiły, że czas już iść, że zobaczą króliczka następnym razem. Podejrzewaliśmy, że królik modli się w nocy, żeby stać się duchem. Nigdy nie wychodził, nigdy nie był na słońcu; nigdy nie dostawał marchewki i nie miał okazji poskakać; nie miał żadnych króliczych przyjemności. Zwykle albo się trząśł, albo spał. Nie dbał o higienę. Rano dał podłożone mu na noc gazety i wciągał wilgotne kawałki do pyska, żuł je i połykał w całości. Bibliotekarka z działu dla dzieci powiedziała, że to normalne, ale my uważaliśmy, że królik stara się przedawkować, używając tego, co mu dostępne.

Za to zięby, zamieszkujące w sześć wspólną klatkę, wydawały się szczęśliwe. Co do samopoczucia ryb w akwarium nie mogliśmy się wypowiedzieć. Może płakały w przerażającej ciszy swojego lokum. Od czasu do czasu jakiś pies wślizgiwał się do środka w poszukiwaniu właściciela,

a pewna kobieta przyniosła kiedyś kota i zostawiła płaczącego jak dziecko w przedsionku, żeby oddać pożyczone wideo. „Spieszę się” – powiedziała przy stanowisku wypożyczeń. „Mój kot na mnie czeka”. Raz jakiś mężczyzna znalazł przed biblioteką rannego ptaka i przyniósł go, żeby na stanowisku informacyjnym pomogli mu go zidentyfikować. Gdy uchylił dłoń, żeby uwidocznić osobliwości jego upierzenia, ptak postanowił jednak pożyć i poleciał w najwyższy róg antresoli, aż do repliki fryzu partenonńskiego, który zdobił czytelnię. Mieszkał tam wiele dni, uruchamiając w nocy czujniki ruchu. Nigdy nie podleciał do stanowiska informacyjnego na tyle blisko, żeby udało się go zidentyfikować.

To byłoby na tyle, jeśli chodzi o ciekawostki ze świata natury, chyba żeby zaliczyć do nich dzieci, które często zachowywały się jak dzikie bestie: nie kilkulatki, które nie mogły się odkleić od klatki z królikiem, tylko dziesięcio- i jedenastolatki, które zrzucały książki z antresoli albo kładły patykowate nogi na stołach, albo wrzucały co popadnie, dla głupiego dowcipu, do okienka na zwracane książki. To były drzwiczki w fasadzie biblioteki, które otwierały się jak drzwiczki piecyka. Wrzucana tam książka trafiała do specjalnej szafki w dziale wypożyczeń. Śnieg zimą, petardy latem, puste butelki po coli przez cały rok. Kiedyś w weekend jakiś mężczyzna skorzystał z tego okienka jako publicznej toalety, niszcząc kilka książek. – „Mocz jest sterylny” – powiedziała szefowa działu wypożyczeń swoim pracownikom, wrzucając przemoczoną książeczkę o kocie Garfieldzie do kosza na śmieci, choć najwyraźniej nikt nie wierzył w ten bezsprzeczny naukowy fakt, nawet ona sama.

Tego właśnie dnia, w poniedziałek, po raz pierwszy zobaczyliśmy Juliet.

Była młodą kobietą, sądziliśmy, że przed trzydziestką, z długimi, ciemnymi i rozpuszczonymi włosami. Ubrana była na biało i w pierwszej chwili pomyśleliśmy, że ma na sobie uniform, że może jest pielęgniarką –

miała w sobie coś z pielęgniarki, była miła, zdecydowana i niedawno się rozwiodła. A może była z jakiegoś mniej znanego zakonu, bo do naszej biblioteki zaglądały od czasu do czasu jakieś siostrzyczki. Ale okazało się, że po prostu tego dnia ubrała się na białe. Może wcale nie była ubrana na białe, może tylko tak nam się teraz wydaje, bo na zdjęciu, które tak często później widzieliśmy, była na białe. W każdym razie były w niej samotność i nadzieja. Stała cierpliwie przy pierwszym stanowisku, czekając, aż ktoś ją obsłuży. Jakiś mężczyzna przed nią wypełniał wniosek o kartę biblioteczną. W linii ZAWÓD wpisał PRACOWNIK.

Ścisnęła w dłoniach książkę w taki sposób, że wyglądała jak nóż, którym chce zranić samą siebie, i to między innymi z tego powodu zaczęliśmy nazywać ją Juliet. Do tego jej zwyczaj opierania się o poręcz antresoli, która okalała czytelnię, i patrzenia w górę zamiast na dół, w pochmurną zieleń świetlika. Jej książka miała granatową, ziarnistą, przypominającą skórę okładkę, w jakie zwykle oprawiane są pamiętniki i darmowe egzemplarze Biblii.

– Czy to do zwrotu? – zapytał ktoś.

– Nie – powiedziała. – Nie, to moje. Tylko że ja tu nigdy nie byłam i zastanawiałam się, co moglibyście mi opowiedzieć.

Wskazano jej różne działy – audiowizualny tam, dziecięcy tu, a biblioteka dla dorosłych na górze. Zaproponowano ulotkę.

– A mogę dostać kartę?

Czy mieszka w tym mieście? Tak. Czy miała już u nas kartę? Nie. Czy ma dowód zamieszkania i dokument ze zdjęciem?

– Nie przy sobie – odpowiedziała. – W takim razie następnym razem. Teraz się tylko rozejrzę.

Mieliśmy oczywiście stałych czytelników, którzy byli naprawdę wymagający. Ludzie chcieli nie tylko książek, ale też uwagi i porady,

a w przypadku pewnego wdowca – okazji do czułego poklepania damskiej pupy. Mieliśmy nastolatków, którzy przychodzili codziennie, żeby poczytać albo się zdrzemnąć, albo skorzystać z internetu z dala od rodziców; matki z maluchami, usypującymi ścieżynki z okruchów serowych krakersów. Mieliśmy dwóch czytelników, o których wiedzieliśmy, że zmienili płęć, jeden był teraz radykalną lesbijką, przychodził ze swoją dziewczyną, nosił T-shirt z napisem: BO JESTEM NAJEPSZA I JUŻ i bardzo lubił plotecki. Drugi to nieśmiała, dziewczęca, obwieszona bransoletkami Janice. Kiedyś była Jonathanem, który trzy razy z rzędu wygrał gimnazjalny konkurs naukowy, i pod oboma imionami należała do najczęściej odwiedzających nas gości. Była też kobieta bez brwi, która nigdy się nie odzywała, i miła, paranoiczna starsza pani, która od czasu do czasu w uroczy sposób oskarżała nas o próbę otrucia. Było wielu krzykaczy, zwykle biznesmenów, którzy sądzili, że mogą zagrozić nam utratą pracy, i nie mogli zrozumieć, dlaczego skromni miejscy urzędnicy się ich nie boją. Jeden blondyn – z twarzą tak ceglastą i chropowatą jak piłka do kosza – wrzeszczał: „Gdzie jest ten facet, który nie pozwolił mojemu synowi wypożyczyć książek?”. Rzeczony facet był na zewnątrz, nieświadomy niczego palił papierosa, i choć sprawę załatwiono, widać było, że tamten mężczyzna ma tak naprawdę ochotę komuś przyłożyć.

Syn tego pana, który wyglądał dokładnie jak on, tylko miał gładką cerę, nie wydawał się ani zaniepokojony, ani zaskoczony zawieszeniem swojej karty biblioteczej. Był cichym chłopcem, który musiał kilka razy oblizać usta, zanim cokolwiek z nich padło, a potem stwierdzał jedynie: „Okej”. W każdym razie okazało się, że wypożyczał książki dla swojego dziadka. Pracownik przy stoisku poinformował ojca, że wystarczy po prostu, żeby chłopak przychodził z kartą dziadka.

Proszono nas o porady miłosne, pytano, jak napisać CV i czy nie wiemy,

gdzie ktoś jest.

– Widziała pani dziewczynkę? – pytał jakiś dzieciak, a szefowa działu wypożyczeń odpowiadała znużonym tonem:

– Nawet nie jedną.

Jeden pan zadzwonił, bo chciał się dowiedzieć, czy jego córka, z którą nie widział się od pięciu lat, nie ma przypadkiem u nas karty, z której ostatnio by korzystano.

– Chciałbym ją zobaczyć – powiedział, gdy poinformowano go, że dane biblioteczne są poufne. – Myślę, że parę lat temu mogła próbować się ze mną skontaktować.

Gdy dzwonił ktoś taki – na przykład kobieta, która chciała się dowiedzieć, jak powstrzymać złe myśli – stanowisko wypożyczeń chętnie odsyłało taką osobę do stanowiska informacji bibliotecznej, bo wydawało się, że są to kwestie raczej dla bibliotekarzy zawodowców.

Juliet zaskoczyła nas, przychodząc codziennie, czysta, wykrochmalona. Zwykle ludzie, którzy tak często się zjawiali, wyglądali nieco gorzej z każdą kolejną wizytą. Nigdy nie wyrobiła sobie karty bibliotecznej, ale wielu naszych ulubionych czytelników tego nie robiło. Preferowała dział dla dzieci. Zaprzyjaźniła się z tamtejszą bibliotekarką, młodą kobietą, która wszystko mówiła tak, jakby czytała jakąś historię, jakby końcówka zdania zawierała wspaniałą niespodziankę: żebrak okazywał się zaginionym księciem, a mówiący ludzkim głosem mały miś nie bał się już ciemności. Bibliotekarka z działu dla dzieci nie miała w pracy przyjaciół. Nosiła cygańskie spódnice, buty na grubych podeszwach i długie, czarne naszyjniki z wisiorami. Juliet uśmiechała się, słuchała historii bibliotekarki, pocieszała ją w dniu, gdy sobowtór Harriet Tubman¹ nie pojawił się na specjalnym występie z okazji Miesiąca Historii Czarnych Amerykanów. Raz w tygodniu jadły razem lunch w parku naprzeciwko biblioteki, na jednym z betonowych stołów

z szachownicą. Juliet często rozmawiała z królikiem. On obrzucał ją swoim nieszczęsnym spojrzeniem: kolejna wstrętne para rąk sięgająca w głąb klatki. Widok ludzkiego ciała przyprawiał naszego neurotycznego królika o dreszcze.

Pod tym względem królik nie różnił się zbyt od szefa działu informacji, który był zrzędlivy od tak dawna, że jego złe humory przerodziły się w zabobony. Był ograniczonym człowiekiem, który uważał, że zapytania o odnośniki czy dane ze zbioru informacji bibliotecznej stanowią coś w rodzaju kradzieży duszy. Szczególnie podejrzliwy był wobec Juliet. Coś zbyt pogodna jest ta osóbką i do tego mówi „dzień dobry” za każdym razem: ona na pewno czegoś chce. Stanowiła potężne, wyrafinowane niemożliwe, wymagające, śmiertelne zapytanie, takie, które rozpoczyna się od katalogów trzymany na biurku, a potem prowadzi do encyklopedii, do artykułów prasowych, aż wreszcie do jakiegoś nieznanego leksykonu przechowywanego w piwnicy, do jakiegoś obrzuconego kłutwą woluminu, który zabija każdego, kto go otworzy. I nawet wtedy odpowiedź się nie znajdzie.

– Nie ufam jej – powiedział szef działu informacji. – Ona czegoś chce.

Pozostali bibliotekarze niemal tratowali się przy stoisku informacyjnym, żeby przejąć czytelników, zanim trafią na szefa ich działu, który twierdził, że nie wie nic na temat jakiegokolwiek kwestii, która choćby powierzchownie zdawała się mieć jakikolwiek związek z nauką.

Wiadomość docierała do nas stopniowo. Kogoś zamordowano. Kobieta. Mieszkanke naszego miasta. Zabito ją w jej własnym domu. Zadano dziesięć ciosów nożem, dwadzieścia, sześćdziesiąt trzy. Wydawało się, że zbadanie ciała zajmuje policji całą wieczność, co wzbudziło kolejne plotki: w ciągu ostatniej godziny odkryto kolejne pięć ran. Niemal widziało się tych

gliniarzy, jak jeden z nich stawia ołówkiem kreseczki w notatniku, a pozostali obracają ciało w tę i we w tę, szukając tego, co ani nie było dowodem, ani nie stanowiło przyczyny śmierci – umarła, gdy nóż wbił się w jej ciało zaledwie kilka razy. Po ostatecznym podliczeniu wyszło dziewięćdziesiąt sześć.

Morderstwo. Liczyliśmy na dwie rzeczy: na to, że nie znamy ofiary i na to, że znał ją morderca. „Błagam – modliliśmy się, choć nigdy nie wypowiedzieliśmy tych modlitw na głos – niech to będzie jej mąż albo chłopak”. Chcieliśmy przeczytać w gazecie: *W zeszłym tygodniu złożyła wniosek do sądu o zakaz zbliżania się*. Czy nie tak było w przypadku każdej zamordowanej kobiety? Nikt z pracowników biblioteki nigdy nie złożył wniosku o sądowy zakaz zbliżania się, poza zastępcą dyrektora biblioteki, który zrobił to w stosunku do swojej siostry. A to zupełnie inna sprawa.

I wtedy, w wieczornych wiadomościach, zobaczyliśmy jej zdjęcie: Juliet.

To nie była taka zwykła, niewyraźna fotografia ofiary, coś, co wygląda tak, jakby ostatnią rzeczą, jaką tuż przed śmiercią zrobiła zamordowana osoba, było sprawienie przyjemności staremu wujkowi z aparatem. Zdjęcie Juliet – to, które ukazało się we wszystkich wiadomościach i na okładkach wszystkich gazet – było wyraźne, ostre i piękne. Miała uczesane włosy. Ubrana była w białą suknię z odsłoniętymi ramionami. W zależności od tego, jak w danej gazecie czy programie telewizyjnym przycięto fotografię, widać było ramię jej partnera, noszącego białą marynarkę i czarną muszkę. On nadal żył; nie było potrzeby go pokazywać. Nie był podejrzany.

Nazywała się Suzanne Cunningham. Miała trzydzieści cztery lata. Rzeczywiście była rozwódką (jak podejrzewaliśmy) i miała troje dzieci (nie mieliśmy o tym pojęcia). Syn, najstarszy, miał piętnaście lat, a dwie dziewczynki dwanaście i trzynaście. Bibliotekarka z działu dla dzieci wszystko to oczywiście wiedziała, ale nie chciała rozmawiać. Wzięła nawet

akurat kilka dni zwolnienia w czasie, gdy dokonano morderstwa, a my pozwoliliśmy sobie na kilka niewybrednych dowcipów, że to bardzo podejrzane. Och, ta słodycz, pogoda, artystyczna dusza – wcale nie daliśmy się zwieść. To na pewno sadystka. Zobaczcie, jak traktuje biednego królika.

Nie wierzyliśmy we własne żarty, ale potrzebowaliśmy ich. Nasze miasto było dość spore, lecz nie było wielkim miastem. Nazwiska słynnych morderców i zamordowanych kobiet – oczywiście często łączyło ich to samo nazwisko – ukazywały się w gazecie metropolitalnej, nie w naszych, lokalnych mediach. Nie widywaliśmy tych twarzy z bliska, ani nie przechodziliśmy obok tych domów.

Jedyną rzeczą, jaką powiedziała bibliotekarka z działu dziecięcego, gdy przyszła poprosić dyrektora o wolne na resztę tygodnia, było:

– Ona wiedziała. Ona wiedziała, że ktoś chce ją zabić.

Jedna z bibliotekarek z działu informacji potwierdziła to: Suzanne Cunningham poprosiła ją kiedyś o książkę, z której dowiedziałyby się, jak trzymać ludzi z daleka od swojego domu.

– Włamywaczy? – zapytała bibliotekarka.

– Kogokolwiek – odpowiedziała Suzanne Cunningham. – Wydaje mi się, że ktoś zakrada się do mojego domu.

Bibliotekarka wyszukała poradnik o zapobieganiu przestępczości, ale Suzanne Cunningham uśmiechnęła się tylko i odłożyła go na stół, nie czytając.

Poczuliśmy się lepiej – to chłopak, na pewno, albo nawet były mąż – ale zastanawialiśmy się, dlaczego gazety nic o tym nie piszą. Książka, którą ze sobą nosiła: to musiał być pamiętnik – tam na pewno są wskazówki. Zastanawialiśmy się, dlaczego nie zgłosiła się na policję. Jak ktoś zakrada ci się do domu, to powinno cię to chyba zaniepokoić, nie?

Może nie. Może nie wiesz, że ktoś tu był, tylko tak podejrzewasz. Nic nie

zostało rozbite ani przestawione; żadne zwierzę się nie wystraszyło. Jest tylko poczucie, że ktoś tu był, poczucie beztroskiej obecności kogoś, kto nie wie, jak ten dom funkcjonuje. Tylne drzwi trzeba docisnąć jednocześnie kolanem i ramieniem; krany w kuchni odkręca się za pomocą klucza; buty należy otrzepać z błota, telefon nie zawsze daje się odwiesić na miejsce i trzeba uważać na drzwi od lodówki – gwałtownie się otwierają. A potem pewnego dnia, gdy dzieci są u ojca – na całe szczęście, jak się okazuje – wracasz do domu i zaskakujesz go w kuchni. Może już od dawna wiedząc, kim jest.

A może on nawet coś do ciebie czuje. Tak to już jest z zadurzeniami – czasem są niezauważalne, jak w szkole, gdy mówią ci, że zakochał się w tobie jakiś chłopak, bo można to poznać po tym, jak cię ignoruje. Właśnie to, w jaki sposób cię ignoruje, tego dowodzi. Okropne słowo, zadurzenie – prawie jak duszenie, od jednego i od drugiego można umrzeć. Pamiętasz, jak słuchałaś muzyki, która znaczyła dla ciebie tak wiele, a zupełnie nic, z całą pewnością, dla twoich bliskich. Kto wie, czego dziś słuchają nastolatki; twój własny syn puszcza muzykę, przy której nie wyobrażasz sobie, by ktoś mógł omdlewać; twój własny syn przyjaźni się z chłopcem, który jest teraz w twojej kuchni i oblizuje nerwowo usta. Wiesz o nim wszystko: to opiekun dziecka, sąsiad, ma szesnaście lat, ale jest wielki, wystarczająco duży, żeby delikatnie i bez obaw przerzucać sobie nad głowę roześmianego pięciolatka; ministrant, który chodzi do biblioteki pożyczać książki dla dziadka, w kieszeni ma jego niezablokowaną kartę biblioteczną; dobry chłopiec, który kocha rodziców, a rodzice kochają jego.

Nie wiesz jedynie tego, że on ma nóż i że go przestraszyłaś.

Ale dziewięćdziesiąt sześć razy? Nie mogliśmy sobie tego wyobrazić. Spróbowaliśmy sami, delikatnie uderzaliśmy nożami, dziewięćdziesiąt sześć razy. Poddaliśmy się, zmęczyliśmy się, zrobiło nam się niedobrze.

Cztery dni później dokonano aresztowania. Oskarżonym był jasnowłosy chłopiec, którego ojciec przyszedł z awanturą. Też korzystał z naszej biblioteki. I też wszyscy go znaleźliśmy: Tommy Mason. Masonowie to liczna i znana rodzina w naszym mieście. Dziadek Tommy'ego był kiedyś burmistrzem, w latach pięćdziesiątych.

Ministrant, dobry chłopiec, chłopiec z kartą biblioteczną. Czy taki chłopak mógł być winny? Mieszkał naprzeciwko zamordowanej kobiety. Odśnieżał jej podjazd zimą; jego siostry skautki sprzedawały jej ciasteczka. Przyjaźnił się z najstarszym dzieckiem Suzanne Cunningham, Kevinem. To Kevin znalazł ciało matki.

W ciągu dwudziestu czterech godzin każdy pracownik biblioteki, który mógł, sprawdził zapisy wypożyczeń na koncie oskarżonego. Karta Tommy'ego Masona wciąż była zablokowana i nic nam nie mogła powiedzieć: jedna jedyna książka – *Mydło i nauka*, bez wątpienia do szkoły. Sprawdzaliśmy codziennie dane książki: tytuł, autora (Bell), rok wydania (1993), datę zwrotu (czwartego maja dwa lata temu). Chcieliśmy się czegoś dowiedzieć. Mieliśmy tylko te suche dane.

Nie powinniśmy byli tego oczywiście robić. Powinny obowiązywać nas etyka zawodowa i przepisy dotyczące prywatności, ale czuliśmy, że wolno nam je łamać, tak jak w pewnych ekstremalnych przypadkach akceptuje się kanibalizm.

Trafił do więzienia i nic nie mogło przekonać sędziego – przypadkiem też naszego czytelnika – żeby wypuścić go za kaucją. Wieści dochodziły z otoczenia i z telewizyjnych wiadomości. Pan i pani Mason udzielili wywiadu w swojej kuchni. Przysięgali, że to niemożliwe, że czas pokaże, iż mieli rację. Proszę spytać kogokolwiek z sąsiadów: Tom był wspaniałym chłopcem. Nawet dziewczynami się nie interesował – po co miałby mordować jakąś kobietę? Ręce państwa Masonów leżały splecione na blacie

stołu; palce mieli identycznie różowe, ich dłonie tworzyły solidny węzeł. Pan Mason był spokojny i rozsądny. Zastanawialiśmy się, czy Tommy Mason wziął na siebie jego winę. Pamiętaliśmy wrzeszczącego ojca, czerwonego ze złości, że śmieliśmy odmówić czegoś Tommy'emu; z pewnością wyładowywał ten swój gniew na rodzinie.

Dziennikarze z gazet rozmawiali z sąsiadami. „Taki miły chłopiec. Ale coś w nim było. Nie złościł się. Wiecie, tak jakby był wyłączony – jakby nie miał emocji. Był nieśmiały. Był samotnikiem. Marzycielem. Czasem zaglądał ludziom przez okna”.

Naprawdę nie było żadnych dowodów poza mętными plotkami. On naprawdę był – kiedyś? – dobrym dzieckiem, no kto by się spodziewał? Książkę, którą Juliet przy sobie nosiła, znaleziono w jej salonie; były tam tylko szkice jej dzieci. Może rodzice Tommy'ego Masona – i część ludzi z ulicy, którzy stracili już przecież kogoś z sąsiadów– mieli rację. Może Tommy Mason był niewinny, a dwaj mężczyźni, których, jak twierdził, widział, gdy uciekali z miejsca zdarzenia, wciąż przebywają na wolności i śnią o swojej zbrodni doskonałej. Tylko jedno idealne przestępstwo: ofiary nie zgwałcono, domu nie obrabowano, nawet przy drzwiach nie majstrowano.

W piwnicy znaleziono dwa krwawe odciski palców, należały do Tommy'ego Masona. Krwawe, ale to nie była jego krew. Policja tak powiedziała, a my uwierzyliśmy.

Tommy Mason pozostał w areszcie, a ludzie przestali wierzyć, że tego nie zrobił. Oczywiście, że to zrobił. Reporterzy z telewizji nie byli już zainteresowani wersją wydarzeń według jego rodziców. Pewnego dnia na sąsiedzkim pikniku w parku trener Małej Ligi powiedział:

– Biorąc pod uwagę kłopoty w naszej okolicy w ostatnich miesiącach... –
A była tam jedna z sióstr Tommy'ego Masona. Poszła do domu powiedzieć

pani Mason, która przyszła i stanęła na skraju boiska do baseballu. Pani Mason była drobną kobietą, jak na takiego dużego syna, a wyglądała na jeszcze mniejszą, pocięta na romby przez siatkę metalowej bramki.

– Jeszcze pożałujecie! – zawołała. – Zacisnęła palce na siatce. – Jeszcze zobaczycie, mój Tommy tego nie zrobił! Zobaczycie, dupki!

Niektórzy zastanawiali się, czy do niej nie podejść, nie powiedzieć czegoś pocieszającego. Ale wystraszyła ich, potrząsając siatką. Jeszcze zaczęli się po niej wspinać. Odeszli w inną stronę. Czekali, aż przestanie.

A może nigdy nie przestanie. Co poradzić? Twój chłopiec, twój jedyny syn – bez względu na to, czy kogoś zabił, czy nie, chociaż tego nie zrobił – jest stracony. On nigdy by nikogo nie zabił. Nawet nie lubił oglądać horrorów. Zawsze okazywał szacunek. Wierzy w Boga. I gdyby – chociaż tego nie zrobił! – gdyby ją zabił, to przecież jedno życie już zostało stracone. Twoje dziecko żyło w twoim domu, zostało ci odebrane i jedyne, na co możesz mieć nadzieję, to że w końcu wróci. Będzie zniszczony. Jedyne, na co możesz liczyć, to że twój zniszczony chłopiec wróci do domu.

Tommy Mason – bez względu na wszystko – już był niewątpliwie zniszczony. Gazety odnosiły się do „sprawy Tommy’ego Masona”, a nie do „morderstwa Suzanne Cunningham”. Za pięćdziesiąt lat dzieci z okolicy będą przy dzieleniu się na drużyny do gry w piłkę recytować rymowanąkę o Tommym Masonie, nie wiedząc nawet dokładnie, kto to był. Tommy Mason miał duży nóż / Tommy Mason zabił już / Zrobił nożem ciach, ciach, CIACH!

Lepiej bądź grzeczny, bo inaczej przyjdzie po ciebie Tommy Mason.

Bibliotekarka z działu dla dzieci była niepokieszona. Zamyślała się, gubiła wątek opowieści, zapomniała słów rymowanek. Zapomniała też nakarmić królika, który umarł tydzień później. Kłatkę trzeba było czymś przykryć, żeby dzieci nie zaglądały. Królik leżał tak całe rano, aż ktoś

z zakładu gospodarki komunalnej w końcu przyjechał i go zabrał.

– Wiesz – powiedziała tego dnia bibliotekarka z działu dla dzieci do szefowej działu katalogowania – nawet teraz słyszę, jak mówi do mnie: „Mam dobre życie. Nawet jeśli jutro umrę, niczego nie będę żałować”.

Szefowa działu katalogowania popatrzyła na nią i pomyślała: „Ten królik nic takiego nie mówił”.

– Suzanne – powiedziała bibliotekarka z działu dziecięcego. – Nie obchodzi mnie królik. Mówię o Suzanne.

Ale to – gdy wieść rozniosła się po bibliotece – wydawało się głupie. Miała dzieci, które po niej rozpaczały – czy ich nie byłoby jej żal? Jak pogodna Suzanne, pogodna Juliet, z tą swoją książką i ciemnymi włosami, i trójką ukochanych i kochających dzieci, mogła pomyśleć, że gdyby miała jutro umrzeć, niczego by nie żałowała? Pomyśleliśmy, że może straciła życie przez nieostrożność i niedbałość. My nie bylibyśmy tacy lekkomyślni, gdyby chodziło o nasze życie. Różnica polegała na tym, że naszego nikt nigdy odebrać nie chciał.

Czy on ją kochał? Mamy encyklopedie zbrodniarzy, antologie wierszy miłosnych, podręczniki o zaburzeniach psychicznych. Wszystko bezużyteczne. W gazetach pisali, że do niczego się nie przyznał, do miłości też nie. „Jest przestraszony” – powiedział jego adwokat. Nigdy nie słyszeliśmy, jak mówi, i może nigdy nie usłyszymy.

Zgorzkniały szef działu informacji bibliotecznej czytał artykuły w gazetach, żałując, że nie miał do Juliet zaufania. W nocy śnił o Suzanne Cunningham stojącej na antresoli w czytelni. Widział sam siebie, jak pokazuje jej różne rzeczy, stare wydania czasopism, rzadkie formularze podatkowe, książki z najlepszymi recenzjami. Wszystko, byle ją odzyskać.

Królik nie żył. Może zabiła go bibliotekarka z działu dla dzieci, ale twierdziła, że był po prostu stary, a tylko ona cokolwiek wiedziała

o królikach. Tego dnia, gdy był przykryty w klatce, pomyśleliśmy, że powinniśmy pogrzebać go za biblioteką, obok parkingu dla pracowników. Moglibyśmy zrobić z tego coś edukacyjnego i pożytecznego, zajęcia dla dzieci o śmierci. Czy rodzice nie grzebią domowych zwierząt, wygłaszając przy okazji miniwykład, ułożoną naprędce żałobną mowę i nucąc smutną melodyjkę z dłonią przyłożoną do ust niczym trąbka? Może...

– To tylko cholerny królik – powiedziała głośno bibliotekarka z działu dla dzieci w obecności grupki uczestników zajęć artystycznych dla przedszkolaków. – Nic nie znaczy. – A potem westchnęła. – Będzie mi brakowało Jessiki – powiedziała.

Jessiki? Chyba miała na myśli Juliet.

– Jessiki – powtórzyła. – Jessiki Królicy.

Tommy Mason miał trzy siostry, które były do niego bardzo podobne. Wszystkie wyglądały, jakby były z tego samego rocznika, jakby były bliźniaczkami, albo przychodziły na świat rok po roku, albo jedno i drugie jednocześnie. Wszystkie były wysokie, jasnowłose i miały piękną cerę, różane policzki, czy raczej rzodkiewkowe, czerwone z bielą pod spodem. Zaczęły z powrotem przychodzić do biblioteki z kartą dziadka. Wciąż czytały książki.

Przez jakiś czas się zmieniały. A potem jedna zaczęła przychodzić tydzień w tydzień. To była szczupła dziewczyna, ktoś powiedział, że to najstarsza z Masonów. Miała ze dwadzieścia lat. Ładna, jak Juliet – jak Suzanne – ale blada, niczym lustrzane odbicie. Można by je alegorycznie przedstawić na starym portrecie, albo obsadzić w roli sióstr w telewizyjnym serialu, choć Suzanne Cunningham była o wiele lat starsza. Siostra Tommy'ego Masona używała karty dziadka i nigdy się do nikogo nie odzywała.

Jakoś tak się stało, że ją pokochaliśmy. Wyglądała na grzeczną, odpowiadała skinięciem głowy na powitanie. Niemal zapomnieliśmy, kim jest, tak jak niemal zapomnieliśmy, że Janice była nerwowym młodzieńcem z obsesją na punkcie robotów i z delikatnym, słodkim wąsikiem. Stała się sobą.

Nasz budynek był całkiem ładny, tak do połowy lat siedemdziesiątych, bo wtedy niestety los zetknął go z niewłaściwym architektem. Ten zburzył wspaniałe marmurowe schody, które prowadziły od wejścia do czytelnicy, i odciął pierwsze piętro od górnych poziomów; wybudował ściany z surowej cegły i schody, które były wyłącznie schodami i służyły wyłącznie do komunikacji. I teraz ludzie, którzy pracowali w działach na pierwszym piętrze – w dziale dziecięcym i dziale wypożyczeń – mogli przez wiele dni nie widywać swoich kolegów z innych pięter.

Więc dzień, w którym bibliotekarka z działu dla dzieci weszła na górę do działu informacji i wpadła na siostrę Tommy'ego Masona, mógł być pierwszym dniem, kiedy się kiedykolwiek spotkały. W dziale wypożyczeń dobrze znali dziewczynę od Masonów; w dziale informacji widywali ją zamysloną w dziale kryminałów. Bibliotekarka z działu dziecięcego rzadko opuszczała swoją salę, swoje pacynki i puzzle. Ktoś inny przejął karmienie zięb i rybek.

Rozpoznała siostrę Tommy'ego Masona, bo pamiętała ją z wiadomości telewizyjnych i sąsiedzkich plotek. Przyglądała się przez chwilę i potwierdziła jej tożsamość z szefem działu informacji. „Przecież nie zaszkodzi, że jej powiem” – pomyślał.

Siostra Tommy'ego Masona była w dziale kryminałów, bo właśnie takie książki nadal czytał jej dziadek. Może potrzebował ich zwłaszcza teraz, żeby przekonać się, że z morderstwami jest tak: ktoś ginie, są jakieś tropy i wyjaśnienia, na końcu jakiś szaleniak albo zgorzkniała żona zostają

wyprowadzeni w kajdankach i nie płacze nikt poza mordercą. Patrzyła na książki, na symbol czaszki i skrzyżowanych piszczeli na naklejkach, które dział informacyjny przyklejał na grzbietach kryminałów. Wybrała trzy, przytuliła je do piersi i była już w połowie drogi do schodów, gdy bibliotekarka z działu dla dzieci zastąpiła jej drogę i powiedziała:

– Ja ją znałam, wiesz?

Siostra Tommy’ego Masona spojrzała w dół. Zawsze tam patrzyła. Bibliotekarka z działu dziecięcego pochyliła się, żeby napotkać jej spojrzenie.

– Znałam kobietę, którą zamordował twój brat. – A potem, swoim wyćwiczonym głosem, tym spokojnym, który wyjaśniał, że Rosetta to nie imię księżniczki, tylko miejsce pochodzenia ważnego archeologicznego zabytku, dodała: – Twój brat jest potworem. Dziwolągiem.

Wszyscy je obserwowali, bibliotekarkę z działu dla dzieci w jej małych, sztywnych trzewikach i siostrę Tommy’ego Masona ubraną tak, jak wszystkie odwiedzające bibliotekę nastolatki: luźne spodnie, buty sportowe, ciepła bluza z kapturem – zawsze gotowe, by w każdej chwili uciec. Ale ona nie uciekła. Stała tam, a potem odwróciła się i podeszła do stołu. Bibliotekarka z działu dla dzieci zeszła po schodach. Specjalnie głośno stukała butami. Siostra Tommy’ego Masona usiadła i się rozplakała.

Z początku nie wyglądało to poważnie i ludzie uznali, że najlepiej będzie się nie wtrącać. Trzymała książki tak, jakby były kompresem na jej serce, a łzy spływały jej po twarzy i kapały na stół, w którym powycinano serca, deklaracje miłosne i życiowe sentencje: C.K. TU BYŁ, WANDA + BILLY. Nic o niej nie wiedzieliśmy. Nie mieliśmy nawet pojęcia, jak ma na imię.

Siedziała tam przez godzinę. Bibliotekarze z działu informacji nie wiedzieli, co robić. Ktoś z nich podszedł do niej i powiedział:

– Skarbie, zadzwonić po kogoś?

Dziewczyna nawet nie drgnęła. Jej łzy spływały tak równomiernie, jakby były sztuczne, wytwarzane w jej wnętrzu tylko w tym celu, żeby rozlewać się ciemną plamą na stole, wypełniać powycinane w jego blacie rowki.

Szef działu informacji zadzwonił do działu dziecięcego.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział do telefonu. – Proszę tu przyjść.
– Inni bibliotekarze pomyśleli, że to tak, jakby prosić węża, żeby przyszedł wyssać ci jad.

Można się domyślić, że bibliotekarka z działu dla dzieci spodziewała się bury. Zakładała, że dziewczyna, którą oskarżyła, już dawno sobie poszła, a jej słuszne słowa omawiają teraz przy obiedzie wściekli Masonowie. Ale dziewczyna tam była.

Cóż, skoro tak... Młoda bibliotekarka z działu dziecięcego usiadła przy stole. Miała bardzo niezgrabne ruchy. Szepnęła coś do płaczącej dziewczyny. Sięgnęła, by dotknąć jej łokcia. Ale łokieć pozostał przyciśnięty.

– Nie chciałam – powiedziała bibliotekarka.

Brak reakcji.

– Czuję się zagubiona...

– Nie mam słów...

– Bez niej...

Zmarła osoba jest jak zgubiona rzecz. Wiesz o tym. A mimo to szukasz tego, co utraciłaś. Wiesz – nauczono cię tego – że to, co posiadałaś, nigdy do ciebie nie wróci. Ale wciąż coś ci się należy. Nie możesz zjeść lunchu z przyjaciółką, patrząc na jej palce markujące ruchy na szachownicy. Nie możesz usłyszeć tych samych palców na klawiaturze komputera ani poczuć ich na swoim ramieniu w chwili, gdy tego potrzebujesz. Ludzie zabierają swoje ręce ze sobą, bez względu na to, dokąd się udają.

Z pewnością gdzieś na świecie istnieje szczęście. A Bóg ci wybaczy, jeśli przez moment ulegniesz powszechnemu złudzeniu, że szczęście można

stworzyć – mogłabyś przysiąc, że któryś z uczniów przygotowywał na szkolny konkurs projekt na ten temat – kiedy dwoje nieszczęśliwych ludzi wpada na siebie i jedno z nich czyni to drugie jeszcze bardziej nieszczęśliwym. Są emocje, jest energia. To działa: czujesz, jak coś w tobie rośnie. Ale nie trwa.

Bibliotekarka z działu dla dzieci też zaczęła płakać. Nie jak siostra Tommy’ego Masona, piękna w swoim smutku, ale jak kilkulatek, któremu nie pozwolono dłużej pobawić się królikiem. Rysy jej twarzy zmieniły się nie do poznania. Gdy złapała oddech, aż dało się to usłyszeć, jakby ją zabolalo. Nikt jej nie współczuł. A potem wstała od stołu i weszła po schodach na antresolę, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Mijając stanowisko działu informacji, powiedziała:

– Powiadomcie jej rodzinę.

Musieli znaleźć numer, sprawdzając kartę Tommy’ego Masona. Wciąż była zablokowana.

– Pani Mason? – zapytał szef działu informacji. Zabrzmiał groźnie. Zaczął: – Pani córka... – Ale to wypadło jeszcze gorzej. Potem powiedział: – Tu biblioteka... – Jakby to budynek dzwonił. – Pani Mason, tu biblioteka. Z pani córką wszystko w porządku, jest tutaj, ale dobrze by było, gdyby pani po nią przyszła.

Przybyła cała rodzina, a ojciec o rumianym obliczu usiadł obok niej przy stole.

– Sarah – powiedział – nie chcesz pójść do domu? Chodźmy do domu, Sarah.

A wtedy i matka, i siostry też to powiedziały:

– Chodźmy do domu, Sarah. – I stali tam tak, a my zastanawialiśmy się, czy kiedykolwiek wyjdą. Może zostaną. Rodziny z problemami mieszkają w gorszych miejscach. Mieliśmy mnóstwo książek i czasopism. Mieliśmy na

dole automat ze słodyczami. Mogli się wprowadzić do działu religijnego w rogu, cichego, dziewiczego zakątka z oknem. Mogliby zaciągnąć zasłonę i mieć święty spokój. Zaciszna ślepa uliczka z dala od chaosu książek kucharskich i zestawów zadań maturalnych.

Nie spojrzeli w górę, by popatrzeć na bibliotekarkę z działu dla dzieci na ciemnych schodach. Sarah im jej nie pokazała.

Masonowie otoczyli Sarah ośmioma ramionami, niczym czuła rodzinna ośmiornica mackami, i wyprowadzili ją z biblioteki. Była dzieckiem, które można było uratować. Można ją było zabrać do domu, dać jej jeść i położyć ją do łóżka; mogli ściągnąć jej wielkie adidasy ze stóp. Rano byłyby tam, gdzie je zostawiła, czekając, aż je włoży, mocno zawiąże sznurówki i rozpocznie resztę swojego życia.

Książki, które przyciskała do piersi, włączyły alarm. Nikt nie zareagował.

Na górze schodów na antresolę bibliotekarka z działu dla dzieci przestała płakać. Kilku czytelników musiało ją obejść, bo to były jedyne schody. Szef działu informacji podszedł do niej. Usiadł obok. Oparł dłoń na jej ramieniu, żeby się podeprzeć.

– Zrobiłaś coś okropnego – powiedział, a ona pokiwała głową. Potem wziął jej rękę, w taki sposób, w jaki chciałby wziąć rękę Juliet albo Sarah – albo tuzina smutnych dziewcząt, które znał, ale o których nigdy nie rozmawiał. – Każdemu się zdarza – dorzucił.

– Nie każdemu – powiedziała bibliotekarka.

– Po prostu wiesz, że tak, i tyle.

Masonowie powinni byli już dotrzeć do domu. Wydawało nam się, że słyszymy, jak zamykają za sobą drzwi.

Minęło wiele miesięcy, odkąd Sarah nas opuściła, a jeszcze więcej od śmierci Juliet. Masonowie poddali się i przeprowadzili do innego miasta w okolicy; Tommy Mason nie stanął jeszcze nawet przed sądem, chociaż

postanowiono, że gdy się tak stanie, będzie sądzony jako młodociany, nie pełnoletni. Od czasu do czasu wspominają o nim w wiadomościach. Rodzina korzysta z innej biblioteki, w mieście, w którym ich dziadek nie był burmistrzem, Mason to nic nie znaczące nazwisko, a ich jasne loki nie zwracają niczyjej uwagi. Ale nie wiedzą, że ich biblioteka jest w naszym systemie komputerowym. Tamta nowa biblioteka jest z nami połączona, co oznacza, że możemy sprawdzać ich karty na komputerze, jeśli chcemy, możemy przedłużać im książki albo anulować kary i zastanawiamy się, czy czasem o nas myślą.

Bibliotekarka z działu dla dzieci żyje ze swoim okrucieństwem. My jej wybaczyliśmy. Chodzimy do sali dla dzieci. Siedzi cicho za biurkiem, wycinając święte mikołaje albo wielkanocne jajka, albo jesienne liście, które dzieci pokryją kuleczkami z bawełny i brokatem. Gadamy do zięb, tych brudasów. Wyobrażamy sobie, że otwieramy klatkę i mówimy im, żeby sobie poleciały – to nie byłby pierwszy raz – śmiało, niech lecą. Choć nie otwieramy drzwiczek, i tak im to mówimy. Zdarzają się, mówimy im, dziwniejsze rzeczy.

1. Harriet Tubman (1820–1913) – amerykańska abolicjonistka, zbiegła niewolnica, działaczka i zwiadowca armii Unii w trakcie wojny secesyjnej.



Dom dwóch trójłapych psów

W grudniowym deszczu budynki wokół rynku miasteczka miały kolor brudnych paznokci. Mimo wszystko Francuzi starali się nieco rozweselić atmosferę. Uliczne lampy zdobiły dekoracje, chociaż w południe Tony nie był w stanie odgadnąć, jaki kształt ukażą zapalone po zmroku żarówki. Krewetek w curry? Obwisłego wola? Ludzie poprzymocowali w oknach nylonowe święte mikołaje, każdy z nich miał przewieszony przez ramię worek z prezentami. Dziesiątki świętych mikołajów, sflaczałych, przemoczonych, zwisających niczym porwane latawce. Wyglądali, jakby ktoś ich zlinczował.

Tony po raz drugi objechał dokoła kryty targ Bazailac gruchotem escortem, którego dopiero co kupił. Razem z Izzy i dziećmi mieszkał w pobliskiej wsi od niemal jedenastu lat. Na początku ludzie z miasteczka nazywali ich *Les Anglais*, bo byli jedynymi Anglikami w okolicy. Teraz Anglicy opanowali całą dolinę. Wystarczy przylecieć do Bergerac Ryanaiem za trzy funty, machnąć francuskiemu urzędnikowi paszportem i gotowe. Można kupić starą plebanię albo młyn za grosze, przerobić budynki gospodarcze na letnie domki i wynajmować je na wakacje, a samemu relaksować się i cieszyć życiem – tak przynajmniej wydawało się Anglikom.

Zanim zdolali skończyć renowację, tracili zapał i zaczęli narzekać, że w okolicy jest już tylu Anglików: wystarczy wybrać się na targ, żeby usłyszeć koszarne, napastliwe głosy swoich rodaków. Tony słyszał, że obecnie modne są Słowenia i Macedonia. Życzył im powodzenia.

Szukał teraz swojego syna. Samochód był prezentem dla niego, a Tony właśnie uświadomił sobie pewien szkopuł: chciał wręczyć Malcolmowi kluczyki i sobie pójść, ale Malcolm, o ile go znajdzie, będzie pijany i będzie chciał dalej pić, więc jak Tony wróci do domu?

Coś wymyślimy, uznał.

Niedziela, zima: wszystko pozamykane poza barem Le Tip Top po jednej stronie rynku i Café du Commerce po drugiej. W obu słychać teraz głównie angielski. Pijący dorywczo zaczynają w Tip Top, a potem dla zmiany otoczenia przechodzą krytym targiem do Commerce. Pijacy wagi ciężkiej trzymają się Commerce. A wśród nich syn Tony'ego, Malcolm.

Szyba oddzielająca parne, zadymione wnętrza Café du Commerce od deszczu była rozmazaną plamą złożoną ze światełek i śladów wypisywanych kredą ofert specjalnych. Podcienia były głębokie i przy dobrej pogodzie Emil, właściciel, rozstawiał pod arkadami stoliki. Teraz wisiał tam tylko skrzypiący szyld z menu dnia. Tony wbił wzrok w drzwi i próbował myślać skłonić Malcolma, żeby się w nich pojawił, ale nigdy nie był w stanie skłonić go, żeby przestał pić, ani myślał, ani słowem, ani błaganiem, ani nawet – żenująco, Tony nienawidził tego wspomnienia – płaczem. Spojrzał w stronę rynku. Gruby mężczyzna nieśpiesznym krokiem przemierzał kryty dachem targ: Sid, kolejny pijak wagi ciężkiej, którego Tony poznał w czasach, gdy sam ostro pił. Tony zatrafił. Sid odwrócił się, jego siwa broda lśniła od wilgoci, a łysa głowa odcinała się od cieni targu. W brzoskwiniowych dresach i bluzie wyglądał niczym gąbka do zmywania dla bogów, dumna i dobrze nasiąknięta. Otwarcie okna w escorcie wymagało użycia trzech rąk,

więc Tony wolał uchylić drzwi samochodu. Sid otworzył je na oścież.

– Dobry Boże – powiedział. Wsunął głowę do auta. – Skąd wytrzasnąłeś taki wóz? Jak cholerny „Nieustraszony”.

– Co? – zapytał Tony.

– „Nieustraszony”. Widziałeś chyba w telewizji. Gadający samochód? David Hasselhoff?

– Nie wiem, o czym gadasz – odparł Tony. – Widziałeś Malcolma? To auto dla niego. Prezent gwiazdkowy. – Kupił go od zwijającego się stąd Włocha. Nie miał pojęcia, czy samochód cokolwiek zmieni, ale na to właśnie liczył.

– Przypomniało mi się coś – stwierdził Sid. – Dokąd się wybierasz? Do domu? Bo mam coś dla ciebie.

Ktoś zawołał od drzwi Café du Commerce. Nie Malcolm. Z baru wyszedł Maorys, były rugbista. Szeroko się uśmiechał. Jego angielska dziewczyna – czyjaś żona – zahaczyła podbródkiem o jego ramię i patrzyła smutnym wzrokiem. Miała pieniądze. Maorys był utrzymankiem. Wyglądali razem jak maska komedii i tragedii zdobiące łuk proscenium.

Sid wyprostował się, a jego brzuch, imponujący kolisty obiekt, wsunął się do auta, przytłaczając Tony’ego.

– „Nieustraszony”, co? – zawołał. Załomotał w dach samochodu.

– HahahahahaHA! – powiedział Maorys, kiwając głową w szybki, dziwnie niepokojący sposób. – Sid! Jasne! Idziesz się napić, Sidney?

Sid schylił się z powrotem do samochodu. Ostatnio to on był kumplem Malcolma, choć miał mniej więcej tyle lat, co Tony. Biła od niego nieprzyjemna aura człowieka, który na odległej wyspie ustanowiłby się bóstwem dla tubylców, używając choćby zegarka i kieszonkowej latarki jako przejawów swojej boskości.

– Jedziesz do domu, tak? – zapytał Tony’ego. – Mam coś dla ciebie.

Zaraz wracam. Chwilunia, okej?

- Widziałeś Malcolma? – powtórzył Tony.
- Nie, stary – odparł Sid. – Od paru dni nie.
- Zapytaj Maorysa, czy jest w barze.
- Chryste, wierzysz, że jest Maorysem? To oszust. On tylko twierdzi...
- Zapytaj.

Sid westchnął i się wyprostował, brzuch znowu się uwydatnił.

- Colin? – zawołał ponad autem. – Malcolm wrócił?

Maorys się roześmiał i pokręcił głową.

– Przykro mi, stary – powiedział Sid do Tony’ego, ponownie klepiąc dach samochodu. – Zaraz wracam.

Tony popatrzył za nim. Pod arkadą Maorys próbował *faire la bise*, ale Sid nie lubił całusów, uchylił się. Weszli do środka. Będzie tam pełno Johnów Irlandczyków. Malcolm mówił, że jest ich już tyłu, że musieli zostać ponumerowani: John Irlandczyk Pierwszy, John Irlandczyk Drugi i tak dalej. Doszli do Johna Irlandczyka Ósmego.

Zimą Café du Commerce pełne było bankrutów i rozrabiaków. O każdym ze stałych klientów z osobna można było powiedzieć, że zapija się na śmierć, jednak przebywając razem, w miejscu publicznym i to we Francji, oni po prostu cieszyli się życiem. Kto nie wolałby zapić się na śmierć za granicą? Matka nie suszy głowy, a wino jest tanie. I nie ma ryzyka, że zrujnujesz sobie tylko zdrowie.

Często bywali z Izzy w Commerce, jak jeszcze stać ich było na wizyty w barach, kiedyś, zanim zbankrutowali. Chodzili tam co wieczór pod pretekstem ćwiczenia francuskiego. To był długi, ciemny, sympatyczny bar, ze stołem bilardowym pośrodku i automatem z orzeszkami w puszkach od frontu. Dziewczynki i Malcolm uwielbiali ten automat; właściwie wychowali się przy nim. Przekręcali wielkie zimne pokrętko, które uruchamiało

mechanizm, i odbierali puszki i resztę, choć Emile wystawiał darmowe miseczki z orzeszkami.

Malcolm miał dziesięć lat, gdy przyjechał do Francji. Mieszkał wcześniej ze swoją matką i ojczymem, który pewnego dnia zadzwonił do Tony'ego. „Trudno się z tym dzieckiem dogadać, nie uważasz?”. Nie, Tony tak nie uważał. Jeśli Malcolm miał jakąś wadę, to właśnie taką, że za łatwo się z ludźmi dogadywał, z aniołami i z grzesznikami: nauczyciele cierpieli, gdy musieli go ukarać. W każdym razie został wsadzony na prom, Tony wyjechał po niego i zabrał go do domu, gdzie zamieszkał z nim, macochą i przyrodnimi siostrami, a potem chodzili razem co wieczór do baru, gdzie chłopak bez pomocy korepetytorów nauczył się mówić po francusku i porządnie pić. Właśnie przy tym stole od frontu zamienił się ze skulonego ze strachu dziecka w czarującego opoja.

„Szkoda mi nas” – pomyślał Tony. Fatalne było choćby to, że on i Izzy mieli dokładnie te same słabości i złe nawyki. Oboje nie umieli obchodzić się z pieniędzmi i oboje mieli miękkie serce dla zwierząt. Nie, miękkie serce to za mało powiedziane. Mieli w stosunku do zwierząt takie samo podejście, jak niektórzy z ich przyjaciół w stosunku do drinków: zgarniali wszystkie bezpieczne do siebie. Kupowali je za pieniądze, których nie mieli. Rano przysięgali, że już więcej nie chcą, a wieczorem pojawiali się z kolejnymi. Mieli dwa trójłape psy, dwa z kompletem nóg, kilka szczeniąt, sześć kotów, które nie wychodziły z domu, niezliczoną liczbę wychodzących, nieznaną ilość kociąt, kozy, starego konia Nelsona i co najmniej pięćdziesiąt papużek falistych. Zwierzęta doprowadzały ich do ruiny.

Ale gdy rolnik z końca wsi zjawia się w twoim domu z psem bez łapy i wyjaśnia, że wie, że już takiego jednego macie – najwyraźniej jeden trójłapy pies wystarczy, żeby być znanym z trójłapych psów – to co poradzić? A jeśli twoje dwa trójłape psy zakochują się w sobie i nowy trójłapy pies zachodzi

w ciężę ze starym trójłapym psem – cóż, musiałbyś mieć dużo bardziej nieczułe serce niż Tony, żeby pozbyć się tych wszystkich czterołapych szczeniaków.

Schował escorta w stodole, bo nie wspomniał o nim Izzy: umówili się, że w tym roku nie będą sobie dawać prezentów. Wewnątrz domu panował chłód i bałagan. Kupili go dwa lata temu od Holendra, który przez krótki czas prowadził w nim poprawczak dla francuskich chłopców. Potem chłopcy puciekali albo zostali zabrani przez rząd i zostawili po sobie osiem cuchnących szczynami sypialni i trzy lekko nadpalone budynki gospodarcze. Tony i Izzy kupili tę nieruchomość właściwie za grosze, ale nawet owe „grosze” dał im w prezencie ojciec Tony’ego.

– Bierzcie ten dom – powiedział. – Mam dość martwienia się o was.

Przepisy dotyczące bankructwa we Francji były okropne: przez lata nie mogli posiadać żadnej nieruchomości, nie mogli nawet mieć konta w banku. Francuzi uparli się, by dać im nauczkę. Musieli więc zapisać dom na Malcolma; dziewczynki były jeszcze niepełnoletnie. Mieli nadzieję, że okaże się wart takiego zaufania.

Na samym końcu głównego pomieszczenia znajdowała się zrujnowana kuchnia. Worek ze śmieciami rozsiadł się na sofie niczym gość. Tony zdjął go, a potem napełnił karafkę winem z kartonu, który stał na kuchennej wyspie, i postawił na gzymsie kominka, żeby się ogrzało. Rozpalił ogień. Izzy jest pewnie u papużek. Postanowił jej nie przeszkadzać.

– Hej, mamusiu – powiedział do Macy, która leżała w swoim koszyku razem z czarnymi jak smoła szczeniętami. Była pudlem w takim samym stopniu, jak Malcom i dziewczynki byli Francuzami: generalnie rzecz biorąc, owszem, ale prawdziwy pudel mógłby uznać ją za nieco zbyt prostacką. Uniosła teraz głowę i spojrzała na Tony’ego wzrokiem znużonej, ale kochającej i okazującej niepoprawnemu mężowi cierpliwość żony. Ktoś

zastukał do drzwi. Przeniosła na nie wzrok.

– Ja otworzę – uspokoił ją Tony.

Szczeniaki nie zwróciły uwagi na pukanie, a czterołape psy były gdzie indziej, ale Aldo przykuśtykał holem, głośno szczekając i wypełniając pokój histerią, która obudziła wszystkich poza najbardziej zblazowanymi kociętami. Brak przedniej łapy i głęboki głos teriera nadawały mu aurę wojennego weterana.

– Aldo! – krzyknął Tony, próbując zablokować pysk psa nogą, gdy otwierał drzwi. – Odejdź. Odejdź!

Sid sprawiał wrażenie, jakby puchł na deszczu.

– Och, hau, hau – powiedział, teatralnym gestem wycierając buty. Pod pachą trzymał dużą klatkę dla ptaków. W środku znajdowała się szara papuga z czerwonym ogonem.

– *Voilà* – oznajmił. – Prezent gwiazdkowy od twojego jedyne go rodzzonego syna.

– Papuga – stwierdził Tony.

– Słuszne spostrzeżenie – odparł Sid. – W samej rzeczy papuga.

Papuga chwyciła dziobem za druty klatki. Jej czarne oczy okalały pierścienie białych piór. Powoli otworzyła dziób, pokazując czarny język, a potem delikatnie zatrzepotała skrzydłami. Tony poczuł w klatce swoich żeber podobne ostrożne trzepotanie. A więc jego serce wciąż działało.

– *Je m'appelle Clothilde* – powiedziała papuga. Miała koszmar ny akcent.

– Cześć, ślicznotko – odpowiedział Tony. – Och, witaj, kochanie. To od Malcolma? Czyż nie jest urocza? Aldo. Aldo, siad. Cii... Na litość boską.

– To będzie pięćdziesiąt euro – powiedział Sid. – Masz, weź ją. Można? Mokro tutaj. Mogę?

– Za co? – zapytał Tony.

– Co za co?

– Pięćdziesiąt euro. Za co?

– Za ptaka. – Sid przepchnął się do pokoju i po ptasiemu przekrzywił głowę, jakby tylko w ten sposób mógł widzieć w trzech wymiarach. Ziewnął jak pies; on też miał poczerniały język, od czerwonego wina. Aldo powąchał go pod kolanem, zaszczekał, a potem zauważył ogień i zwinął się w kłębek pod kominkiem.

– Myślałem, że to...

– Pięćdziesiąt z góry, pięćdziesiąt po dostarczeniu. Można? – Już wysunął łokieć spod swojej brudnej polarowej bluzy i zaczął ją ściągać. – Tylko się wysuszę.

Przed Francją Sid prowadził gościnne wykłady z dramatu na amerykańskim uniwersytecie i musiał mieć jakieś normalne ubrania, z suwakami, guzikami i metkami z informacją PRANIE CHEMICZNE, ale Tony nigdy nie widział go w niczym innym jak w dresach dla puszystych. Sid rzucił bluzę na oparcie sofy i zaczął w zamyśleniu gładzić się po brzuchu. Od bioder w dół – ta część Sida znajdowała się w wiecznych ciemnościach, terytorium ukryte w cieniu brzucha – wyglądał na szczupłego człowieka. Ale jego brzuch był wyjątkowy: okrągły, wysoko uniesiony, zbity i przeczący prawu grawitacji. Wystawił go do żeliwnego kominka, najwyraźniej w celu osuszenia, choć Tony’emu wydawało się, że to raczej rodzaj wyzwania: „Popatrz na to!” – mówił brzuch do ognia.

– Zapomniałem – powiedział, patrząc na wyburzone w połowie ściany. – Ile mieszkacie w tym domu?

– W tym? Dwa lata – odpowiedział zakłopotany Tony. – A we Francji...

Sid cicho gwizdnął.

– Zostało ci sporo roboty, synu.

– Robota wymaga nakładów.

– Ile sypialni?

– Za dużo. Osiem.

Sid przesuwiał dłońmi po brzuchu w dół i w górę. Niczym różdżkarz szukający żyły wodnej.

– Ile Holender za to wziął?

– Nie pamiętam. Niedużo.

– Ale cholernie leje – stwierdził Sid.

– Lało – odparł Tony. – Ten ptak. To naprawdę prezent od Malcolma?

– Wesołych świąt! – powiedział Sid.

– Dał ci pięćdziesiąt euro?

Sid pokiwał niedbale głową i spostrzegł wino.

– Sto euro to świetna cena za afrykańską szarą. W sklepie są po osiemset.

– Jasne – powiedział Tony. Ptak zaskrzeczał i podreptał po klatce, a Tony znowu poczuł, że jego serce odpowiada tym samym. Nie zamierzał płacić Sidowi. – Miałem kiedyś taką szarą.

– I co się stało?

– Umarła.

– Bywa – odparł Sid. – Kiedy?

– Jak miałem dwanaście lat. Ojciec mi ją dał. Kochałem ją.

– I co się stało?

– Och – westchnął Tony. – Ojciec nauczył ją mówić. O sprawach religijnych. Powiedział, że ptak poczuł powołanie. „Żałuj za grzechy”. „Dzieciątko Jezus”. „Pan jest naszym najlepszym przyjacielem”.

– Pobożny ptak to najgorsza rzecz pod słońcem – stwierdził Sid.

– Zachorowała, jak zrobiła się religijna. I umarła. A ojciec twierdził, że papugi żyją dziesiątki lat. Chyba nigdy się z tym nie pogodziłem.

Opowiadał o tym Malcolmowi i Malcolm zapamiętał. Clothilde.

Afrykańska szara. Samice są bardziej marudne, przypomniał sobie, a ona znowu zaczęła gryźć pręty. Odstawił klatkę na podłogę.

– No to tak. Napijesz się?

Sid odwrócił się z uśmiechem.

– A co proponujesz?

– Pineau albo piwo. Albo mogę ci zrobić dzin. Albo wino...

– Pineau! – powiedział Sid. – To dopiero rozkoszny trunek. Aż anioły ronią łzy. Ale to nie jest pogoda na pineau, nie? A czy to jest wino? Wino dla mnie?

– Przyniosę kieliszki – odpowiedział Tony. Szafki stały na ziemi, wciąż niepowieszzone. Czteronożne psy zbiegły zygzakiem po schodach i wpadły do pokoju, umiejętnie zaganiając kociego podrostka.

– To psy pasterskie? – zapytał Sid.

– Tak jakby. – Louis i Borgia zdecydowanie miały wygląd lekko przygarbionych i ziejących owczarków, ale Tony podejrzewał, że na widok prawdziwej owcy oba psy zwiałyby gdzie pieprz rośnie. Często wpadały na coś i wtedy starały się sprawiać wrażenie, jakby taki miały właśnie zamiar. Borgia próbowała wcześniej zaganiać wyspę kuchenną, mały kotek to już był postęp. Teraz zobaczyła papugę i zaczęła zaganiać ją.

– Ten ptak nigdzie się nie wybiera – zauważył Tony, zdejmując karafkę z gzymsu kominka. – Jest zamknięty w klatce.

Borgia zatrzymała się posłusznie, przekrzywiając głowę.

– Już dobrze – powiedział Tony do ptaka. Podniósł klatkę i postawił ją na stoliku do kawy. Sid opadł na stary skórzany fotel.

– *Je t'aime, Olivier* – powiedziała Clothilde, a Tony pomyślał: „Nic nie brzmi bardziej nieszczerze, niż papuga mówiąca po francusku”.

Wino smakowało jak popcorn z masłem. Sid zapalił papierosa.

– Można? – zapytał znowu, jakby grzecznie było spytać, nawet jeśli nie zamierzał się przejmować odpowiedzią.

– Izzy ma astmę – powiedział bezradnie Tony.

– Izzy tu nie ma.

– Jest...

– Nie ma jej w tym pokoju – wyjaśnił Sid. – Gdzie jest?

– U papużek – odparł Tony.

– Co?

– W pokoju papużek.

To właśnie była zaleta i jednocześnie ryzyko domu z ośmioma sypialniami: miało się miejsce nawet na najdziwniejsze rzeczy. Gdy Malcom sprzeda dom – jeśli Malcom sprzeda dom – nowi właściciele będą chodzić po nim, węszyć i mówić, zupełnie jak kiedyś Tony i Izzy: „Jak myślisz, co oni robili w tym pokoju?”.

– Ach, papużki – powiedział Sid. – Nie miałem okazji. Wiedziałaś, że w języku Aborygenów ich nazwa oznacza „dobre żarcie”?

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie – odparł Tony.

– Wtedy byłbyś papugofagiem.

– Kim?

– Papugofag: ktoś, kto zjada papugi. Papugofob: ktoś, kto się papug boi.

Papugofil: ktoś, kto...

– Okej – przerwał Tony. Ponownie napełnił kieliszek Sida.

– A więc już macie papugi, a tutaj kolejna.

– Papużki to ulubienice Izzy. Ta jest moja. Ja nawet nie lubię falistych.

Ale ciebie Kocham – powiedział do Clothilde. – A ty mnie?

Przekrzywiła głowę i nic nie odrzekła.

– A one mówią?

– Faliste? Jedna albo dwie – odpowiedział Tony. Większość nie potrafiła, tylko trajkotały. Ale potem nagle jedna się odzywała: „Hej, tam. Hej, tam”. Tony zawsze czuł się wtedy tak, jakby dopuszczał się jakiegoś niecnego czynu w pokoju pełnym niewidomych i głuchoniemych zakonnic i nagle odkrył, że są pośród nich pełnosprawne.

– Anthony – powiedział ponurym tonem Sid.

– Co?

Sid wskazał na niego. Zakreślił palcem łuk, jakby zaznaczał, że jest w Tony'ym coś, co ogólnie mu się nie podoba.

– Twoje włosy – stwierdził w końcu. – I broda. Tragedia.

– Muszę się wybrać do fryzjera.

– Albo jedno, albo drugie. Żaden facet nie powinien mieć włosów i brody takiej samej długości. Zgól głowę na łyso i niech broda rośnie, albo zapuść włosy i strzyż brodkę. Albo w tę, albo we w tę. Tak jak teraz, jesteś jakiś taki... kędzierzawy.

– Ja jestem kędzierzawy – powiedział Tony. Ostentacyjnie zmierzwił sobie włosy i popatrzył na łąsą czaszkę Sida.

– Okej – rzekł Sid. – Niech ci będzie.

– Jestem kędzierzawy – powtórzył smutno Tony.

– Wiem, stary.

– Malcolm ci powiedział?

– Co miał mi powiedzieć?

Ale Tony nie potrafił wyartykułować tego na głos.

Sid zwlókł się z fotela i chwycił karafkę z kominka. Nalał sobie kolejny kieliszek.

– *Jamais deux sans trois* – wypowiedział pijackie motto: „Skoro dwa, to i trzy”. Wypił potężny łyk, a potem popatrzył na Tony'ego.

– Ależ jestem nieuprzejmy! – stwierdził. Napełnił też kieliszek Tony’ego i wlał resztkę wina do swojego. Trzymając pustą karafkę za szyjkę, wskazał kąt pokoju.

– Co się dzieje z tym psem? – Wypił kolejny łyk.

– To Macy – odrzekł Tony.

– Ale co jej jest? – Sid znowu się napił.

– To jest Macy.

– Ale co jej się stało? – Kolejny łyk.

Po chwili Tony odpowiedział:

– Mina lądowa.

– Nie o to mi chodzi. Ona ma takie wielkie..., cała jest taka jakby... obrzmiała. – Sid wskazał pustą karafką na swoją własną nagą pierś i opróżnił kieliszek. To było w jego stylu, odczuwać skrępowanie wobec psich sutków.

– Karmi. Ma szczeniaki. Chcesz jednego?

– Mieszkam w przyczepie – zauważył Sid. Wyciągnął przed siebie karafkę i kieliszek.

Tony podszedł do kartonu z winem na wyspie w kuchni.

– Nie patrz – powiedział, napełniając karafkę.

– Mnie to nie przeszkadza.

– Mówiłem do Clothilde.

– Nie chciałbym przynudzać o tych pięćdziesięciu euro – rzekł Sid. – Ale to jednak pięćdziesiąt euro.

– Tak, tak – odparł Tony. – Skąd Malcom ją wziął?

– Ode mnie.

– Od ciebie?

Zerknął na papugę podejrzliwie i wrócił, żeby napełnić Sidowi kieliszek. Sid przyglądał się podnoszącemu się poziomowi wina z koncentracją godną

przesuwającego przedmioty magnetyzera.

– Dlaczego ją sprzedajesz?

– Będziesz to tak w kółko powtarzać? – zapytał Sid, a potem, z okrutną cierpliwością dodał: – Mieszkam w przyczepie. W przyczepie.

– Dzieciaki jej nie chcą?

– Ona nie chce – powiedział Sid. Potrząsnął głową. Do tej pory siedział jak człowiek. Teraz przekręcił się w fotelu i ułożył sobie nogi na jednym oparciu, a tułów oparł o drugie. Rozlał trochę wina i zlizął je z wierzchu dłoni. Fotel jakby się ugiął pod jego ciężarem. – Całe rano burzyłem chlewik – zmienił temat.

– Macie chlewik?

– Mieliśmy. Nienawidziłem go. Już go nie ma.

– Myślałem, że mieszkasz w przyczepie.

– No bo jest ten dom – powiedział Sid. – Niedaleko Manville, po tej stronie rzeki.

– Kupiliście dom? Kiedy?

– Jeszcze nie kupiliśmy. Zamierzamy. Burmistrz ma zdecydować, czy nadaje się do zamieszkania. Ale już zacząłem z remontem. Robię go głównie w nocy.

– A jeśli zdecydują, że się nie nadaje?

– Tak zrobią.

– Remontujesz w tajemnicy dom, który nie jest twoją własnością...

Sid westchnął ostentacyjnie.

– Mam dość Francji – oznajmił. – Nie tak się mówi? Mam dość Francji.

– Wyjedź – zaproponował Tony, podchodząc do sofy.

– Dzieci mam tutaj – odpowiedział Sid. – Napiłbym się pineau.

„Wygląda, jakby zezował” – pomyślał Tony, ale może to on sam był

pijany.

Prawdopodobnie wszyscy wykładowcy na amerykańskich uniwersytetach śpią ze swoimi studentkami, ale Sid, znudzony bojaźliwymi romansami jankesów, którzy potrafili spieprzyć sobie najwyżej jeden semestr – a prawdziwy mężczyzna stara się spieprzyć sobie całe życie – zabrał jedną do Las Vegas i poślubił. I w ten sposób stracił pracę. – Powinienem być poczekać na oceny końcowe – powiedział kiedyś Tony’emu. – Albo w ogóle się z nią nie żenić. – Przenieśli się do Francji z planem otwarcia anglojęzycznego teatru niedaleko od Eymet. Tony nie miał pojęcia, kiedy z tego pomysłu zrezygnowali. Teraz mieli dwoje małych dzieci, syna i córkę, a Sid zarabiał na życie jako asystent cieśli: targał drewno dla przyjaciela, który był wykwalifikowanym stolarzem.

– Może się jednak napiję tego pineau – ponaglił Sid.

Więc Tony przyniósł pineau. Było słodkie, gęste i zimne, pili go z Sidem wielkimi łykami, choć to przecież aperitif.

– Aż anioły ronią łzy – stwierdził Sid.

– Nie mam pojęcia, kto dał nam tę butelkę – powiedział Tony, przyglądając się naklejce.

– *Bonjour* – odezwał się ptak.

Sid spróbował usiąść prosto. Jego brzuch był niczym słońce, wokół którego krążyła reszta jego ciała.

– Spłać ją, a będzie cię kochać już zawsze. Czy nie tak samo jest w filmach o handlu ludźmi? Tony? – powiedział. – Nie chciałbym ci smęcić, ale... Poprosiłbym Malcolma...

– Nie mam.

– A Izzy ma?

– Izzy tak samo nie ma pieniędzy jak ja.

– Pokój papużek – powiedział Sid rozmarzonym tonem. – Brzmi miło.

Chodźmy zobaczyć pokój papużek i pogadać z Izzy.

- Nie idziemy do pokoju papużek.
- Lubię papużki – odparł urażony Sid.
- Ale ja nie.

Jednak Sid już walczył o to, by podnieść się z fotela.

- *Je t'aime* – powtórzył ptak, a Sid odrzekł:
- Łamiesz mi serce, kochana.

Tony ruszył za Sidem, Aldo poszedł za Tonym, a Macy, ziewnąwszy, podreptała za Aldo. Przeszli gęsiego przez korytarz. Gdy się patrzyło z tyłu, Sid miał seksowny, arogancki krok podrywacza. Jego nagie plecy wyglądały na silne; podciągnął dresy jedną ręką i omal nie nadepnął przechodzącego korytarzem kotka.

– Chyba macie tu inwazję kotów – zauważył. – Hej, mały – powiedział do niego, pochylając się i podnosząc go spod wężącego nosa Aldo. To był jeden z maluchów. Jego przymilne mruczenie dochodziło aż do Tony'ego. To prawda: roiło się u nich od kotów.

– Chcesz kotka? – zapytał.

– Nadal mieszkam w przyczepie – odparł Sid. Królewskim gestem wręczył Tony'emu pusty kieliszek, jakby to był dekret, który ma być natychmiast wprowadzony w życie. Podtrzymał kotka.

– Możliwe, że Izzy śpi – powiedział Tony.

– Och, ze mną się zobaczy.

Sid miał na ramionach przypominające epolety kępki stalowoszarych włosów. Kotek, umieszczony na jego okrągłym brzuchu, wydawał się maleńki i bardzo szczęśliwy. Wyglądali razem uroczo.

– Przyniosę ci drinka – zaproponował Tony. – Drugie drzwi po lewej.

W kuchni Tony wyrzucił pustą butelkę po pineau i napełnił ponownie karafkę

winem. *Jamais deux sans trois*. Kranik ciężko chodził, a wino się kończyło, więc otworzył karton, wyjął lśniący metalicznie worek i wycisnął go niczym wymię do karafki, z której z kolei nalał wina do kieliszka Sida. Gdyby był trzeźwy, pomyślał, nigdy nie pozwoliłby Sidowi naprzykrzać się Izzy, ale cieszył się, że jest pijany, bo ktoś koniecznie powinien się jej naprzykrzać. Aldo przyszedł za nim do kuchni i teraz sceptycznie obwąchiwał jedno ze szczeniąt.

– Jest niezwykle do ciebie podobny – zapewnił go Tony.

Gdy otworzył drzwi do pokoju papużek, jedna z nich przez nie wyleciała, żółta lutino. Czyli w środku zostało czterdzieści dziewięć.

Sid i Izzy siedzieli na paskudnej kanapie w kwiaty i trzymali się za ręce. W tym pokoju był to jedyny mebel przeznaczony dla ludzi. Otaczały ich klatki papużek z pootwieranymi drzwiczkami. Niektóre z ptaków – te, które najwyraźniej bały się opiekunki – zostały w klatkach, ale większość fruwała wokół niczym pijane wróżki. Bomber Harris, angielska wystawowa papużka o skwaszonej minie, dreptał sobie spokojnie po jasnych, sterczących włosach Izzy. Izzy i Sid siedzieli w taki sposób – on nadal z gołą klatą i śpiącym kotkiem w zagłębieniu ramienia, a ona otoczona ptakami – że przypominali niskobudżetowy alegoryczny obraz, ale Tony nie potrafił stwierdzić, jaka to miałyby być alegoria. Izzy była kochającą papużki świętą, której dobroć przyciąga ptaki, albo wariatką, która napycha sobie kieszenie okruchami chleba. Gdyby była dziesięć lat młodsza i dziesięć kilogramów szczuplejsza, z pewnością byłaby świętą.

– Ten kot może tu być, z tymi wszystkim ptakami? – zapytał Tony.

– W porządku – powiedział Sid. – Zahipnotyzowałem go.

– Malcolm kupił mi papugę – oznajmił Tony Izzy.

– Malcolm?

– Pół papugi – podkreślił Sid, klepiąc ją po dłoni. A potem syknął do

Tony'ego:

– Od kiedy tak?

– Och, witam – powiedział Bomber Harris absurdalnie miłym głosem. – Och, witam.

– Od tygodnia – odparł Tony. – Afrykańska szara. Jak Maud. – Zaczął pić z kieliszka, który przyniósł Sidowi.

Izzy przewróciła oczami na dźwięk imienia Maud.

– Gdybyś spotkał tego ptaka dzisiaj, nawet byś na niego nie spojrział.

– Uwaga – powiedział Sid. – To się nie stało w tydzień.

– Papużki? – Izzy delikatnie zdjęła Bombera Harrisa ze swojej głowy i uśmiechnęła się do niego. – Podobno, jak się chce hodować papużki, to nie wystarczy parka, bo nie będzie potomstwa. Trzeba mieć co najmniej dwie pary. Więc kupiliśmy cztery, dla pewności. I proszę...

– To dlatego, że lubią zdradzać? – zapytał Sid. – Czy dlatego, że są naiwne? Czy ta druga para powinna być starsza i udzielać porad seksualnych, czy też młodsza i wyposażona w tabletki metakwalonu?

– Metakwalonu? – zdziwiła się Izzy. – To tego się jeszcze używa?

– Odkąd Malcolm...

– Odkąd Malcolm co? – zapytał Sid.

Odkąd Malcolm oznajmił: „Sprzedaję dom” – spała w pokoju papużek na starej, zapleśniałej kanapie w kwiaty, którą znaleźli w stodole. W nocy przykrywała klatki, a na własną głowę naciągała koc. „Rozmawiałem z prawnikiem, jest zapisany na mnie”. Pokój papużek należał do najgorszego z młodocianych francuskich rozrabiaków, tego, który sikał w każdym rogu, choć toaleta była tuż obok, tego, który rył swoje imię, PASQUAL, na kamiennych ścianach, tego, który gasił papierosy na parapecie i zepsuł zabezpieczenie okna, żeby móc wymykać się na noc; wszelkie okoliczności wskazywały na to, że był to jakiś zdziczały chłopak – papużki wciąż

znajdowały długie czarne włosy – niemniej jednak był to chłopak, który raczej nigdy nie zagroził, że sprzeda dom, w którym mieszkają jego rodzice. „Przykro mi, że to robię”. Kiedy Malcolm zrobił się taki wysoki? Fryzurę miał jak gitarzyści z lat siedemdziesiątych, z czasów młodości Tony’ego, zmierzwioną, okropną nawet wtedy. „Ale jak pomyślę o moich problemach, to nie widzę innego wyjścia”. Izzy kochała Malcolma, choć nie była jego matką, i znosiła zdradę z jego strony gorzej niż Tony – to znaczy, wierzyła, że to się naprawdę stanie. „W porządku? Tato? Ojczy?”. Wszyscy kochali Malcolma. Czasem Tony myślał, że na tym właśnie polega problem Malcolma: nadmierna ekspozycja na miłość, coś jak czerniak duszy.

– Nie mam wyboru – stwierdził Malcom, a Izzy powiedziała:

– Oczywiście, że masz, to ty decydujesz, czy będziesz lepszym człowiekiem.

Ale Tony rozumiał, i wtedy, i teraz. Jakaś jego część sądziła, że sam sprzedałby każdego, kogo kocha, gdyby to pozwoliło mu uwolnić się na zawsze od zobowiązań wynikających z miłości.

Patrzył na brązowe zasłony, które Izzy trzymała zaciągnięte, żeby papużki nie wpadały na szybę. To na pewno nie jest zdrowe. Nawet ptaki potrzebują witaminy D. Nie potrafił powiedzieć Sidowi, co planuje Malcolm. Sam nie chciał w to wierzyć. Uwierzenie w to byłoby jak pociągnięcie za jedną luźną nitkę, która w końcu, ostatecznie, rozprułaby całe ich życie. W pokoju było gorąco, a Tony wyobraził sobie potencjalnego nabywcę domu, jak pyta o ogrzewanie: „Gaz? Olej? Drewno?”. „Nie, tak naprawdę to papużki”.

Tony miał nadzieję. Izzy nie, i to ona wyjaśniła wszystko Sidowi.

Gdy skończyła, Sid zaczął się zapadać. Zapadał się, jakby rozsypała się podstawowa architektura jego szkieletu, jakby w jednej chwili jego cielsko oklapło niczym cieniutki namiot. „Cholera”, pomyślał Tony. „Jeśli Sid jest

zszokowany, to sprawa jest poważna”.

– Nie – powiedział Sid. – Malcolm? Nie.

– Malcolm – potwierdziła Izzy. – Ten piękny dzieciak.

– Kiedy?

Roześmiała się.

– Mówi, że najpierw trzeba to miejsce doprowadzić do porządku.

Sid wstał. Wymierzył w Tony’ego kotem jak pistoletem.

– Potrzebujecie prawnika. Jakiegoś Francuza, który zna te przepisy, bo one są zrobione tak, żeby kantować nas na każdy możliwy sposób. Oszukają was! – Kotek owinął swoje śpiące ciało wokół dłoni Sida. – Izzy, posłuchaj mnie. Znasz jakiegoś prawnika?

Izzy ledwo dostrzegalnie wzruszyła całym ciałem, żeby pokazać, że to poza jej zasięgiem.

– Forsa – powiedział Sid, kiwając głową. – Znam faceta, który szuka auta. – Zwrócił się do Tony’ego. – Dobra, Nieustraszony. Sprzedajesz forda.

– Jakiego forda? – zapytała Izzy.

Tony potrząsnął głową.

– Powiedziałeś, że to dla Malcolma. Dla Malcolma! – przypomniał zde gustowany Sid. – A ja ci mówię: sprzedaj wszystkie jego gwiazdkowe prezenty!

– Mam tylko ten – powiedział Tony.

Izzy przesunęła dłonią po głowie, jeżąc włosy. Nienawidził tej fryzury.

– Kupiłeś mu samochód?

– Właściwie wrak – wyjaśnił Tony. – Za dwadzieścia pięć euro. – Tak naprawdę za sto. Włoch był zdesperowany.

– Malcolm jest w Anglii – powiedział Sid, a Izzy powtórzyła zdziwionym, zasmuconym głosem:

– Malcolm jest w Anglii?

– A co Malcolm robi w Anglii? – zapytał Tony.

Sid rozparł się na kanapie.

– Nie wiedzieliście, że Malcolm jest w Anglii?

– Co on tam robi? – powtórzył Tony.

– Nie wiem. Ale wyjechał. Na święta do matki? Mówił, że wyjeżdża, w Commerce go nie było, a jeśli Malcolma nie ma w Commerce, to znaczy, że nie ma go w kraju. Znam kogoś, kto szuka samochodu. Ten Anglik z amerykańską żoną. Ten głupek. Ile za niego chcesz? Mają odłożone. Niewiele. Trzysta euro.

– On nie jest wart...

– Sprzedaj go – zdecydowała Izzy. – Jeśli tyle mają odłożone, to tyle jest wart.

Trzysta euro wydawało się jednocześnie ogromną sumą pieniędzy i tak drobną kwotą, że nawet niewartą wspomnienia.

– To Malcolma – powtórzył Tony.

– A kogo to obchodzi? – Sid wyciągnął komórkę z kieszeni, spojrzął na ekran i potrząsnął nią.

– Nie ma zasięgu – powiedziała Izzy. – Jesteśmy na końcu drogi.

– Cholera. Pojadę po nich. Zatrzymali się u tego małego Australijczyka Petera. Zaraz wracam. Spróbuję ich namówić. W porządku, Tony? Uważajcie. Bądźcie w gotowości. Auto jest na chodzie? – Wstał i nagle zauważył, że nadal trzyma kotka. – Hej, kocurze. Chodźmy. Auto?

– Te stare diesle są wieczne.

– To wszystko, czego im trzeba. Powiem im, żeby wzięli gotówkę. Pa, kochana Izzy.

– Pa, Sidney – powiedziała. – Zabierz ze sobą tę papugę.

– To moja papuga – zauważył Tony. – Ma na imię Clothilde.

– Clothilde! – wykrzyknęła Izzy, jakby samo imię było argumentem przeciwko ptakowi.

I tak właśnie rozsypie się w końcu ich małżeństwo: Tony nie rozumiał, jak można kochać pięćdziesiąt ptaków naraz, a Izzy nie rozumiała, jak można kochać tylko jednego. Tony ruszył za Sidem korytarzem.

– Może zmieni zdanie.

– Nie zmieni. Co zrobiłeś z moim ubraniem? – Sid zapytał kotka, który zamiauczał z kocim oburzeniem. – Ach, tutaj.

W salonie Clothilde zastukała dziobem o klatkę i powiedziała:

– Tak jest!

Sidowi jakoś udało się naciągnąć polarową bluzę, trzymając jednocześnie kotka, choć jego głowie zajęło trochę czasu zgłębianie najpierw jednego rękawa, potem drugiego, aż w końcu znalazła odpowiedni otwór.

– Kiedy miał ostatnie *contrôle technique*? – zapytał.

– Niedawno.

– Tak jest! – powtórzyła Clothilde.

– Więcej niż sześć miesięcy temu? Bo jeśli tak, to będziesz musiał je zrobić, chyba że jest okej?

– Tak jest! – powiedziała Clothilde.

– Jest okej – odparł Tony, który wcale tego nie sprawdził. – Posłuchaj. On nie jest zły. Jeśli chodzi o zrobienie tego najgorszego...

Sid trzymał już rękę na klamce. Pachniał słodyczą i winem, a jego oczy wydawały się głębokie jak studnia prowadząca na drugą stronę Ziemi, tam, gdzie są same oceany i wyspy o nazwach nie do wymówienia, tam, gdzie panuje strach przed kanibalami. „Proszę – pomyślał Tony – nie mów mi, że znasz go lepiej ode mnie”.

– Najgorsze jest samo powiedzenie – rzekł Sid.

– Co?

– Najgorsze jest to, że wam powiedział, że to zrobi. Zrobił już to najgorsze. Skoro tak, to może już zrobić wszystko. Wierz mi. Ja to wiem. – Sid wręczył mu kotka i otworzył drzwi. – Zaraz wracam. Anthony, posłuchaj mnie. Jeszcze nie jest za późno. Musisz zdecydować, jakim człowiekiem chcesz być.

Clothilde powiedziała: „Kocham cię!”, jakby ćwiczyła podczas ich nieobecności, niczym sierotka, która ma nadzieję, że przypodoba się przybranym rodzicom.

– Też cię kocham, skarbie – powiedział Sid i zamknął za sobą drzwi.

Jak na papugę Clothilde wydawała się mieć słabe poczucie równowagi: zaskrzeczała i wczepiła się w ramię Tony’ego. Przestało padać. Koty wychodzące wyglądały ze starej stodoły, węsząc wilgotne powietrze. Clothilde ponownie zaskrzeczała.

– Ślicznotka z ciebie – powiedział Tony, choć sam słyszał kłamstwo w swoim głosie. Przesunęła dziobem po jego włosach. Wygonił koty ze stodoły, żeby jej nie przeszkadzały, i zamknął drzwi.

W słabym świetle escort wyglądał na sprawne auto. Był czarny, miał przyciemniane szyby i wymalowane kosmiczną czcionką po obu stronach słowo LASER. Rocznik ‘84, rok urodzenia Malcolma, to było jak znak. Malcolm jechał do Commerce na rowerze i wracał pijany, chwiejąc się na wszystkie strony, albo i nie wracał. Czasem spał w rowie – dosłownie w rowie. „To Francja, tato” – mówił. „Tu są inne rowy niż gdziekolwiek indziej”.

Tony zakładał, że Malcolm śpi na kanapach, odkąd ogłosił, co zamierza,

wstydząc się za siebie. A on był w Anglii.

Pociągnął za klamkę drzwiczek od strony pasażera, przypomniał sobie, że otwierają się tylko od środka, i obszedł samochód dokoła. Dokumenty nadal znajdowały się w schowku. *Carte grise* – dowód rejestracyjny – było w porządku, a ostatnie *contrôle technique*, cudownym zbiegiem okoliczności, miało miejsce pięć miesięcy i trzy tygodnie wcześniej. Mógł zgodnie z prawem sprzedać auto Amerykanom, nie robiąc badania technicznego, tak samo jak zrobił to Włoch. To dlatego Włoch się nie targował i nie czekał na inną ofertę.

– *Bah di donc!* – zaskrzeczała papuga.

Bolało go ramię.

– Dobra, Clothilde – powiedział i posadził ją na fotelu pasażera, żeby wziąć się do roboty.

Czy za trzysta euro można oczekiwać radioodbiornika? Wyciągnął go, a potem wyjął zestaw awaryjny: kamizelkę odblaskową, trójkąt ostrzegawczy, flary i wszystko to, co kupił, żeby Malcolm był zadowolony i bezpieczny. Zepsuła się stara pompa paliwowa, więc zamienił ją na gumową gruszkę: musiał podnieść klapę i pompować paliwo do silnika ręcznie, ale to się sprawdzało, a nowa pompa kosztowałaby sto euro. Jak Amerykanie będą ją sobie chcieli wymienić, to proszę bardzo. Otworzył klapę, napompował i zatrzasnął.

Silnik zaskoczył. Bak był pełen. Wziął rurkę i inną gumową gruszkę, żeby go wypompować. Wiedział, że to nie do końca uczciwe, ale kosiarkę też miał na ropę, a paliwo jest drogie. Powie Amerykanom, jak dojechać do stacji Leclerca.

– Hej – zwrócił się do Clothilde.

Krótko gwizdnęła.

– Opowiedz mi jakąś historię – powiedział. Zaczęła skubać brzeg fotela.

– Opowiedz mi historię swojego życia. Powiedz mi... Powiedz mi, że mnie kochasz.

Deska rozdzielcza wyglądała jakoś smutno bez radia. Kierownica została kiedyś krzywo założona, a przez to źle było widać prędkościomierz, co przypomniało mu, że nie działa podświetlenie deski. Na stacji Leclerca powinni mieć też żarówki.

Silnik cuchnął olejem, gdy się rozgrzał.

Otwarty bagażnik niestety opadał. Trzeba było podkładać deskę.

– Deska gratis – powiedział Tony na głos. – Bez dodatkowych opłat za deskę.

Miłość młodej pary do starego samochodu wymaga czasu: trzeba jeździć nim, gdy nabiera ekscentryczności, gdy każdy element psuje się, miga i zawodzi. Tony kupił ten samochód olśniony jego ceną, a potem dodawał każdą jego kolejną osobliwość do historii, którą opowiadał sam sobie, historii pod tytułem: Pierwszy Samochód Malcolma. Mieli opowiadać sobie tę historię bez końca. Ale tak nie będzie, prawda?

„Musisz zdecydować, jakim człowiekiem chcesz być” – powiedział Sid; a Tony na pewno nie chciał być człowiekiem, który jest złym ojcem. Był wystarczająco złym ojcem kiedyś, gdy Malcolm miał problem z alkoholem, a potem z narkotykami. „To moja wina” – mówił na początku Tony. „To nie twoja wina” – powtarzali mu inni. Ale nie wiedzieli tego, co wiedział Tony: gdy Malcolm mieszkał już z nimi od roku, złamał rękę, a lekarz w Bergerac powiedział: „Ta ręka była już złamana niejedyn raz”. Tony był bardziej zaskoczony gniewem lekarza niż samym stwierdzeniem. Lekarz zwrócił się do Malcolma: „Kto? Twój ojciec?”. „Nie, nie – powiedział Malcolm – oczywiście ojczym to zrobił, któż by inny?” – a Tony zapytał: „Dlaczego mi nie powiedziałaś?”. Malcolm odparł: „Mówiłem ci, tato. Mówiłem”.

Jego syn zamierzał sprzedać dom. Żaden beznadziejny prezent w postaci

samochoodu nie był w stanie tego powstrzymać.

Podobnie jak Izzy tracił nadzieję. To był fizyczny proces, nadzieja była niczym odłamek przebijający się przez skórę. Miał nadzieję, że Malcolm tego nie zrobi, ale on to zrobi, a te trzysta euro za główniany samochód ich nie zbawi.

On, Tony, był pijany. Był pijany? Kręciło mu się w głowie.

Był w stodole. Silnik pracował. Miał go wyłączyć. Papuga: papuga stała na siedzeniu pasażera, szara i o mętym spojrzeniu. Tony spróbował otworzyć drzwi. Klamka nie działała.

– Nie ruszaj się! – Popędził na drugą stronę. Zanim ją podniósł, zemdlą, o ile ptaki mdleją. Razem wypadli na świeże powietrze.

– Clothilde – powiedział, a potem dodał tęsknie: – Ptaszynko, ptaszynko. – Chowala się pod jego pachę. – Oddychaj. Oddychaj.

Żyła. Może powietrze całkiem ją ożywi. A może doznała uszkodzenia mózgu: utraciła znajomość angielskiego i większość francuskiego, będzie umiała powiedzieć tylko: *Olivier. Olivier. Je t'aime*. Nie miał pojęcia o neurologii papug. Żyła. Chciał ją w każdym stanie.

Ciężarówka Sida wyjechała ostro z zakrętu, minęła skrzynkę na listy na podwórzu. Wszyscy byli z przodu, a kobieta, która siedziała przy oknie, wyglądała na przerażoną. Tony'emu nie podobał się ten układ. Nie był seksistą, ale gdy jadą dwaj mężczyźni i kobieta, kobieta powinna siedzieć pośrodku, przy drążku skrzyni biegów. A potem zobaczył, że to ona kieruje. Oczywiście – to była stara angielska ciężarówka z kierownicą po prawej stronie. Powiedziała mu pewnie, że jest zbyt pijany, żeby kierować. Amerykanka mogła tak pomyśleć.

Sid wypadł z auta, jakby go ktoś kopnął. A potem kobieta wysiadła z drugiej strony i Tony zobaczył, że jest w zaawansowanej ciąży. Jej mąż wysiadł za nią.

– Ależ koszmar – stwierdził.

Owszem: tylko ona była Amerykanką. Mąż był Anglikiem i był tak samo pijany jak Sid. Cóż, jeśli byli znajomymi małego Australijczyka Petera, to było oczywiste. Amerykańska żona miała na sobie czyjeś kalosze, kraciastą spódnicę i sweter w paski. Była ruda i nie miała brwi, a buty gubiła niemal przy każdym kroku w błocie. Angielski mąż nosił dżinsową kurtkę i niebieskie dżinsy. Usiadł na przednim zderzaku ciężarówki Sida. Nie patrzył na nią. Tony dopiero w tym momencie pomyślał, że ktoś, kto chce kupić samochód za trzysta euro, musi być równie zdesperowany i równie splukany jak on. Zaczął się nawet zastanawiać, czy jazda takim wozem nie stanowi zagrożenia dla kobiety w ciąży.

Oni też mieli jakąś okropną historię, albo wkrótce będą ją mieli. Chciał uznać to stwierdzenie za nobilitujące, ale nie potrafił. Był na nich wściekły za wszelkie smutki, jakich już doświadczyli, za wszelkie tragedie, jakie migotały już w świetle reflektorów na ich drodze.

Kupią ten samochód. On im go sprzeda. Tak czy siak, będzie to element tej historii.

Gdzieś w Anglii Malcolm mówił: „Nie powinienem był tutaj przyjeżdżać”.

Mówił: „To zbyt kosztowne”.

Mówił: „Przykro mi, że do tego doszło, ale co innego mi pozostaje?”.

Mówił do obcych ludzi, mając nadzieję, że udzielią mu rozgrzeszenia. Bo tylko obcy mogą to uczynić.

– Cześć! – odezwała się kobieta w ciąży. – Podobno macie auto?

– Kocham cię – powiedziała papuga, a potem dodała: – Wybacz mi.



Głód

Babcia była kolorowym, zawiniętym w celofan twardym cukierkiem: słodkim, ale niekoniecznie takim, jakiego pragnie dziecko. I sama zdawała sobie z tego sprawę. Tamtego smutnego lata w dwusetną rocznicę ogłoszenia Deklaracji Niepodległości, gdy jej syn odzyskiwał w szpitalu siły po operacji, razem z wnuczką szukały pocieszenia w całym Des Moines, w cukierniach, w kawiarniach, w barze przy polu minigolfa, przy stoisku z popcornem w centrum handlowym, w herbaciarni w domu handlowym Younkers, w każdej restauracji, w każdym lokalu Bishop's Cafeteria. Dziewczynka najbardziej lubiła zamawianie, ale nie jakiegoś tam ciastka z kremem czekoladowym, lecz czegoś porządnego, szczególnego. Stanie przed szefem kuchni, w wysokiej kucharskiej czapie, który szykował jeden belgijski wafel za drugim, a potem ci je podawał. Świat smażonych kurczaków, wysokich szklanek z galaretką pokrojoną w kostki i bułeczek z tak zamarzniętymi kawałeczkami masła, że trzeba je było ogrzać w dłoni, zanim dawały się rozsmarować. Dziewczynce pękły już jedno spodenki. Raczej się nie przejęła.

– Och, cóż – powiedziała, zerkając do tyłu na rozdarcie. – Nie szkodzi.

Oto Lisa, lat dziesięć, rankiem czwartego lipca 1976 roku; mocno przy

kości, słodka, nieświadoma, przebrana z tej okazji za jednego z ojców założycieli: granatowe poliestrowe spodenki, wciśnięte niczym pumpy w podkolanówki, czerwono-białe espadryle, farbujące na deszczu, koszulka w kolorze lawendy z cienką krezą, którą Sylvia sama jej pożyczyła. Ubiór podkreślał każdy funt, który dziewczynka przybrała na wadze przez ostatni miesiąc. Przyjechała z Bostonu, żeby mieć opiekę podczas pobytu ojca w szpitalu. Zamiast tego obie objadały się wszystkim tym, czego Aaronowi – słodkiemu Aaronowi, najstarszemu dziecku babci – jeść nie było wolno.

– Kim jesteś, skarbie? – zapytała Sylvia. – Jerzym Waszyngtonem?

– Patrickiem Henrym! – odpowiedziała Lisa. – Wyrecytuję na sąsiedzkim przyjęciu jego Chwalebny Mowę.

– Co takiego?

Dziewczynka zaczęła grzebać w misie z owocami pośrodku stołu w jadalni.

– Nauczyłam się jej na pamięć. Przygotowywałam się do pokazu recytatorskiego w czwartej klasie.

– Wygrałaś?

– Czy wygrałam? – Lisa oderwała pojedyncze winogrono od reszty kiści i zaczęła jeść. – To nie był konkurs – odparła w końcu. – Wszyscy klaskali.

– Nie rozumiem – powiedziała Sylvia. – Chcesz wygłosić recytację na przyjęciu? Nie możesz tak po prostu zacząć tam coś wykrzykiwać.

– Nic nie będę wykrzykiwać.

– Nie możesz zmuszać ludzi, żeby rzucili wszystko i patrzyli akurat na ciebie – oznajmiła Sylvia.

– Och – powiedziała Lisa. – Zdziwiłabyś się. – Oderwała kolejne winogrono i zjadła je.

Misa z owocami była próbą zrównoważenia tych wszystkich wizyt w cukierniach. Aaron nie miałby raczej nic przeciwko, jego żona, Marjorie,

która sama była przy kości, zapewne też nie, ale gdyby siostra Aarona dowiedziała się, że ich matka przymknęła oko na tak wyraźne przybranie wnuczki na wadze – cóż, Rena już kiedyś sugerowała, że to Sylvia jest odpowiedzialna za słabe serce Aarona, choć ich ojciec, mąż Sylvii, dostał zawału serca w jeszcze młodszym wieku – gdy miał czterdzieści dwa lata, a umarł dwadzieścia lat później, na swój trzeci zawał. Zdaniem Reny ich dzieciństwo to był okres, w którym Sylvia, niczym szalony zamachowiec, instalowała w ciałach i duszach swoich dzieci materiały wybuchowe, które miały eksplodować, gdy będą dorosłe. Sylvia zaczęła się zastanawiać, ile czasu potrzeba, żeby Lisa wróciła do pierwotnej wagi.

Sylvia nadal napełniała słodyczami miseczkę w pokoju Lisy, ale teraz były to dietetyczne karmelki i bezcukrowe podróbki M&M's. Kupowała napój gazowany pod nazwą Kalorie Kounter, w puszkach zdobionych krawieckimi miarkami, które powiewały niczym chorągwie na starych olejnych obrazach. Na sąsiedzkie przyjęcie tego popołudnia przygotowały z Lisą niskokaloryczną wersję kugła z makaronem: z chudym twarogiem, śmietaną z obniżoną zawartością tłuszczu, margaryną i posypką z płatków kukurydzianych zamiast pokruszonych herbatników.

Okropne, trudne do wymówienia słowa: „odtłuszczone”, „niskokaloryczne”, „dietetyczne”. A i tak mieszkająca po drugiej stronie korytarza pani Tillman codziennie wołała do siebie Lisę i karmiła ją pomarańczowymi piankami w czekoladzie w kształcie olbrzymich orzeszków ziemnych i oranżadą w proszku w długim papierku przypominającym słomkę do picia. W pierwszy dzień pobytu Lisy w Des Moines pani Tillman zapukała do drzwi ich mieszkania.

- Mam cysiaki – powiedziała.
- Co pani ma? – zapytała Sylvia.
- Cysiaki, cysiaki – powtórzyła pani Tillman, grzebiąc w kieszeniach

podomki. Gdy wyciągnęła dłoń, spomiędzy jej knykci wystawały patyczki lizaków. Same żółte. Albo takie były tańsze, albo sama zjadła ładniejsze kolory.

Potem Lisa co rano chodziła do pani Tillman.

– Podoba jej się u mnie – powtarzała pani Tillman, z nutką przechwałki w głosie. Jej nieżyjący już mąż miał sklep ze sprzętem gospodarstwa domowego i w pani Tillman pozostało coś z tamtej aury, kobiety funkcjonalnej, kanciastej, poruszającej się jakby na ruchomej podstawie. „To ja jestem jej babcią” – pomyślała Sylvia, ale nic nie powiedziała. „To jest atu. Tym biję wszystkie inne starsze panie, bezwzględnie”. Potem ona i Lisa wychodziły i zatrzymywały furgonetkę z lodami. W polewie czekoladowej dla Lisy, w pomarańczowej dla niej.

– A może wyrecytujesz tę przemowę dla mnie? – zapytała Lisę. Usiadła na sofie, założyła ręce. – A na przyjęciu będziesz się już tylko bawić.

– Nie, dziękuję. Tata mówi, że lepiej poczekać do samego występu.

– Jakiego występu?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nauczył mnie też przemowy Hamleta do aktorów. „Proszę cię, wyrecytuj ten kawałek tak, jak ja ci go przepowiedziałem, gładko, bez wysilenia”¹. – Kolejne winogrono. Podrzucone do góry odbiło się jej od podbródka. – Ups. W każdym razie to był jego pomysł, gdy wspomniałam o przyjęciu. Więc wołałabym...

– On nie rozumie...

– Babciu – powiedziała dziewczynka z powagą. – Trzeba robić to, o co proszą chorzy.

Kiedyś Sylvia zawsze była we wszystkim o krok do przodu. W razie katastrofy (jak uczyła ją matka) należy zdecydowanie ruszyć w przeciwnym kierunku, nieszczęścia chodzą bowiem parami. Ludzie, którzy wierzą, że już gorzej być nie może, to ci, którzy giną, z ręki człowieka lub natury. Trzeba uciekać.

Lecz latem w dwusetną rocznicę ogłoszenia Deklaracji Niepodległości myślała jedynie: „To moja wina”. Poczucie winy wręcz ją paraliżowało. Tak to jest, gdy jest się najstarszym żyjącym członkiem rodziny. Nie da się zrzucić winy na kogoś przed tobą: jest twoja, tak samo jak dyplom ukończenia studiów ciotki, która była starą panną. Nikt go nie chciał, a jedynym sposobem, by go przekazać dalej, jest śmierć.

Za dobrze karmiła tamtego chłopca, swojego syna. Tak mówiła Rena: głodziła dziewczynkę i napychała chłopca. W ostatnie Święto Dziękczynienia Rena przyjechała z kołnotatnikiem pełnym zapisków, jak to Sylvia ją krzywdziła, jakby na koniec wystawiała matce rachunek. *Nieufność wobec mężczyzn: 9 tys. dolarów. Strach przed życiem w pojedynkę: 15 tys. dolarów.*

– Muszę to zrobić – powiedziała Rena i przerzucała stroną za stroną, wymieniając swoje krzywdy: jak to Sylvia i Ben zawsze z większą powagą traktowali Aarona; jak w gronie rodzinnym trzeba było uważać, żeby nie zranić uczuć mężczyzny, ale kobiety się nie liczyły; jak nie kupili jej pianina, a to przecież było jej największe marzenie. Aaron chciał psa i dostał psa. Chciał samochód i dostał samochód.

– Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek o tym wspomniała! – stwierdziła Sylvia.

– Wiedziałaś – odpowiedziała ponuro Rena. A potem dodała: – Nigdy nie kochałaś mnie bezwarunkowo. Zawsze były jakieś wymagania.

– O czym ty mówisz? Skarbie, zawsze cię kochałam. I Kocham.

– Nie kochałaś mnie tak, jak Aarona.

Co Sylvia mogła odpowiedzieć? To była prawda. Nie mniej, nie więcej, ale inaczej. Gdyby dało się zmierzyć miłość... Ale nawet jeśli, to ona i tak jest zbyt zróżnicowana, jedną trzeba by mierzyć stopniami Fahrenheita, a inną ciężarem atomowym. Pierwsze dziecko, drugie dziecko, chłopiec, dziewczynka: to oczywiście, że to różne miłości. Porównywanie nie ma sensu. A Rena chciała skali z jednostkami matczynej miłości, ostatecznie podsumowanymi. Zresztą narzekała już na coś innego.

– Dawałaś mi tę samą miłość, którą już wcześniej dałaś Aaronowi! Nie traktowałaś mnie jak odrębnej osoby!

Dla wnuków też inna miłość. Bezgraniczna. Radosna. Chciwa. Sylvia smarowała plecy Lisy kremem na oparzenia po dniu spędzonym na basenie. Pozwoliła jej wybrać w sklepie drogi szampon, coś z mlekiem w nazwie i o zapachu przypominającym mydełko dla niemowląt, którym w latach trzydziestych myła swoje dzieci. Co z tego, że Lisa zasnęła z gumą do żucia, którą kupiły w sklepie ze słodyczami, i że przykleiła się jej do włosów i trzeba ją było wyciąć? Poszły do salonu Sal i Lisa po raz pierwszy miała fryzurę zrobioną przez profesjonalistę. Układały się wygodnie na pomarańczowym łóżku dla gości i oglądały telewizję, podjadając popcorn. Och, gdyby Rena wiedziała, jak Sylvia uwielbia dziecięcą niezdarność swojej wnuczki, intensywne ciepło jej ciała, buchające niemal jak z pieca, przypominający bułeczkę kark – miłość żarłoczna, podobna do śmiertelnego głodu, choć dziewczynka była tuż przy niej. Taka właśnie była według Sylvii miłość do dzieci, więc Rena miała chyba rację, że było jej smutno, że taka matczyzna miłość musi się skończyć, musi złagodnieć. Dorosłego nie można podgryzać. Nie można wdychać zapachu szyi dorosłej kobiety. Gdyby wybrała się do psychoterapeuty Reny – a to właśnie on wymyślił kołonoatnik, formalny akt oskarżenia – z całą pewnością nie spodobałoby jej się to, co usłyszałyby o tym, co oznacza jej pragnienie gryzienia dzieci. Ich

pożarcia. Skubała, łaskotała, ocierała się, wdychała. Czy to nie jest właśnie prawdziwy koniec dzieciństwa, gdy patrzysz na swoje żylaste dziecko i kochasz je, ale nie masz już ochoty ugryźć?

Lecz jej też sprawiały ból te przypominające baryłki uda wnuczki. Wzynaające się w ciało ramiączka stroju kąpielowego i zmieniona twarz. Tak przyzwyczaiła się do pękających na szwie spodenek, jakby to było coś najzwyczajniejszego. W wieku dziesięciu lat waga nie jest tak istotna i oczywiście taka mądra dziewczynka to nie tylko samo ciało. Rena powiedziała:

– Sprawiałaś takie wrażenie, jakby twoja miłość do mnie zależała od mojej wagi!

Nie, oczywiście, że nie. Matka kocha swoje dzieci bez względu na wszystko.

Ale inni ludzie, kochana Reno – miała ochotę powiedzieć – inni ludzie zwracają na to uwagę i mogą przez to kochać cię mniej.

Jej zadaniem jako matki (wierzyła w to wówczas i wierzyła teraz) było zapewnienie, żeby jej dzieci były kochane przez maksymalną liczbę innych osób. To stanowiło źródło całego jej niepokoju.

Zrzucą wagę, zanim nadejdzie pora powrotu Lisy do domu, postanowiła. Na pewno się da.

Szykowały się do wyjścia na sąsiedzkie przyjęcie, gdy zadzwonił telefon.

– Chwileczkę! – zawołała Sylvia. Najbliższy aparat znajdował się w kuchni.

– Zajrzę do pani Tillman – oznajmiła Lisa, a Sylvia machnęła do niej w sposób, który miał jednocześnie znaczyć „dobrze” i „przed chwilą jadłaś lunch”.

– Mamo – powiedziała przez telefon Rena. – Obiecuj mi, że będziesz

spokojna. Okej? – Ale sama miała niespokojny głos. Sylvia zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zamieniła je na korekcyjne. Usiadła przy kuchennym stole. Kabel od telefonu akurat sięgał.

– Mamo – powiedziała Rena. – Chodzi o Aarona. Nie jest dobrze.

Zegar na ścianie kuchni miał kształt patelni. Co za pomysł, zdziwiła się Sylvia, co to ma znaczyć, zegar jak patelnia.

– Jest podłączony do respiratora – kontynuowała Rena. – Ale... odłączą go. Prawdopodobnie dziś po południu.

Zawał serca, niewielki zawał serca, jak pierwszy zawał jego ojca. Dobry zawał, taki, który daje znać, że coś trzeba zmienić. Sylvia odchrząknęła.

– I co się wtedy stanie? – zapytała.

Rena wydała z siebie przeciągły, dźwięczny odgłos, coś pomiędzy westchnieniem a jękiem, co Sylvia odebrała jako oskarżenie o kolejną matczyną zbrodnię.

– Mamo...

– Co mówią lekarze?

– Cóż... Przystanie oddychać – dokończyła Rena. – I już.

– Zadzwoń do linii lotniczych – powiedziała Sylvia. – Będę szybko. Lisa... Nie, zaraz obie pojedziemy na lotnisko...

– Wolelibyśmy, żebyś została w domu – oznajmiła Rena.

– My? To znaczy kto?

– Rozmawiałam z Marjorie. Ona tak chce.

– A ty gdzie jesteś?

– Tutaj w szpitalu. Przyjechałam wczoraj w nocy, gdy się pogorszyło.

– Rena! – zawołała Sylvia. Wstała, kabel od telefonu miała owinięty wokół dłoni (ten poskręcany, kochany, niosący pociechę kabel, niczym sznur zmartwień nanizanych zamiast paciorków). – Rena, ja muszę z nim być.

Muszę...

– Mamo... – odpowiedziała Rena. – Nie.

– Mogę pomóc! Jeśli ona mi powoli! Aaron – mówiła dalej Sylvia, jakby w tym tkwił problem, jakby wystarczyło, żeby matka wypowiedziała imię umierającego dziecka na głos, aby przywrócić je do życia.

– Tu nie chodzi o ciebie – powiedziała Rena swoim najłagodniejszym tonem.

Cóż, w takim razie o kogo? W tym właśnie rzecz: Rena nigdy nie zapomniała, że Sylvia jest ich matką, ale jakoś nie pamiętała, że to oznacza, że oni są jej dziećmi.

– I możesz pomóc – podkreśliła Rena. – Zajmij się Lisą, zadbaj, żeby była szczęśliwa. Jutro, jak już będzie po wszystkim, byłoby cudownie, gdybyś mogła przywieźć ją do domu. Dobrze?

– Co mam jej powiedzieć? – zapytała Sylvia.

– Nic. To bardzo ważne, mamo. Dobrze? Marjorie musi przemyśleć, co powiedzieć. To ona jest matką.

– Dobrze – odparła Sylvia. – W porządku. Zadzwonisz do mnie?

I wtedy głos Reny zupełnie się załamał. Powiedziała:

– Oczywiście. Do ciebie pierwszej. Do zobaczenia.

W budynku było tylko osiem mieszkań, wszystkie o takim samym rozkładzie: zupełnie identycznym albo w lustrzanym odbiciu. Widok tego, jak ktoś inny urządził swoje mieszkanie, był niepokojący, niczym odkrycie sobowtóra. Twoje życie wyglądałoby tak, gdybyś nie była sobą. Miała wrażenie, że słyszy przytłumione mechaniczne dźwięki z wnętrza mieszkania pani Tillman, gdy dzwoniła do jej drzwi. Jak też ona ma na imię? Sylvia wyobraziła sobie zawieszkę z napisem TILLMAN (taką samą, jak przy produktach sprzedawanych przez jej męża). To była kobieta tej samej marki.

Sylvia starała się nie rozplakać. Miała już tylko kilka sekund, by robić to na osobności.

Drzwi się otworzyły, ukazując panią Tillman i ścianę za nią, pokrytą talerzami przedstawiającymi różne pory roku z małymi figurkami. Bawarskie fajansowe talerze z fajansowymi dzieciątkami. Zapewne firmy Goebel i Hummel. Sylvia uświadomiła sobie, że ciężko oddycha.

I wtedy przypomniała sobie, że ma zadanie do wykonania: zadbać, żeby Lisa była szczęśliwa.

– Ach! – powiedziała pani Tillman. Włosy miała w kolorze koralowym. Opierała się o balkonik, który wydawał się zbyt niski dla wysokiej kobiety. Sprawiała przez to wrażenie, jakby była skrupowana, niczym wariat w szpitalu dla obłąkanych. – Cześć, Syl. Miałyśmy mały kłopot.

Sylvia zaczęła się zastanawiać, czy pani Tillman nie doznała przypadkiem udaru, ale zorientowała się, że sąsiadka tylko krzywo umalowała się szminką.

– Miałyśmy mały kłopot – powtórzyła pani Tillman. – Użyłyśmy czegoś bez pozwolenia. Talku. – Wskazała na pokrytą pyłem Lisę, która stała przy sofie w krzykliwy wzór z ptakami. Dziewczynka miała zaczerwienione oczy. „Lisa wie”, pomyślała Sylvia. „Skąd ona wie?”.

– Chciałam wyglądać tak, jakbym miała upudrowaną perukę – powiedziała Lisa.

– Ach! – westchnęła Sylvia. – Przeprosiłaś, kochanie?

Lisa pokiwała głową.

– Więc był mały klaps – oznajmiła pani Tillman wesołym głosem – a teraz znowu jesteśmy przyjaciółkami.

Mały... klaps? Sylvia starała się zrozumieć. Tillman kiwała zachęcająco głową, a potem klepnęła się dłonią w nadgarstek, żeby dokładnie pokazać.

– Dałaś jej klapsa? – Sylvia spojrzała jeszcze raz na talerze i dostrzegła,

czym są: miniatuarkami dzieci, które za pięć lat wstąpią do Hitlerjugend, małymi jodłującymi potworkami w skórzanych spodenkach. Miała ochotę zerwać je wszystkie po kolei ze ściany i rozbić, ale uświadomiła sobie, że to dziwne uczucie w rękach to jej własne dłonie, które ciężą niczym worki piasku, a są takie, odkąd odłożyła słuchawkę. Żal sprawił, że stały się olbrzymie. Jakby miały odpaść od nadgarstków. Lisa nie mogła wyjść, bo na przeszkodzie stał balkonik, który wydawał się nie podporą dla starszej pani, tylko narzędziem tortur wykorzystywanym wobec małych dzieci. Sylvia chwyciła balkonik i przesunęła go bliżej pani Tillman.

– Syl! – krzyknęła pani Tillman, przechylając się do tyłu, więc Sylvia chwyciła ją za rękę. Drugą wyciągnęła do Lisy, która złapała ją i zaraz znalazła się poza mieszkaniem, pod skrzydłem babci, pachnącym łaskotkami i chichotem dzieciństwa.

– Oszalałaś? – powiedziała pani Tillman. – Puść!

Sylvia wciąż trzymała ją za rękę. Czuła, że mogłaby ją złamać. Kość łokciowa bawarskiej figurki: porcelanowe ludziki mają przecież porcelanowe kości.

– Zadzwoń na policję! – zawołała Tillman.

– Ty? – zapytała Sylvia. – Proszę bardzo! Każę cię aresztować!

– To boli! Puść mnie!

– Dzwon na policję! – powiedziała Sylvia. – Nikomu nie wolno bić cudzych dzieci! Nikomu! To barbarzyństwo.

– Babciu – wtrąciła Lisa. – Nawet nie zabolalo. Proszę!

Sylvia odepchnęła od siebie rękę Tillman i drzwi się zamknęły. Z drugiej strony usłyszały jej głos:

– Policja? Wezwiesz ich do mnie, to ja wezwę ich do ciebie! – Stukot. Musiała uderzyć w drzwi od środka. A potem rozległ się dźwięk zasuwanego łańcucha.

Stały we dwie na korytarzu, Sylvia i Lisa, jeszcze nieosierocona.

– Chodźmy stąd – powiedziała Lisa. – Chodźmy na przyjęcie. Wyjdźmy tyłem.

„Biedulka” – pomyślała Sylvia, ale miała na myśli siebie.

Powracała do swojego ciała. Dłonie wciąż miała za duże, ale teraz były jak napełnione helem. Tak naprawdę to wolałaby pójść do swojego mieszkania, do sypialni, na tył garderoby i usiąść pomiędzy butami. Pomyślała, że poczułaby się lepiej, gdyby zaczęła któryś z nich obgryzać.

Nie. Musiały zapewnić sobie zajęcie. Tylko w ten sposób dadzą sobie radę. Nie miała pojęcia, jak dokładnie wygląda respirator. Czy zakładają to na twarz? Wkładają do gardła? Zawsze gdy słyszała hasło „sztuczne podtrzymywanie życia”, wyobrażała sobie pęk kabelków przypiętych do ciała chorego i prowadzących do jednej wielkiej wtyczki w ścianie. I tę właśnie wtyczkę wyciągano, gdy kogoś odłączano. Nagle zrozumiała, że „podtrzymywanie życia” to coś, co oznacza brutalną siłę. Kotwy, klamry. Telefon może dzwonić w jej mieszkaniu nawet w tej chwili. Ruszyły tylnymi schodami. Gdy jej dzieci były małe i wracały do domu, żeby opowiedzieć, czego się nauczyły – na przykład, że Ponce de León przybył do Ameryki razem z drugą wyprawą Kolumba – czuła się wytrącona z równowagi: wiedziały więcej od niej. I nadal tak było. Aaron umrze. On umrze. (Powtórzyła to w myślach jeszcze kilka razy). I najwyraźniej jego śmierć nie dotyczyła ani jej, ani Lisy.

Były już na zewnątrz, na słońcu. Ulica pachniała prochem i lemoniadą. Dzieci wystawiały dłonie do sztucznych ogni. Sylvia zauważyła, że wszystkie są w krótkich spodenkach i bluzeczkach bez rękawów. Nikt inny się nie przebrał.

– Nie jedz niczego z majonezem – powiedziała Lisie.

– Bo się od niego tyje?

– Psuje się w ciepło. Można umrzeć od ciepłego majonezu. I żadnej sałatki ziemniaczanej. Posłuchaj, kochanie. To nie w porządku, że pani Tillman dała ci klapsa. Nikt nie ma prawa dać ci klapsa, rozumiesz?

Lisa z powagą pokiwała głową. A potem powiedziała:

– Możesz poprawić mi ogonek?

– Co takiego, skarbie?

– Mój warkocz. – Dziewczynka odwróciła się i pokazała tył głowy. Sylvia poprawiła smutny warkoczek, śliskie brązowe włosy pod warstwą talku, jakby rozmyte, niczym na wypłowiłym zdjęciu. Wstążka była niebieska. Ramiona szerokie. Sylvia je pogładziła. Nie odwracając się, Lisa oznajmiła:

– Tata czasem daje mi klapsy.

– Cóż – powiedziała wstrząśnięta Sylvia. – A zasługujesz?

Ale Lisa już się oddaliła, podskakując w farbujących espadrylach, w kierunku stołu z deserami.

Wróciła z ptysiami – ptysiami! gorsze niż sałatka z tuńczykiem! – i Billem Antonim, intendentem bloku, emerytowanym stróżem. Razem z żoną mieszkał w suterenie, tuż obok graciarni i schowków mieszkańców. Miał na sobie podkoszulek na ramiączkach z napisem FORD na przedzie, litery uwypuklały się na jego brzuchu. Skrywające górną wargę wąsy nawet z daleka wydawały się brudne.

– Jerzy Waszyngton ma do pani pytanie! – zwrócił się do Sylvii.

– Patrick Henry – poprawiła go Lisa.

Sylvia spojrzała na nią z jak największą powagą. Taką, jakiej Lisa mogła oczekiwać wobec siebie albo wobec Patricka Henry’ego.

– O co chodzi, kochanie? – spytała.

– Czy mogę potrzymać sztuczny ogień?

– Oczywiście.

– Mówiłem – stwierdził Bill Antoni. Uśmiechnął się do Sylvii i mrugnął znacząco.

Może powinna mu powiedzieć? O szalonej kobiecie, która bije dzieci w ich budynku. Z pewnością powinien wiedzieć, mógłby się tym zająć, tak jak zajmuje się kotłem i żywopłotami. Ale czuła, że w chwili, gdy otworzy usta, rozwiąże jej się język, powie wszystko i padnie mu w ramiona. Wąsy Billa Antoniego wyglądały jak wystające z nosa zatyczki. Był gruby, zdrowy i żywy. Gdzieś niedaleko zawyła syrena policyjna, a Sylvia zaczęła się zastanawiać, czy to nie patrol wezwany do niej przez Tillman.

Bill Antoni wręczył Lisie cienki drucik ze sztucznym ogniem.

– Trzymaj spokojnie. Właśnie tak. A wiesz, że zaraz będą tańce?

Lisa wpatrywała się w miejsce, w którym ogień zapalniczki Billego Antoniego dotknął drucika, i powiedziała: „Ja nie tańczę” – a Sylvia pomyślała, że to najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszała, no i poza tym: „Nie wolno wpatrywać się w ogień”.

Sztuczny ogień zapłonął. Lisa trzymała go obiema rękami, jakby był obowiązkiem, a nie przyjemnością. „Tak”, pomyślała Sylvia, „moja wina, moja wina”. To ona stworzyła Aarona, a Aaron stworzył Lisę (choć sama Sylvia nie miała poczucia, że została stworzona przez swoich rodziców, a jedynie, że była kochana). Gdyby była tam Rena ze swoim kołonoatnikiem, Sylvia podpisałaby go na znak przyznania się do winy i zażądała kary, nareszcie. Z pewnością zasłużyła na najwyższy wymiar kary. Chciałaby spłonąć jak sztuczny ogień, pięknie, do samego końca. Wszyscy na niego patrzyli.

Gdy zgasł, Bill Antoni powiedział do Lisy:

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie tańczysz?

– Bardziej interesuje mnie oratorstwo – odpowiedziała.

Podrapał się po głowie ręką, w której trzymał zapalniczkę.

– To coś związanego z orką?

– Przemowy. Wygłaszam przemowy. Dzisiaj też wygłoszę. Umiem ją na pamięć.

Sylvia pomyślała, że to koniec. Bill Antoni postawi sprawę jasno: to jest przyjęcie sąsiedzkie, a nie jakaś debata, ty dziwne, dziwne dziecko.

– Cóż, czemu nie? – powiedział. – Chodź tędy. W porządku, babciu?

„Nie jestem twoją babcią” – pomyślała Sylvia, ale skinęła głową. Moment oddechu. Chwila dla siebie.

– W takim razie idziemy – stwierdził Bill Antoni i poprowadził Lisę, a Sylvia już wiedziała, że popełniła błąd. Do końca życia nie chciała nawet przez chwilę być sama.

Ostatni raz widziała Aarona w Święto Dziękczynienia, w Bostonie, ziemia pokryta była lodem. A tego dnia umierał i było gorąco. Który z tych dni zapamięta?

Powinny być w domu, żeby odebrać telefon. Powinny być tutaj, żeby go nie odebrać. Wyobraziła sobie, że telefon dzwoni i dzwoni, Rena jest zmuszona stać przy płatnym aparacie w szpitalu, myśląc o swojej matce i przeklinając ją: „Mamo, no już, odbierz” – a Sylvia miała ochotę wziąć też tę dziewczynkę w ramiona, tę, która właśnie traci brata, mój Boże, nie ma większej straty, jest. Sylvia przeszła to ze swoimi siostrami. Oczy Aarona były fiołkowe, a włosy czarne. Były czarne, zanim posiwiały. I dlatego powinna być z nim teraz, żeby zobaczyć rzeczywistą osobę, którą traci, choć oczywiście traciła każdą jego wersję: odważnego kilkulatka, zamyślonego dziesięciolatka, przemądrzałego nastolatka.

Nic nie mogła zrobić. Nie było jej w Bostonie. Mogła tylko zająć się dziewczynką w Des Moines. Dopóki były tutaj, na zewnątrz, pośród sałatek, galaretek, przypalonych hot dogów, kuszących gór chipsów, sznurków

z flagami, chorągiewek poprzyczepianych do trójkołowych rowerków. Tutaj Lisa nie była bez ojca, a Sylvia bez syna. Bez Aarona. Nie doświadczyły jeszcze tej szczególnej krzywdy. Krzywda: słówko Reny, zupełnie jakby ktokolwiek z nas przeżył życie w idealnym stanie. Ale z pewnością niektóre rzeczy były gorsze niż inne. Dopóki Lisa nie wie, wciąż jest idealna. Bez skazy.

Gdzie ona jest?

Tam. Naprawdę ktoś ustawił małą scenę i Lisa się na niej znalazła. Sal okropnie ją obcięła, długo z tyłu, cieniowanie z przodu, tam, gdzie była guma. Strużki potu na skroniach poprzecinały warstwę talku. Wyglądało na to, że upuściła marynowanego buraka na kryzę patriotycznej bluzki. Oczy miała zamknięte.

Wygłaszała mowę.

Słuchał jej niewielki tłumek. Kilka babć, grupka trochę młodszych dzieci. Bill Antoni. Pełen aprobaty mężczyzna po trzydziestce, który wyglądał na nauczyciela. Panował taki upał, że niemal słyszeć było, jak psuje się majonez, ale Lisa stała tam, gestykulowała i mówiła z powagą:

– Mówią nam, sir, że jesteśmy słabi.

Czwarty lipca 1976 roku, Czterdziesta Trzecia Ulica, Des Moines, stan Iowa. Ta dziewczynka mogłaby rozpocząć rewolucję. Nie swoim wyglądem – choć, spójrzcie na nią, co za piękność! – ani umysłem, ale dlatego, że jest kochana, ona jest kochana, jest – Sylvia popatrzyła na publiczność Lisy i starała się wbić im tę myśl do głów.

Bo czy tak nie było łatwiej? Zmienić tuzin obcych niż jedną ukochaną osobę? Popatrzcie na tę cudowną dziewczynkę. Tak, pomyślała Sylvia, weźmie na siebie winę, ale należy jej się też uznanie.

Jakiś nastolatek spojrział, zobaczył Lisę i prychnął.

– Lecz jeśli o mnie chodzi – powiedziała, uderzając pięścią w otwartą

dłoń, wierząc w każde wypowiedziane słowo – dajcie mi wolność lub dajcie mi śmierć!

...jednak wcale nie tak łatwo domagać się wyboru, nieprawdaż? Prosić i prosić. Można pragnąć i tego, i tego. Można nie otrzymać żadnego.

1. William Shakespeare, *Hamlet*, tłum. J. Paszkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. 11, Warszawa 1973.



Biuro rzeczy znalezionych metropolii bostońskiej

Pewnego razu ze ślepej uliczki zniknęła kobieta. Nazywała się Karen Blackbird. Była chuda, energiczna i nerwowa, miała ciemne kręgi pod oczami i kręcone, zaniedbane, ciemnopopielate włosy. Niewysoka, metr pięćdziesiąt pięć–metr sześćdziesiąt. Miała tatuaż w kształcie aniołka, o którym wiedziało kilka osób, i odłamek ołówka we wnętrzu prawej dłoni, bo jako dziecko potknęła się na schodach. Lubiała pokazywać go uczniom w szkole, w której pracowała na stołówce. „Mogłam się zatruć ołowiem” – mówiła, rozkładając palce, żeby wyeksponować wnętrze dłoni. „Nieprawda” – odpowiadali szóstoklasiści i co mądrzejsi piątoklasiści. „Ołówki nie są z ołowiu, tylko z grafitu”. A mimo to lubili patrzeć na szarą drobinę, która przecinała na pół jej linię życia. Dzieci nie miały pojęcia o chiromancji, niewiele wiedziały o życiu, a jeszcze mniej o miłości, ale wierzyły w linie życia i linie miłości tak samo, jak wierzyły w termometry z rtęcią: coś oznaczały, ale potrzeba dorosłego, żeby je odczytać. „To znaczy, że sama wyznaczę swój los” – mówiła Karen Blackbird, jeśli ją pytano. Dla dzieci, w tym dla jej własnego syna, nie miało znaczenia, że Karen Blackbird ma czterdzieści dwa lata: dla nich dorosłość to jeden jednolity okres czasu. Za to

wiek przedmiotów ich fascynował. Gdy Karen Blackbird zniknęła, grafit w jej dłoni miał trzydzieści trzy lata.

W tym wypadku, i tylko w tym, „pewnego razu” oznacza „późnym latem 1982 roku”.

Karen Blackbird, zanim zniknęła, mieszkała w rozsypującym się domu w stylu wiktoriańskim ze starym ojcem i nastoletnim synem. Syn miał siedemnaście lat, ale był mały: metr pięćdziesiąt i czterdzieści kilo wagi. Grabił liście i odśnieżał podjazdy, roznosił tygodnik „Graphic” – typowe zajęcia miejscowych chłopców. Z tymi swoimi ciemnymi włosami i czarnymi jak tusz oczami wyglądał niczym przedsiębiorcza sierotka, chociaż ubierał się jak hipis, w wypłowiałe do szarości džinsy i poprzecierane T-shirty z napisami. Dziadkowi nie podobał się sposób, w jaki jego córka wychowywała wnuka. Uważał, że dzieciństwo to piec, w którym wykuwa się ludzi, a jego temperatura nie może być letnia. Dziadek miał głowę w kształcie miecha, szeroką w skroniach, z uszami przyczepionymi na krzywiznach i twarzą zwężającą się ku dołowi, ku niezadowolonym, rozczarowanym i naburmuszonym ustom.

Popatrzcie: Karen Blackbird stoi na ganku, zanim zniknie. Ten dom to ruina, brązowa azbestowa dachówka, wypłowiała, pokryta zaciekami. Na podwórku przypominająca przyczajonego aligatora kosiarka. Poręczy na ganku brakuje połowy zębów, a Karen wsuwa czubek buta w jedną z dziur i wierci stopą do przodu i do tyłu, jakby to była jakaś zwrotnica, która o czymś decyduje. Jej kręcone włosy targa wiatr. Usta są spierzchnięte, jak zwykle. Ma taki typ twarzy, który sprawia, że stare kobiety mówią: „Kochana, gdybyś się trochę postarała, byłabyś taka śliczna”. Mylą się jednak. Odślonięte łydki są grube i muskularne, ale dłonie kościste. Wciąż jest za młoda, by nosić taki nos z godnością. Za duży płaszcz nie ma połowy guzików. Ma do nich pecha, zawsze tak było.

Życie zaginionych zaczyna się od „ostatnio widziany, ostatnio widziana” i przez chwilę, przez tydzień czy przez dzień – kto wie, jak długo – ona tu jest. To nie jest ostatni raz. Ma zniknąć, ale jeszcze nie w tej chwili. Tylko magicy podczas swoich występów zapowiadają rychłe zniknięcie kobiety. Lecz nawet wtedy nie wiemy, co pojawi się na jej miejscu.

Pewnego razu – a dokładniej w czwartek, siódmego września 1982 roku – Asher Blackbird, piątkowy uczeń ostatniej klasy, został przyłapany w sklepie spożywczym na próbie kradzieży mrożonych zapiekaneek. Wsunął już jedno opakowanie pod spód bluzy z kapturem i pochylał się nad zamrażarką w środkowej alejce marketu Hi-Lo, gdy został zauważony przez kierownika sklepu, który zabrał go na zaplecze, przez duże srebrne drzwi z okrągłymi okienkami na górze i brązowo-szarą listwą szczotkową na dole.

Hi-Lo było skromną, podupadającą siecią, która przyciągała więcej much niż klientów. Kto miał samochód, jechał do Purity Supreme dwa kilometry dalej. Do Hi-Lo rodzice wysyłali dzieci po mleko. Jeśli dostawały resztę, wrzucały monety do maszyn z piłeczkami i niespodziankami, ustawionych na przedzie sklepu – najbardziej skomplikowanych urządzeń, jakie kiedykolwiek same obsługiwały. Jeśli były bez grosza, kombinowały z dużymi, zimnymi srebrnymi kluczami przy mechanizmie, mając nadzieję, że uniosą metalowe klapy nad rynienkami. Kradły co popadnie: słodyczne, okropne zabawki z okropnego działu z zabawkami, zestawy szkolne z malutkimi linijkami i nożyczkami o zaokrąglonych czubkach. Piły mleko kawowe na parkingu, przesiadując na betonowych blokach wyznaczających miejsca parkingowe.

– Wow! – powiedział Asher Blackbird, gdy kierownik sklepu Hi-Lo zaciągnął go do biura na zapleczu. – Okej! – Uśmiechał się nerwowo. W pomieszczeniu cuchnęło rozmrożonymi mrożonkami. Asher raz po raz ocierał dłonią twarz, ale uśmiech z niej nie znikał. Był schludny, ale chudy,

a gęste czarne włosy wyglądały tak, jakby ostrzyżono go po ciemku. Kierownik Hi-Lo miał ochotę dać mu piątaka, żeby poleciał do salonu Salvi's na rogu. Temu chłopakowi przydałby się fryzjer.

– Przepraszam – powiedział nastolatek. Uśmiechał się tak, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Siadaj – odparł kierownik sklepu. Starał się sprawiać srogie wrażenie. Gdy dzieciaki kradły, napędzał im strachu i odsyłał do domu, bez wzywania rodziców. Ale to zawsze były głupoty: słodycze, zabawki, puszki z pićciem, a nie jedzenie, które trzeba przygotować. Kierownik Hi-Lo położył pudełko z zapiekankami na biurku. Na obrazku były dwie zapiekanki ułożone na drewnianej desce do krojenia. Chłopiec podniósł wzrok. Pewnie mieszka w którejś z czynszówek w okolicy, nad George's Tavern albo Mac's Smoke Shop. Może matka go tu wysłała. A powinien być przecież w szkole.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Siedemnaście – odpowiedział Asher Blackbird. A potem znowu spojrział na pudełko na biurku, uśmiechając się do zapiekanek, jakby to byli jego współpiskowcy.

„Kradnie i kłamie, biedny dzieciak” – pomyślał kierownik. – „I do tego nie jest dobry ani w jednym, ani w drugim”. Ten malec z pewnością nie ma siedemnastu lat. Najwyżej dwanaście. Kierownik miał czterdzieści cztery lata, był różowy i łysy, miał głowę poobijaną jak puszeki w jego sklepie i była żonę, którą wciąż kochał, i która wciąż kochała jego, choć wyszła ponownie za mąż i urodziła dziecko. Jak dzieciak dorośnie, myślał sobie, rozwiedzie się z mężem, tym fałszywym mężem, mężem-cieniem, i ponownie za niego wyjdzie. Tylko to trzymało go jeszcze w miasteczku, w którym mieszkała. Tylko to trzymało go jeszcze na tym świecie. Była jego pierwszą i jedyną dziewczyną. „Jeśli nie ożenię się do czterdziestki – mówił sobie, gdy miał dwadzieścia siedem lat, zanim ją poznał – zabiję się”. Mając czterdzieści lat

nie był żonaty, tylko po rozwodzie. Czasami zastanawiał się, czy nie łamie danej samemu sobie obietnicy. W Hi-Lo nosił koszulę z krótkim rękawem, czerwony dzianinowy krawat i wygrawerowaną tabliczkę z imieniem VAL.

– Twoja mama jest teraz w domu? – zapytał.

Uśmiech wreszcie zniknął z twarzy chłopca.

– Nie – odpowiedział.

– A gdzie jest? W pracy?

Chłopiec znów na niego spojrzał, a kierownik sklepu dostrzegł coś jeszcze. Nie potrafił tego określić, ale później uznał, że to był żal.

– A twój ojciec? – zapytał. – Siostry? Bracia?

Asher Blackbird spuścił wzrok.

– Nie – odrzekł po chwili. Dłonie trzymał na kolanach – olbrzymie dłonie, kierownik sklepu dopiero teraz to zauważył. I olbrzymie stopy, jak u szczeniaka rottweilera. – Tylko dziadek.

– Poczekaj tutaj – powiedział kierownik. Po drugiej stronie wahadłowych drzwi jakiś policjant z wąsami flirtował z Mariettą z działu mięsnego, która układała w gablocie kotlety do hamburgerów. Kierownik sklepu nie miał zaufania do policjantów, którzy flirtują. Przy stoisku z delikatesami chwycił kawałek paskudnego smażonego kurczaka z podgrzewacza, parę słodkich bułek i karton mleka. Gdy wniósł je na zaplecze, chłopiec trzymał pudełko z zapiekanką na kolanach i nim potrząsał.

– Jesteś głodny? – zapytał kierownik. – W porządku. Proszę.

Asher Blackbird już pochłaniał kurczaka.

– Jestem wegetarianinem – rzucił przeproszająco między kęsami. Pod brązową skorupką mięso kurczaka wyglądało nieprzyzwoicie. Kierownik sklepu podał mu złożoną na trzy papierową serwetkę.

Wyszedł, żeby porozmawiać ze skorym do flirtów policjantem, a Asher

Blackbird wbił zęby w chrząstkę na końcu kości. Żuł i żuł, a potem zwymiotował do kosza przy biurku. Wytarłszy usta, zabrał się do słodkich bułek.

Funkcjonariusz Leonard Aude odwiózł Ashera Blackbirda do domu. Zaproponował mu przedni fotel radiowozu, ale chłopiec wolał jechać z tyłu. We wstecznym lusterku wyglądał na jeszcze młodszego.

– W porządku? – zapytał Aude.

– Tak, proszę pana.

– Który dom? Chłopcze, który?

Asher Blackbird zakładał i zdejmował kaptur swojej bluzy.

– Ten. Brązowy. Brązowawy.

– Mówiłeś, że mamy nie ma w domu. A gdzie jest?

Po długiej chwili chłopiec powiedział:

– Nie wiem. Zniknęła. Po prostu... zniknęła.

– Tak? A dawno?

– Nie wiem. Z pół roku temu.

– Pół roku? A z kim mieszkasz?

– Z nikiem.

– Matka zostawiła cię samego?

– Nie – odparł chłopiec. Aude słyszał, że bawi się zamkiem bluzy. – Mieszkam z dziadkiem – oznajmił w końcu.

Aude popatrzył na dom, na śmieci na ganku, na przemoczone szare gazety na schodach, na ulotki reklamowe wystające z zamocowanej na ścianie skrzynki pocztowej. Wykoślawione i wyjęte z zawiasów drzwi zewnętrzne z siatką oparte były o balustradę.

– On też się nazywa Blackbird, tak? Nathan. To on?

Chłopiec nie wydawał się zdziwiony, że Aude słyszał o jego dziadku.

– To on – odpowiedział.

– I jak to jest, mieszkać z twoim dziadkiem?

Chłopiec wzruszył ramionami, pokręcił głową.

– Nie mogę – powiedział po chwili.

– OK, kolego – odrzekł Leonard Aude. – Zajmiemy się tobą. Zaraz wracam.

Wewnątrz domu Aude poczuł, że jego wielkie serce zamarło i zrobiło się nagle bardzo ciężkie. Tak się dzieje, gdy uderza nas prosto w twarz to, jak żyją inni ludzie. Nikt się tym chłopcem nie zajmował. Trafi do opieki społecznej, a matka do aresztu, jak się z powrotem zjawi. W domu cuchnęło śmieciami i kotami, choć widać było tylko jednego, spał na krześle z oparciem w kształcie drabinki. Uniósł głowę. Z pyszczka ciekła mu ślina. Aude nawet nie wiedział, że koty się ślinią. On też potrzebował dobrego domu.

– Halo? – zawołał.

Cały sufit w salonie wydawał się bliski zaważenia od wilgoci. Ze ścian odłaziły tapety w pięciu różnych wzorach. Po całym pokoju porozrzucone były w połowie puste kartony, na których ktoś chyba spał – ktoś się wprowadzał? wyprowadzał? – a oszklona weranda z tyłu wyglądała niczym szpital dla szalonych, poobijanych mebli. W przypominającej jaskinię kuchni Aude zauważył, że każda szafka była zamknięta na łańcuch do roweru. Niektóre łańcuchy były grube, inne wąskie, kolorowe, obłożone plastikiem. Był pewien, że to robota Nathana Blackbirda.

Aude wszedł po schodach. Później poczuje wściekłość, ale w tym momencie czuł tylko głęboki smutek, który ogarniał go zawsze, gdy trafiał w jakieś miejsce później, niż powinien, gdy widział, jak bezradny jest tak naprawdę świat – świat, który powinien chronić dzieci. Bieżnik pod jego stopami był brudny jak podłoga w warsztacie samochodowym. Na górze

skręcił i ruszył korytarzem. Usłyszał mamroczący głos za drzwiami.

– Halo? Pan Blackbird? – zapytał Aude.

Głos mamrotał dalej.

Aude otworzył drzwi i zajrzał do środka. W porównaniu z resztą domu pokój był dziwnie schludny. Terkotał naokienny klimatyzator. Komodę stojącą poniżej pokrywała warstewka kurzu. Łóżko u wezgowia podparte było książkami: pod jedną nogą żółta książka telefoniczna z numerami bostońskich firm, tom encyklopedii od A do K i katalog Purity Supreme. Pod drugą biała książka telefoniczna z prywatnymi numerami w Bostonie i tom XYZ.

Zwykle Nathan Blackbird przyznawał się do wszystkiego. Taką miał naturę. I dlatego był znany policji. Zanim zamieszkał z Karen i Asherem, przebywał w pensjonacie z innymi starszymi panami. Dwa razy w roku zjawiał się na posterunku i wysuwając nadgarstki, oznajmiał, że kogoś zamordował. Nigdy tego nie zrobił. Pragnął uwięzienia, winy, odpuszczenia – kto o tym nie marzył – ale był za dużym tchórzem, żeby zrobić cokolwiek, by na nie zasłużyć. „Nareszcie – powiedziałyby do Leonarda Aude’a, gdyby mógł go teraz zobaczyć – nareszcie mi wierzycie. To ja jestem Dusicielem z Bostonu. To ja jestem Uskokiem San Andreas”.

Łóżko uniesiono, żeby wspomóc krążenie krwi u Nathana Blackbirda, choć jego krążenie zatrzymało się dwa dni temu, gdy doznał zawału serca podczas snu. Jego ręce leżały na pościeli, nadgarstki stykały się, jakby znowu, jak zawsze, wyciągał je do zakucia.

– Oj, cholera, Nathan – powiedział Aude do trupa. – Panie Blackbird, do diaska.

Tyłna część zwłok była pewnie czarna od zebranej krwi, niczym w połowie zatopiona łódź, ale to, co było widać, było blade i na razie nietknięte, dzięki chładowi, jaki panował w pokoju. Mamroczący głos

dochodził ze skanera nasłuchowego na nocnym stoliku: Nathan Blackbird lubił słuchać policyjnych zgłoszeń o wszelakich zbrodniach, jakich nie popełnił. Aude wyłączył go, żeby nie słyszeć samego siebie składającego zgłoszenie. A potem poszedł porozmawiać z chłopakiem.

Pewnego razu ze ślepej uliczki zniknęła kobieta. Nikt tego nie widział. Musiała wyjść z domu w wiktoriańskim stylu, w którym mieszkała z ojcem i synem. Musiała zejść po frontowych schodach. Była sama albo nie, zrobiła to z własnej woli albo nie. Zostawiła za sobą poduszkę z odgniecionym śladem głowy, niczym książkę na pulpicie, na odpowiedniej stronie pojedynczy długi włos, który zaznacza jej miejsce na następny raz. Zostawiła skarpetki, które w końcu zapomniały szczególny kształt jej stóp, i buty, które o nim pamiętały, brązowy skórzany pasek, kiedyś podkreślający jej chłopięcą talię, tuziny srebrnych kolczyków, piżamę, którą miała na sobie, gdy widziano ją po raz ostatni. Zostawiła materac z nadrukowaną, niestosowaną instrukcją czyszczenia. Zostawiła samochód. Zostawiła kryminał w miękkich okładkach, który czytała.

Zwolniono ją z pracy na stołówce w miejscowej szkole podstawowej, bo pozwalała dzieciom masować swoje plecy. Miała chłopaka, ale zerwali. Znowu mówiła o religii; w Hamilton w stanie Ontario była dziewczyna, która doznała urazu głowy i ponoć dokonywała cudów, i Karen Blackbird zastanawiała się, czy tam nie pojechać. Przez całe życie szukała Boga. Chodziła na msze, do buddyjskiej świątyni, na darmowe brunchy w Międzynarodowym Towarzystwie Świadomości Kriszny. A potem wracała do domu, by przespać się w swojej własnej, przesiąkniętej wątpliwościami pościeli. Może tym razem postanowiła pozostać pomiędzy wierzącymi.

Zostawiła za sobą piwnicę pełną starych zdjęć, podartych kapeluszy, wiklinową kanapę, która przypominała most Brooklyński, kufer pełen wyciągów bankowych, płócienną torbę z osieroconymi kluczami, inhalator

dla astmatyków, energooszczędny piecyk.

W łazience na górze – rozczochraną szczotkę do zębów z mięsistą, gumową końcówką do masowania dziąseł, okrągłą lawendową jednorazową maszynkę do golenia, której używała do golenia nóg, ale nie pach, czarny plastikowy grzebień, kupiony w automacie na stacji benzynowej, szczotkę z jasnego włosia, pociemniałą od jej własnych włosów.

Zostawiła za sobą starego ojca i syna. Nie powinna była tego robić. Jej ojciec miał trudny charakter i kryminalną przeszłość. Jej syn był bezbronny. Był mały jak na swój wiek, a potem robił się coraz smutniejszy, coraz chudszy, jego skóra przybrała popielaty odcień, był ciągle nieprzytomny na lekcjach i każdy sobie myślał: „Nareszcie, chłopak w końcu dojrzewa”.

Ale prawda była tylko taka, że dziadek głodził go na śmierć.

Zdjęcie Karen Blackbird pojawiło się w wieczornych wiadomościach. Wyglądała na nim niewiarygodnie ładnie. Włosy miała ściągnięte do tyłu, gładko zaczesane. Ciemna szminka na ustach. Błysk lampy zatuszował osobliwy kształt nosa. Sukienka w orientalny wzór była marszczona na piersi i miała wycięcia na ramionach. Na jednym z nich widać było kilka delikatnych piegów. Może to gra światła i cieni uczyniła ją piękną; a może talent fotografa. Szukając kobiety ze zdjęcia, można by nigdy nie znaleźć prawdziwej Karen Blackbird. To było ulubione zdjęcie matki Ashera Blackbirda. Dał je policji. Przesłuchali go krótko, ale znał ją tylko tak, jak zna się swoją matkę – jej zapach, kręte ścieżki jej wiary, lekkie powłóczenie lewą stopą. Ale nie blizny, nie większość sekretów.

W takim domu jak ten, skąd można było wiedzieć, czy ktoś spakował się na podróż i na jak długą?

Czy Asher wiedział, że jego dziadek nie żyje?

– Dużo spał – powiedział chłopak. – Wściekał się, jak mu zawracałem

głowę.

– Kiedy pojawiły się łańcuchy na szafkach?

– Gdy zniknęła mama.

– Ale po co?

– Bo jestem wegetarianinem.

– A co to ma do rzeczy?

– Mój dziadek nie wierzy w wegetarianizm, powiedział, że jak naprawdę zgłodnieję, to zjem, co mi da.

– Dlaczego nie oszedłeś?

W tym momencie chłopiec spojrzał zmieszany.

– Ja tutaj mieszkam – odrzekł po chwili.

– Już nie, teraz już nie – powiedział policjant. – Nie martw się, znajdziemy ci jakieś dobre miejsce. Takie, w którym będą cię karmić.

Na razie chłopak został u Leonarda Aude’a i jego żony. Przytył pięć kilogramów przez pierwsze dwa tygodnie.

Na każdym drzewie i słupie telefonicznym w okolicy widniało:

WIDZIAŁEŚ KAREN?

IMIĘ I NAZWISKO: KAREN BLACKBIRD

WIEK: 42 LATA

WZROST: OK. 157 CM

WAGA: OK. 50 KG

I tyle. Tyle tylko wiedział kierownik sklepu Hi-Lo. Skserował zdjęcie z lokalnej gazety. Kserokopiarka w bibliotece była bardzo kiepska i Karen Blackbird wyglądała jak zamrożona w bloku lodu. Wymieniał plakaty co tydzień, czy padało, czy nie, ale zapomniał o dopisaniu numeru, pod który można by zadzwonić. Były niczym refren piosenki, gdy mijało się je na ulicy,

samo pytanie i żadnej możliwości, by odpowiedzieć.

Widziałeś Karen Blackbird? Widziałeś Karen? Widziałeś Karen?

Kierownik sklepu Hi-Lo pracował sześć dni w tygodniu i czekał, żeby ktoś przyszedł go przesłuchać. Ale nikt tego nie zrobił. Czy ktoś nie powinien go wypytać, co wie? To on znalazł chłopca, to on zawiadomił policję. „Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak, od razu”. Nie wspomniałby o swojej początkowej irytacji – nie dlatego, że chłopiec kradł, tylko że kradł tak nieporadnie, że musiał go przyłapać. Opisałby, jak chłopiec wyglądał, tę pustkę w jego oczach. „To dobry dzieciak” – kierownik wyobrażał sobie, jak to mówi.

Z pewnością miał rację. Zanim spotkał chłopca, uważał, że jedyną dobrą rzeczą w jego życiu jest miłość do byłej żony. Większość ludzi nie ma pojęcia, czym jest tego rodzaju miłość. On sam nie wiedział, gdy byli małżeństwem, gdy czuł, że robi wszystko nie tak, jakby oddzielała ich jakaś zasłona. Rozwód uniósł tę zasłonę i teraz, gdy rozmawiali przez telefon, mógł nagle oznajmić, najszczęśliwym głosem: „Kocham cię”, i usłyszeć, jak zapiera jej dech w piersiach, a potem odpowiedź – rzeczową, bo nie mogła zaprzeczyć – „Ja ciebie też”. A potem już tylko oddychali do siebie, przez dziurki w słuchawkach, oddychali, oddychali, aż ona mówiła: „Co sobie ugotujesz na obiad? Powiedz”. Zwykle robił hamburgery, ale nauczył się paru innych potraw, żeby móc jej o tym opowiadać.

A potem spotkał chłopca. Czy to nie powinno odmienić jego życia?

Ślusarz wymienił zamek w drzwiach pod numerem 13 i zamontował zasuwę i kłódkę. Jakiś ubrany w pomarańczowy kombinezon mężczyzna zabił kawałkiem sklejki wybite okno. Kto ich wynajął? Pojedynczo, najpierw kobieta, potem dwóch mężczyzn, a na koniec nastolatka, zostawili wiązanki pogrzebowe na schodkach sypiącego się domu. Dla kogo? Nikt nie żałował

zmarłego. To byli miłośnicy makabry, ci ludzie z kwiatami. Chcieli wziąć udział w pogrzebie, ale go nie było. Ciało Nathana Blackbirda nadal czekało w kostnicy, aż ktoś je odbierze. Chłopca odesłano, zamieszkał w nowym domu, czystym domu, w innym mieście.

Jakiś głupek – kierownik sklepu Hi-Lo – przyszedł z żółtą wstążką, żeby obwiązać nią drzewo, użyć tego samego symbolu, który służył do wspierania zakładników przetrzymywanych w ambasadzie w Teheranie kilka lat wcześniej. W tamtych czasach wstążkowe szaleństwo Ameryki dopiero kiełkowało. Był rozczarowany, że nie ma tam żadnego drzewa, a poza tym ktoś przywiązał już żółtą wstążkę – ale nie, to tylko taśma policyjna. Kierownik sklepu przymocował swoją wstążkę do krzaka.

Jedna z dziewczynek z sąsiedztwa podeszła, by z nim porozmawiać. Miała jasne włosy, cofnięty podbródek i wielkie usta z grubą dolną wargą.

– On wróci – powiedziała.

– Kto?

– Asher Blackbird.

– Tak? – odparł kierownik sklepu.

Pokiwała głową. Nagle poczuł się tak, jakby ocknął się w szpitalu i zorientował, w jak kiepskim jest stanie, patrząc na sąsiednie łóżka.

– Znasz Karen? – zapytał ostrożnie.

Odpowiedziała:

– Spójrz. – Wskazała na kropkę nad swoim prawym okiem, błękitnoszary cień.

– Na co? – zapytał.

– Ołówek – odpowiedziała. – W pierwszy dzień szkoły kolega uderzył mnie z tyłu, jak wycierałam coś gumką na jego końcu. – A Karen – dodała, pokazując dłoń – miała tutaj to samo.

- Ołówek.
- W dłoni. Na tej linii.
- Lana! – zawołała kobieta z ganku domu obok.
- Muszę iść – powiedziała dziewczynka.

Kawałek ołówka w dłoni! Przez następne miesiące kierownik sklepu Hi-Lo przyglądał się wnętrzu swojej dłoni, spodziewając się, że go zobaczy, że dostrzeże kawałek grafitu pod skórą, drgającego niczym igła kompasu.

Nagle zaczął mieć wrażenie, że wszystko w okolicy ginie. Słupy telefoniczne były tak upstrzone plakatami ZAGINAŁ/ZAGINEŁA, że gubiła się pośród nich twarz Karen Blackbird. Ludzie jej nie zrywali, tylko przyczepiali na niej swoje zguby. Zaginał Ponto, owczarek niemiecki z obciętym ogonem. Zgubiono zegarek o wyłącznie sentymentalnej wartości. Zginał James, pręgowany kot, jest w trakcie leczenia. Rodan, ukochana papużka. *Rozejrzyjcie się. Sprawdźcie w piwnicy. Widzieliście mnie?* Ludzie chcieli pomóc. Porywali podobne zwierzęta, zamykali je w garażach i dzwonili pod podane numery. „Jest pan pewien, że to nie Ponto?” – zmartwiona kobieta pytała właściciela psa, który odpowiadał: „Proszę pani, psy to nie jaszczurki. Ogony im nie odrastają”. Na sąsiednim osiedlu dziesięciolatka napisała drukowanymi literami: **POMÓŻCIE MNIE ZNALEŹĆ! JESTEM NIEMIECKIM OWCZARKIEM, REAGUJĘ NA IMIĘ AUNTIE, JESTEM NERWOWA I CZASEM GRYZĘ.**

Znaleziono ciało.

Ciało należało – jakby to miało sens, jakby po śmierci ciało wciąż było naszą własnością – do kobiety w wieku trzydziestu, czterdziestu lat. Została przywiązana do wózka sklepowego i wepchnięta do rzeki Charles. Znaleziono ją trzy miesiące po ujawnieniu zaginięcia Karen Blackbird. Sam szkielet, stwierdzono. Z niedawno złamaną kością policzkową, a kilka lat

wcześniej udową. Miała na sobie T-shirt z napisem VIRGINIA IS FOR LOVERS. T-shirt się zachował, ale wszystko poza tym – tatuaże, drobina ołówka w dłoni, ślady walki – zostały wypłukane przez rzekę. Karen znów pojawiła się w gazetach, razem z piegami na ramionach.

Lecz następnego dnia koroner uznał, że to nie jej ciało; przebywało w wodzie od roku. Nie było żadnych zawiadomień o zaginięciu takiej osoby. Jedynie ją znaleziono.

W końcu zawsze się ktoś przyznaje. W tym wypadku był to Manny Coven. Gęba na zdjęciu w gazecie przekonała wszystkich: wielokrotnie połamany nos, kilkudniowy czarny zarost, znamię tuż pod prawym okiem, które wyglądało jak odcisk kciuka. Zatrzymano go w Providence pod koniec trwającego tydzień ciągu alkoholowego: wszedł o trzeciej nad ranem do lobby hotelu Biltmore, wołając:

– Ja to zrobiłem! To ja! Ja to zrobiłem!

Nawet Manny nie miał pojęcia, co robi w Providence, ale jego zeznanie brzmiało wiarygodnie. Znał Nathana Blackbirda. Obaj wynajmowali pokój w pensjonacie zwanym Hollis Hotel, dopóki kobieta, która go prowadziła, nie zmarła, a budynku nie sprzedano. Bezdomny Manny ruszył w drogę. Te kilka osób, które go znało, twierdziło, że nie wyobrażają sobie, żeby mógł kogoś zabić. Ale przecież się przyznał.

Był tak pijany, że potrzebował dwóch dni, żeby wytrzeźwieć, a potem wpadł w delirkę. Posłano po policyjnego stenografa, aby spisał zeznanie.

Dusiłem ją. Dźgałem nożem. Zrzuciłem jej ciało z mostu. Z mostu, z mostu przy trolejbusach. Blackbird, Blackbird, Nathan Blackbird. Nienawidziłem go. Ona go zabrała, a ja poszedłem za nią. Ona go zabrała. Czekałem. Czekałem dziesięć, jedenaście, piętnaście lat. Złapałem ją.

Złapałem i zabiłem.

„Jak?”

Och, wszystko jedno. Gryzłem ją. Nathan Blackbird. Co za facet – niewiarygodne, do czego był zdolny. To diabeł. Przysięgam, panie oficerze, że to diabeł. Ja zresztą też.

„Nathan Blackbird?”

Oczywiście. Pomógł mi. A ja jemu. Gryzłem ją. Zabiłem ją.

„Coś jeszcze pan robił?”

Dużo.

„Zgwałcił ją pan?”

– O Jezu, panie oficerze – powiedział wstrząśnięty Manny Coven. – Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

– Ani tego, ani całej reszty – stwierdziła jego siostra, starając się o zwolnienie go z aresztu. – To dziecko, ma IQ na poziomie sześćdziesiąt osiem. Pokażę panu jego testy. W szkole go uwielbiali. On się tylko pogubił!

– Pogubił się, a my go znaleźliśmy – odpowiedział komendant policji.

Manny Coven mówił przez cztery dni. W telewizji, gdy z policyjnego radiowozu zabierano go do więzienia, wyglądał mniej przekonująco, mały człowieczek z włosami ostrzyżonymi krótko, tak jak matki lubią obcinać chłopców na lato. Ale miał dużo do powiedzenia. Dusił ją. Zastrzelił. „Jaką bronią?”. Palną. Bronią palną. Zawinął jej ciało w prześcieradło i umieścił w pociągu. W wagonie towarowym. W metrze. Poszła do nieba i on też. Zabił ją garłaczem. Kartą kredytową. Trucizną. Ukrył ją pod swoim łóżkiem, ciągle tam była, tkwiła tam całe wieki. Był w niej zakochany – jak chyba każdy? „Zakochany w kim, Manny?”. W tej dziewczynie. No, w dziewczynie. W tej dziewczynie.

Piątego dnia obudził się w celi. Jego serce się uspokoiło. Ściany już się nie ruszały. Ze zdumieniem przyjął informację, że został aresztowany za

morderstwo.

– Cóż, może i to zrobiłem – powiedział prawnikowi. – Niewiele pamiętam. Właściwie to nic.

– Nie zrobiłeś – stwierdziła jego zakłopotana obrończyni, młoda kobieta o nazwisku Slawson. Była przyjaciółką jego siostry i z ulgą przyjęła fakt, że jest niewinny, bo trochę ją przerażał.

Policja zbadała każdy idiotyczny trop, jaki podał im Manny Coven. Sprawdzili nawet dawny Hollis Hotel, ku ogromnej konsternacji obecnego właściciela. To wszystko były bzdury. Wymyślił każdy szczegół.

Manny zaczął płakać.

– Jezu – rzekł. – To kogo zabiłem?

– Manny – powiedziała zdesperowana Slawson. Poszukała w kieszeniach chusteczki. – Nikogo nie zabiłeś!

– To dlaczego tutaj jestem? O Jezu, ja nie chcę nikogo zabić!

– Myśleli, że zabiłeś Karen Blackbird, ale tego nie zrobiłeś.

– Blackbird? To żona Nathana?

– Córka.

– Nathan Blackbird – powiedział Manny przez łzy. – Zawsze go podziwiałem. Co u niego?

W pierwszą rocznicę zniknięcia Karen Blackbird – to znaczy w rocznicę spotkania Ashera Blackbirda – kierownik marketu Hi-Lo poszedł na zebranie grupy wsparcia dla bliskich osób zaginionych. Odbywało się w budynku college’u, w sali w piwnicy, wypełnionej nastrojowym kurzem z kredy. Zebrało się tam dwanaście osób. Siedziały na krzesłach ze składanymi blatami i wydawały się podekscytowane jego obecnością.

– Kogo pan stracił? – zapytała miła kobieta w bejsbolówce Red Soxów.

– Żonę – odpowiedział. To była prawda, jego była żona wyprowadziła się

miesiąc wcześniej do Indiany i zerwała kontakt, choć to nie o niej myślał, gdy szukał grupy wsparcia dla bliskich osób zaginionych.

Uprzejma kobieta była gwiazdą, matką Deanny Manly, nastolatki, która latem 1959 roku wyszła do pracy jako ratowniczką na basenie miejskim i zniknęła bez śladu. Choć Deanny nie było od ponad dwudziestu lat – a to więcej lat niż wcześniej była – jej matka wciąż nosiła T-shirt z podobizną córki, czarno-białą z błyszczącymi włosami, przez co wyglądała jak jakaś sławna osoba, którą faktycznie stała się tamtego lata. Napis brzmiał: POMÓŻ DEANNIE WRÓCIĆ DO DOMU. Podkoszulek był sprany i znoszony, a kierownikowi sklepu Hi-Lo trudno było ocenić, jaki stopień nadziei wyrażał.

Inna kobieta straciła byłego męża. Była wysoka i koścista, z nosowym, głębokim głosem i poobgryzаныmi palcami. Nie mogła też odnaleźć swoich byłych teściów ani dawnych wspólnych przyjaciół, którzy mogli umrzeć z przedawkowania, i prawdopodobnie umarli. Nie było ich w żadnej książce telefonicznej. Przez dziesięć minut mówiła o tym, jak nieudane było jej małżeństwo, jak ją niszczyło i jak bolesne jest dla niej na dodatek to, że wciąż nie może go znaleźć.

– Najgorsza jest niewiedza – powiedziała.

– Przepraszam – wtrącił kierownik sklepu.

Kobieta spojrzała na niego i wsunęła do ust palec wskazujący.

– Czy to jest odpowiednie miejsce dla pani? – zapytał.

Zaczęła obgryzać palec.

– Chwileczkę... – odezwała się kobieta w średnim wieku w koszuli w szkocką kratę.

– Hej! – rzuciła kobieta siedząca obok niego.

– Och – westchnęła matka Deanny Manly, kładąc dłoń na ramieniu kierownika sklepu. Była podobna do córki i pomimo tego, co przeszła,

zupełnie nie wyglądała na swój wiek. Wyglądała raczej jak wyobrażenie policyjnego rysownika o tym, jak Deanna wyglądałaby teraz, gdyby żyła, a kierownik marketu Hi-Lo miał przez moment ochotę powiedzieć: „To ty, Deanno, prawda? Jesteś tutaj, a zaginęła twoja matka”.

– Nie wolno kwestionować cudzego bólu – powiedziała. – Zrozum. Wszystko jest ważne. Nie można porównywać smutku jednej osoby ze smutkiem innej.

Oczywiście, że można. Utrata piętnastoletniej córki jest gorsza niż utrata uzależnionego od narkotyków męża-obiboka. Popatrzył na dwanaście osób obecnych na sali: miał ochotę przepytąć ich i ustawić w szeregu – małżeństwo, starszą kobietę ze śladami wałków na włosach, mężczyznę wyglądającego na pedofila. Uczucia obgryzaczki palców do byłego męża były niczym drzewko bonsai – może i zaczęły się od czegoś prawdziwego, ale pielęgnowała je tak intensywnie i tak długo, że miały teraz charakter wyłącznie dekoracyjny. Oczywiście, że można porównać żal jednej osoby ze smutkiem drugiej! Pragnął jedynie tego, by choć jedna osoba to zrobiła, by powiedziała mu: tak, twój smutek jest większy niż wszystkich innych. Twój smutek jest niemierzalny.

– Chcesz nam opowiedzieć swoją historię? – zapytała matka Deanny Manly.

I wtedy sobie przypomniał: jest kłamcą, gorszym niż inni.

Więc opowiedział jakąś bzdurną historię, pozszywaną z kawałków życia Karen Blackbird przedstawionych w gazetach i czasopismach oraz swojego małżeństwa. Opowiadając ją, jeszcze mocniej uwierzył, że jego tęsknota ma jakąś zupełnie z nim niezwiązaną przyczynę: to los rozdzielał go z ludźmi, których kochał.

– Robiła takie ciasto czekoladowe bez mąki – powiedział na końcu, przejęty.

– Och, tak – stwierdziła kobieta, której zaginął były mąż. – Ja też je robię.

– A co to ma wspólnego z panią? – zapytał kierownik sklepu.

Matka Deanny Manly znowu położyła mu dłoń na ramieniu.

– Cudowne są te bezmączne ciasta. Na pewno ich panu brakuje.

Był załamany, dowiedziawszy się, że jeden z małych cudów jego małżeństwa to najzupełniej zwyczajna rzecz.

To niesprawiedliwe, że tylko Karen Blackbird miała plakat. Każdy chciał mieć plakat.

ZAGINAŁ:

WETERAN II WOJNY ŚWIATOWEJ,
GRAŁ SKYA MASTERSONA W „GUYS AND DOLLS”, UMIE
WYCISNAĆ NA ŁAWECZCE 110 KG, UCZUCIOWY, ALE W GORĄCEJ
WODZIE KĄPANY. JEŚLI GO SPOTKASZ, ZADZWOŃ POD TEN
NUMER.

ZAGINEŁO:

ULUBIONE DZIECKO,
METR OSIEMDZIESIĄT, MOŻE JUŻ BYĆ WYŻSZE.

ZAGINEŁA, ZAGROŻONA:

PIĘCIOLETNIA DZIEWCZYNKA,
JEDNO ZEZUJĄCE OKO, ZAFASCYNOWANA MASZYNAMI DO
PISANIA I BŁYSZCZYKAMI DO UST, OSTATNIO MIAŁA NA SOBIE
SZPITALNĄ PIŻAMĘ.

Sąsiedzi chcieli stosów plakatów o zaginięciu każdego, kogo stracili, nawet samych siebie. *Zaginął: dawny ja. Cechy charakterystyczne:*

oczekiwanie sławy, umiejętność domagania się miłości. Ostatnio widziany z wyrazem nadziei na twarzy i w niewygodnych butach.

– Sprawa wciąż jest w toku – odpowiadał komendant policji, gdy ktoś pytał o Karen Blackbird, tonem sugerującym, że ta sprawa to wielka czarna dziura i że można liczyć najwyżej na to, że ktoś do niej wpadnie. Ale ludzie raczej nie pytali. Nawet jej syn powiedział, że była kobietą, która mogła się sama oddalić. Nie żeby specjalnie: doszłaby do rogu, oparłaby się o drzewo, zrana potem w upale późnego lata. A potem do następnego rogu, do przystanku. Może poznała w autobusie kogoś, kto należał do jakiegoś kościoła, i ruszyła za nim. Może pojechała aż do Kanady. Co z tego, że nigdy dotąd tak nie robiła: należała do tych osób, które uważają, że rozczarowanie kogoś jest jak zgrzeszenie przeciwko niemu, i właśnie tak zaszła w ciążę i właśnie dlatego przyjęła pod dach złego ojca. Mogła ulegać kolejnym osobom, aż znalazła się daleko od domu.

Niech już tak zostanie.

Przez dziesięć lat kierownik sklepu Hi-Lo zastanawiał się, co powiedziałby, gdyby spotkał ponownie Ashera Blackbirda. „Cieszę się, że ci się udało. Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku. Hej, synu, hej, kolego: co u ciebie?”. Mogli wpaść na siebie, przechodząc przez błonia albo w kinie w centrum. Nie w sąsiedztwie, bo okolica została zburzona i przekształcona, nie zostało nic z dawnych sklepów, poza alkoholowym. Zamiast marketu Hi-Lo elegancka pizzeria słynąca z cienkiego ciasta; zamiast sklepiku z tanimi artykułami gospodarstwa domowego – inna pizzeria oferująca bardzo grube ciasto. Wszystko zniknęło: sklep tytoniowy Mac’s Smoke Shop, restauracja Boston Fish House, kino Paramount, bar George’s Tavern. Trudno to już nawet było nazwać dzielnicą mieszkaniową. To był raczej park biurowy. Kierownik marketu Hi-Lo nie był już kierownikiem marketu Hi-Lo. Miał nową pracę dwa miasta dalej, pracował w sklepie z narzędziami. Dorabiał

klucze, sortował śrubki i cieszył się z rozmów z klientami: okazało się, że w sklepach z narzędziami ludzie lubią sobie pogadać.

Co roku jeździł do domu Blackbirdów i zostawiał na schodkach bukiet kwiatów. Nawet nie chciał, sam nie wiedział, dla kogo zostawia te kwiaty, ale jeszcze gorsze wydawało mu się porzucenie tego zwyczaju.

Dokładnie dziesięć lat od dnia, w którym spotkał chłopca, kierownik sklepu Hi-Lo stał na ścieżce prowadzącej do domu Blackbirdów i patrzył na niego: te same azbestowe płytki, wykrzywiona, dziurawa poręcz na ganku. Jak to możliwe, że przez tyle lat nikt tego nie naprawił? Okolica zrobiła się przecież elegancka. Nawet więcej, luksusowa.

I wtedy otworzyły się drzwi.

Wyszedł przez nie mężczyzna, przed trzydziestką, z haczykowatym nosem, szerokimi ramionami i nieśmiałym uśmiechem. Przydałby mu się fryzjer. Odsunął ciemne loki z oczu.

– W czymś panu pomóc?

– Och – powiedział kierownik sklepu Hi-Lo. Schował bukiet za plecy, niczym onieśmielony zalotnik, i zauważył, że podwórko zostało uprzątnięte, a wybita szyba wymieniona. – Nie miałem pojęcia, że ktoś tu mieszka.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Od grudnia. Pomału remontujemy. Wiem, że jeszcze nie widać – dodał przepaszająco. – Skupiliśmy się na wnętrzu. Trzeba wszystko przygotować, zanim pojawi się maluch. Mieszka pan tutaj?

Kierownik przytaknął.

– To dobry... dobra okolica dla dzieci. – „Okolica”, bo już miał powiedzieć „dom”, a to nie byłaby prawda: dla dzieci ten dom był katastrofą.

– Wiem – powiedział mężczyzna. – Dorastałem tutaj.

– W tej okolicy?

– W tym domu.

Nie zastanawiając się, kierownik sklepu wyjął zza pleców bukiet w szeleszczącej folii i podał go mężczyźnie. Asherowi Blackbirdowi. Oczywiście. Bardzo się zmienił, ale ten nos. Asher Blackbird: dorosły. Żonaty, spodziewający się dziecka. Oczywiście, że zostawił dom na zewnątrz po staremu. Podobnie jak kierownik sklepu Hi-Lo nie stracił nadziei. Karen wciąż może wrócić. Cała ta ruina mówiła: „Zawsze możesz tu zamieszkać, jeśli chcesz”.

– Gdzie byłeś? – zapytał kierownik, podczas gdy Asher Blackbird ze zdumieniem obracał w dłoniach bukiet. – Od tamtej pory.

– Och, w Weymouth.

– Weymouth.

– Tak – powiedział zaniepokojonym tonem Asher Blackbird. – Mam tam rodzinę.

Łatwo jest być zakochanym, jeśli nie trzeba tego deklorować. Łatwo jest być tchórzem. Kierownik sklepu Hi-Lo umierał z miłości, usychał. Od lat nie czuł w całym ciele, w kolanach, w sercu, w stawach, w żołądku takich emocji. Zapomniał, że coś takiego jest możliwe. Wydawało mu się, że stracił słuch.

– Asher – powiedział. – Ty mnie nie pamiętasz.

– A znamy się? – To też było znajome, ten wyraz jego twarzy, jednocześnie potępiający i pełen zakłopotania.

Kierownik sklepu Hi-Lo odparł:

– To ja cię uratowałem.

Zakłopotanie zniknęło. Asher Blackbird skrzyżował ramiona wokół bukietu.

– Uratowałem?

- Znalazłem.
- Znalazł mnie Leonard Aude.
- Nie – powiedział kierownik sklepu Hi-Lo.
- Jestem z nim w kontakcie. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem.
- Nie, wcześniej, przed nim. To ja cię do niego zabrałem.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- O markecie Hi-Lo. Byłem tam kierownikiem. Przyłapałem cię na kradzieży.

W tym momencie Asher Blackbird zszedł ze schodków ganku. Spojrzał w twarz kierownika, a ten czekał, czekał i czekał. Oczywiście każda twarz zmienia się przez dziesięć lat. Ale zaraz zostanie rozpoznany.

- Umierałem z głodu – powiedział w końcu Asher Blackbird.
- Tak, wiem.
- Byłem bliski śmierci. Prawdziwej śmierci. I co pan zrobił? Kazał mnie pan aresztować. „Znalazłem? Uratowałem?”. – Uniósł bukiet niczym maczugę, a potem rzucił nim przez podwórze aż na ulicę. – Wypierdalaj z mojego domu, zanim ci odwzajemnię tę przysługę.

I już był w środku. Drzwi się za nim zamknęły. Nowe drzwi, jak dostrzegł teraz kierownik sklepu Hi-Lo, z owalnym okienkiem. Stał tam, aż zobaczył jasnowłosą kobietę, która podeszła do drzwi i przez nie wyjrzała.

Asher Blackbird wciąż mieszka w tamtym domu. Na podwórzu panuje porządek, śmieci już dawno wywieziono. Sąsiedzi słyszeli, że w środku też jest wyremontowany, ściany pomalowane, stare drzwi wyszlifowane i wstawiona nowa kuchnia. No bo musiał, nie? Wszystkie te szafki, te łańcuchy i kłódki, które próbował otworzyć. Może nawet rozwałił je młotem.

Sąsiedzi nie mają pewności. Nigdy ich do środka nie zaproszono, oni też byli tymi, którzy nie uratowali Ashera Blackbirda.

Asher i jego żona mają dwoje dzieci. Dziewczynka śpi w starym pokoju Ashera, a chłopczyk w pokoju Nathana. To może brzmieć strasznie, ale takie są stare domy. W każdym ktoś umarł.

Kierownik sklepu Hi-Lo zastanawia się, czy znowu nie zapukać, wytłumaczyć się, ale czeka, aż odkryje resztę tej historii. To wszystko, co może dać Asherowi Blackbirdowi. Do tej pory przedarł się przez opisy niezidentyfikowanych szczątków w trzydziestu siedmiu stanach, przez teczki ze zdjęciami pośmiertnymi albo szkicami ołówkiem, które wyglądają tak nieludzko. *Zadbane zęby. Cienka złota bransoletka na kostce. Bielizna w kolorze brzoskwiowym, marka Lovable. Blizna po operacji. Niebieski T-shirt z napisem VIRGINIA IS FOR LOVERS. Tatuż na lewym pośladku: ALMA FOREVER.*

Zostało trzynaście stanów. Oszczędza pieniądze, bo zdemolował swój budżet przez jakąś wariatkę, która powiedziała mu, że to Karen zamykała szafki: wyjechała z kieszeniami pełnymi małych kluczyków i zwitków papieru z zapisanymi kodami. Miała zamiar zagłodzić ich obu na śmierć. Przeniosła się do Anglii. Ma córkę, dla której jest dobra. Nie ma wyrzutów sumienia.

– Nie – powiedział tej wariatce. – Nie Karen. – A potem, ponieważ nie chciał zranić jej uczuć, dodał: – Musiała pani zajrzeć w przyszłość kogoś innego.

Karen Blackbird nigdy już w tej okolicy nie widziano. Nigdzie jej już nigdy nie widziano, poza Kalifornią, gdzie ludzie widują ją cały czas. Ktoś chwyta ją za ramię i mówi:

– Rodzina za panią tęskni, niech pani wraca do domu.

Ale to nie jest Karen Blackbird, tylko aktorka, która zagrała jej rolę w filmie telewizyjnym.

– Przykro mi, proszę pana – mówi.

Karen Blackbird jest zagadką. Karen Blackbird jest wszędzie. Jest w Ameryce Południowej, na sofie, śni o przyjemnościach swojego syna, o jego gęstych włosach, charakterystycznym nosie, poczuciu humoru, które nie zawsze rozumiała. Ginie w wypadku samochodowym, w pożarze, zostaje zamordowana, umiera przez tętniaka, raka, popełnia samobójstwo, ginie w katastrofie kolejowej, tonie. Dostaje amnezji. Modliła się o nią, aż uwierzyła, że ją ma. Jest dwiema zagadkami naraz – sprawą w toku w Massachusetts i niezidentyfikowanym szkieletem na cmentarzu w Indianie, pod nagrobkiem z napisem JANE DOE. Jest ulotką, która mówi: *Widziałeś mnie?*, i inną, która głosi: *Znasz mnie?* Idzie prosto do nieba. Jest znaczkiem na każdej nadanej anonimowo pocztówce.

Pewnego razu była sobie matka, która miała za małego syna. Czasem nawet ona zapomniała, ile ma lat. Pewnej nocy – ostatniej nocy – weszła do jego pokoju w swojej nylonowej piżamie. Pocałowała go w czoło przez gęste, czarne włosy. Czytał książkę. Zapytała go, o czym jest.

– O skąpej kobiecie – odpowiedział. – Jej syn miał amputowaną nogę, bo nie chciała zapłacić za doktora.

– To okropne – stwierdziła Karen Blackbird. Nawinęła sobie lok jego włosów na palec. Strzepnął jej rękę, jakby to był jakiś owad. – Cóż – powiedziała. – Pójdę już. Dobranoc, Asher B. Pamiętaj, żeby za mną tęsknić.

Wychodząc, zgasiła światło.

– Hej! – zawołał Asher Blackbird.

– Ups – odpowiedziała. – Siła nawyku. – Odwróciła się, żeby wyjść. Piżama była na nią za duża. Nie było widać kształtu ciała pod spodem, tylko

barwę skóry i nieco ciemniejsze zrolowane krawędzie szwów. To właśnie potem pamiętał.

– Jakiego koloru była ta pizama? – pytał policjant. – W jakim była nastroju? – Nie wiedział. Jej pizama była za duża. Chciałby, żeby kupiła sobie nową.



Peter Elroy – film dokumentalny Iana Caseya

Jak umrę – oznajmił pięciolatek swojej młodszej, trzyletniej siostrze – nie będę w lesie.
– Ja nie umrę – odparła.

– Umrzesz, Jane. Nic nie trwa wiecznie.

– Nie umrę – powtórzyła.

– Jak będziesz już stara, to umrzesz.

– Nie umrę!

– Jane! Posłuchaj! Uspokój się. To nic strasznego.

Ale ona już płakała.

Matka zawołała z korytarza:

– Co tam się dzieje?

– Desi mówi, że ja umrę!

– Desi!

– Nie powiedziałem, że teraz. Ale kiedyś umrze. Jak każdy!

– Ja nie umrę! Mamo!

– Desi, powiedz swojej siostrze, że nie umrze. Jane, nie umrzesz, nikt nie

umrze.

– Ale...

– Nikt nie umrze – stwierdziła stanowczo matka.

Ale ktoś właśnie umierał, na dole, w przypominającym norę salonie, z którego roztaczał się widok na lasy za miasteczkiem. Nazywał się Peter Elroy, kiedyś był znany, w niektórych kręgach nawet do dziś, choć nigdy z takich powodów, z jakich pragnął. Wiele lat temu był najlepszym przyjacielem ojca tych dzieci. Ale później stali się wrogami, i to na długi czas. Dlaczego więc przyjechał? Bo złamana obietnica wiąże ludzi mocniej niż jakakolwiek przysięga.

Jego żona zaaranżowała spotkanie, zadzwoniła do ojca chłopca i powiedziała, że Peter Elroy umiera i stara się poukładać swoje sprawy. To nie była prawda. Umierał, owszem, ale to jego żona starała się poukładać sprawy. Myra lubiła powtarzać, że należy zawczasu pomyśleć, jak zabrzmi nasz nekrolog – a trzeba jej przyznać, że wyznawała tę teorię na długo przed diagnozą Petera. Ludziom potrzebna jest nadzieja. Więc zadzwoniła i wymusiła zaproszenie. Przywiezie Petera, a sama pójdzie odwiedzić siostrę, która mieszka niedaleko, a Peter jej nie znosi. Evie, jej siostra, przypomina pudding ryżowy, zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. I ta przypominająca pudding Evie powiedziała mu kiedyś:

– Zagarniasz dla siebie całą przestrzeń. – I tak rzeczywiście było. Bo tak się właśnie wygrywa. Zagarniając tyle wszystkiego, ile się tylko da.

– Ian chce się z tobą zobaczyć – powiedziała Myra, a Peter Elroy odpowiedział:

– Ian nie chce mnie widzieć.

Lecz jego żona, która tak lubiła dawać ludziom nadzieję, zdołała ją w nim wzbudzić. Dotarli do okropnego miejsca, bliźniaka na osiedlu zwanym

Przystanią Drake'a (choć nie było tam żadnej przystani, ani nawet żadnego zbiornika wodnego, ani nikogo, kto nazywałby się Drake), tylko po to, żeby się dowiedzieć, że Ian Casey musiał nagle wyjechać w sprawach służbowych i że wróci dopiero następnego dnia. Żona Iana, która przekazała im te wieści, była dużo młodsza. Miała długie czarne włosy o tak postrzępionych końcówkach, jakby nigdy ich nie podcinała.

– Bardzo mu przykro – powiedziała. – Ale zapraszam do środka.

Notatka napisana koszmarными bazgrołami Iana brzmiała: *Przepraszam, poczekajcie, ja zaraz wracam*. Zgnieciona karteczka znajdowała się teraz w pustym, obitym skórą koszu na papiery w rogu nory nazywanej salonem.

Peter Elroy umierał na raka trzustki.

I siedział teraz sam, porzucony, najpierw przez Iana, a potem przez własną żonę. Gdy dowiedzieli się, że Ian wyjechał, zwrócił się do Myry:

– Wracamy.

Spojrzała na niego bezradnie i potrząsnęła głową.

– Nie, skarbie – powiedziała, a on zrozumiał, że tu wcale nie chodzi o spotkanie z Ianem. Tu chodzi o Myrę, o jej zapotrzebowanie na przestrzeń, którą zawsze zagarniał on. – Do zobaczenia jutro.

Jego pokryte polaryzacyjną powłoką okulary nabrały barwy ametystu, gdy przez przesuwane drzwi wpadło do środka słońce. Była zima, tak jakby, ale było jasno i słonecznie, a opadłe liście i ukryte pod nimi korzenie drzew pokrywała cieniutka warstwa śniegu. Jego okulary stanowiły kontrę pogodzie: były pochmurne, gdy było słonecznie, a przejrzyste przy zachmurzeniu. Pasowały do jego nastroju. Inwalida z wizytą. Jakby go zaparkowali. „Tak naprawdę – pomyślał Peter Elroy – powinienem siedzieć na wózku, z kocem w kratę na kolanach”. A zamiast tego siedział na białej skórzanej sofie, której każdy element można było albo odchylić, albo rozsunąć. Wszystko w koszmarным guście, sofa sekcyjna (co za wyrażenie,

czy ten mebel służył do przeprowadzania sekcji?), pozbawione charakteru biurko ze szklanym blatem, obrazki w ramkach, które wyglądały jak kserokopie zdjęć agencyjnych, całe to tanie osiedle. W rogu stała udająca brąz donica wielkości dziecka, jakby ustawionego w kącie za karę, a Peter domyślał się, że nawet sposób ułożenia wypełniających ją gałęzi został opłacony w jakimś sklepie. Pokój był wypełniony fałszywymi antykami. Kanapa została sztucznie postarzona. Podobnie jak stolik. Podobnie (zażartował sobie w myślach) jak Peter Elroy. Szczerze mówiąc, był tak zachwycony tym fatalnym gustem, że mógł zignorować zawstydzenie swoim własnym zachwytem i tę drobinę żalu, że z jego dawnych nauk nic nie zostało.

Oczywiście w tym paskudnym pokoju wisały plakaty filmowe, wszystkie identycznych wymiarów i identycznie oprawione. Cztery, najnowszy sprzed co najmniej dziesięciu lat. Ale nie było plakatu z pierwszego filmu, tego, który zrobił gwiazdę z Petera Elroya i był powodem, dla którego on i Ian przez trzydzieści lat nie zamienili jednego słowa.

– Czemu nosisz pierścionek na małym palcu? – zapytał chłopiec. Stał w drzwiach nory, czarnowłosy, o oczach w kształcie migdałów, jak jego matka. Nie było w nim nic z wypiętej klaty i przesadnej pozy ojca.

– To sygnet.

– Mężczyźni nie noszą biżuterii – odpowiedział chłopiec.

– Nie? Twój ojciec na pewno nosi ślubną obrączkę. I to nie pierwszą. Trzecia żona to pewnie i trzecia obrączka. Chyba że ma taką z odzysku. Ma?

– Ty nie masz obrączki – odparł chłopiec.

– Obrączki to kontynentalny sentymentalizm. Ważne, że mam ten istotny element.

– Co?

– Żonę. Oryginalny model. Myrę.

– Co?

– Moja żona ma na imię Myra. Gdzie twoja siostra?

– Śpi.

– To obudź ją. Niech tu przyjdzie.

Po chwili zastanowienia chłopiec odpowiedział:

– Mam jej pilnować.

Peter Elroy się roześmiał.

– W porządku.

– Wiem wszystko o mumiach – oznajmił chłopiec.

– Nie wątpię. Sztuka pogrzebowa. Jeśli nie dożyję końca tygodnia, powiedz rodzicom, że chciałbym mieć w grobie kilka kotów. I nie muszą być zmumifikowane.

– Wyciągają mózg przez nos haczykami.

– Wiem. Raz mi się zdarzyło.

– Nieprawda.

– Zgadza się. Żartowałem. Gdzie twój ojciec? Kręci film?

– Co?

– Nie mówi się „co?”, mówi się „słucham?”.

Chłopiec usiadł w fotelu na kółkach przy szklanym biurku i otworzył szufladę.

– Uczy klasę mistrzowską – odparł w końcu.

– Oczywiście. Nie zwykłą klasę, klasę mistrzowską. Widziałeś jego filmy?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Mam zerowy czas ekranowy.

– To znaczy?

– Żadnej telewizji ani komputera.

– Aha. – Peter Elroy oparł się do tyłu, a sofa natychmiast się odchyliła. Jakby mu ktoś wbił nóż w plecy. Z trudem się wyprostował. – Bez telewizji! Bez komputera! W którym my wieku żyjemy?

– Nie wiem.

– Nie wiesz, w którym wieku żyjemy?

– Nie – odpowiedział chłopiec.

– Szczęściarz – stwierdził Peter Elroy. Siedząc na tej skórzanej sofie, czuł się jak banknot wsunięty do portfela. Nie. Nie banknot. Paragon. – Ile bym za to dał. Ja miałem raczej nadmiar czasu ekranowego, dzięki twojemu ojcu. Tak to ze mną było. Słyszałeś o tym?

– Nie – odparł chłopiec.

– Zapytaj ojca. To wilk.

Chłopiec się zastanowił.

– Nieprawda.

– Nie w tym złym sensie – skłamał Peter Elroy. Nie miał zamiaru wspominać o filmie, o wilkach też nie. – Wilki to wspaniałe stworzenia. Słyszałeś o nich? Wszystkim się wydaje, że są małe. A one są takie wielkie. – Wyciągnął rękę ponad głowę. – Nigdy nie mów nic złego o wilkach.

– Czemu?

– Bo cię zjedzą. O tak. – Pochylił się do przodu i zawył. – Teraz ty.

Chłopiec spróbował.

– To kojot – stwierdził Peter Elroy z odrazą. – Jak wilk. Posłuchaj.

Śniły mu się ostatnio wilki, ciągle o nich myślał. W snach nie potrafił stwierdzić, czy przychodziły, żeby go obronić, czy rozerwać na strzępy. I choć pomyślał, żeby powiedzieć o tym Myrze, bał się, że odpowie: „To oczywiste. Wilki to śmierć”. Była z siebie taka dumna, że teraz już z łatwością wymawia słowa „śmierć” czy „umieranie”, a Peter Elroy był za tę

łatwość ogromnie wdzięczny.

Nie, pomyślał w tym momencie. Wilki to nie śmierć.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedział do chłopca, ale wtedy Młoda Matka wsunęła głowę do nory i powiedziała:

– Czy można prosić o mniej wycia?

Trzymała na biodrze małą dziewczynkę, której twarz wyrażała wręcz wiktoriańskie oburzenie. Nawet ciemne włoski dziecka wydawały się zirytowane i przedwcześnie wybudzone ze snu.

– Chodźmy przygotować lunch – powiedziała do niej Młoda Matka.

– Nie ciem. Ciem zostać z Desi.

– Popilnuję jej – zaoferował chłopiec.

Młoda Matka spojrzała na Petera Elroya.

– Proszę – powiedziała, i to szczerze. Z trzylatkami rozmawia się trudniej niż z pięciolatkami, ale z drugiej strony są lepszymi ludźmi. Nie mają ambicji. Wyczuł już, że chłopiec uważa się za najmądrzejszego w każdym gronie.

– Hopsa – powiedziała Młoda Matka do dziewczynki, stawiając ją na podłodze. – Przynieść ci coś, Peter?

– Szklanekę zimnego arszeniku.

– Akurat nam się skończył.

– W takim razie kieliszek białego wina.

Spojrzała na zegarek.

– Na pewno?

– W celach paliatywnych – wyjaśnił i zwrócił się do dziewczynki: – A ty umiesz wyć jak wilk?

– No dobrze – odrzekła z powątpiewaniem Młoda Matka i wyszła z pokoju.

– Wrau, wrau – zawarczała dziewczynka, ukazując drobne i ostre siekacze.

– Bardzo dobrze – orzekł Peter Elroy. – Wyjątkowo przerażające.

– Jane uważa, że nie umrze – rzucił chłopiec.

Peter Elroy zmierzył ją wzrokiem.

– Jeśli komukolwiek uda się oszukać system, to właśnie Jane.

– Ale wszyscy umierają! – stwierdził bliski załamania chłopiec. – Tak już jest!

– Wrau, wrau! – powtórzyła dziewczynka.

– Nie, Jane. Tak. – Chłopiec zawył z głębi trzewi. To było świetne wycie.

– Nie boję się wilków – oświadczył, gdy skończył.

– To mało interesujące – powiedział Peter Elroy. – Pogadajmy lepiej o tym, czego się boisz. Mumii?

– Nie boję się niczego – oznajmił chłopiec.

– Duchów?

– Nie boję się duchów. Nie boję się piratów. Nie boję się lwów.

– Ja też się nie bojem lwów – powiedziała dziewczynka.

– Cii, Jane. Nie boję się wampirów.

– Ja się bojem wampilów – przyznała dziewczynka ze smutkiem.

– Ja też – powiedział Peter Elroy.

– I bojem się wylków – dodała dziewczynka.

– Trochę boję się agresywnych ludzi – stwierdził chłopiec.

– Ja taki byłem – powiedział Peter Elroy. – Człowiek musi być agresywny, jeśli chce coś osiągnąć. Domyślam się, że ojciec mówi wam coś innego, ale wiecie co? Wasz ojciec jest agresywny. O wiele bardziej niż ja.

Chłopiec zmarszczył brwi i przybrał poważny wyraz twarzy.

– Mój tata nie jest agresywny.

– Wobec mnie był i to bardzo. Pewnego dnia obejrzyście ten film i się przekonacie. Wiecie, wilki są wyjątkowe. Wylki. Wasz ojciec... – powiedział i przerwał. Wmawiał sobie, że to przez morfinę rozmawia w ten sposób z małymi dziećmi, ale robiłby to tak samo w każdy dzień swojego życia: on po prostu nigdy z dziećmi nie przebywał. – Musicie opiekować się rodzicami. W przeciwnym razie zjedzą was wilki.

– Naprawdę? – zapytał chłopiec.

– Nie dlatego, że są złe. Po prostu taką mają naturę.

Chłopiec podrapał się po brodzie w niemal karykaturalnym zamyśleniu.

– A co zrobić, żeby nie zjadły?

– Trzeba z nimi rozmawiać. Są bardzo rozsądne. Znać język wilków?

Dzieci pokręciły główkami, ale dziewczynka powiedziała:

– Ja znam, tłośkę. – I pokazała palcem wskazującym i kciukiem tę odrobinę wilczego języka, jaką opanowała.

– Nieprawda – stwierdził chłopiec.

– W porządku – powiedział Peter Elroy. – Ja mówię biegle.

W końcu Młoda Matka zabrała dzieci na lunch. Postawiła kieliszek wina na biurku, tam, gdzie nie mógł dosięgnąć.

– Ty sobie odpocznij – zwróciła się do Petera Elroya. – Ta sofa się odchyła, jakby co.

Nie wspomniała o jego diagnozie, a on wiedział, że tego nie robi. Taki jest właśnie problem ze śmiertelnymi chorobami: właściwie nie wolno być wtedy chorym, jest się tylko umierającym, a nikt w odpowiedzi na pytanie: „Jak się czujesz?” nie chce usłyszeć: „Coraz bliżej śmierci, dzięki”.

Gdy już wyszła, oparł się jak najostrożniej, żeby nie włączyć żadnego mechanizmu sofy. Przez chwilę wyobrażał sobie, że się wymknie, podczas gdy dzieci jedzą lunch. Przejdzie przez przesuwane szklane drzwi i po prostu

– zniknie. Wyobrażał sobie, jak otwierają drzwi do nory, z początku ostrożnie (żeby mu nie przeszkodzić), a potem na całą szerokość i rozglądają się wokół wstrząśnięte. Dziwnego pana nie ma. Może zostawi spinki do mankietów i sygnet, a może nic, tylko przenikliwy zapach, nie wiadomo, czy drogiej wody kolońskiej, czy taniego antyseptyku. Dotkną skóry sofy w miejscu, w którym siedział. „Wciąż ciepła. Nie mógł odejść daleko”.

Prawda była taka, że nie był pewien, czy zdołałby wstać z kanapy. Więc popatrzył tylko na lasy, w których zamiast wilków mieszkały wiewiórki. Drzewa były tak cienkie, że prześwitywał ruch samochodowy po drugiej stronie.

Peter Elroy miałby zniknąć? Nie był w tym dobry. I to stanowiło problem.

W przeciwieństwie do Iana, którego nazwisko widniało na dole owych czterech plakatów (gdzie się podziało nazwisko Petera?), za to nie było żadnych innych śladów jego obecności w tym okropnym, pozbawionym charakteru domu – a czy Peter nie starał się go nauczyć, że charakter jest najważniejszy? Nawet dzieci wydawały się należeć jedynie do żony, smukłej i ciemnej, jakiegokolwiek było jej pochodzenie: stanowiła jakąś etniczną mieszanekę, której nie potrafił określić, co go irytowało; chciał ją zapytać, skąd jest, ale teraz nie wolno było zadawać takich pytań.

Ian Casey, niewidzialny człowiek. Z tego właśnie słynął, z tego się utrzymywał: usuwał nawet swój cień, jeśli padł na filmowanego rozmówcę, nawet refleks trzymanej przez siebie kamery w szybie wystawy. Peter mógł sobie tylko wyobrażać, jak teraz wygląda: tęższy, a piaskowo blond włosy dłuższe i obecnie już piaskowo siwe. „Reżyser-samotnik Ian Casey”, jak go czasem nazywano, jakby mieszkał w altanie na tyłach czyjegoś ogrodu, a nie na brzydkim, ogrodzonym osiedlu. Ludzie w jego filmach jakby zapominali, że on tam jest, że mikrofon jest włączony, a kamera nagrywa. Mówili rzeczy,

których nie powinni, i to swobodnie. Dawał im długą smycz. Peterowi Elroyowi również, trzydzieści lat temu. Powiedział: „Opowieść o nieprawdopodobnej przyjaźni. Ty i ja. Tylko sobie rozmawiamy”.

Więc pożyczili auto i ruszyli w drogę przez cały kraj. Kierował Peter. Ian nie umiał, a poza tym ktoś musiał trzymać kamerę. Był rok 1981. Znali się od czasów liceum i zawsze gadali o wybraniu się w podróż przez cały kraj. Ian kontynuował studia w Nowym Jorku, a Peter drugi rok uczył ekonomii w college’u w New Hampshire. Ian był drobny i jasnowłosy, w brudnych, starych T-shirtach, Bob Dylan i Grateful Dead. Peter wolał ragtime i stary jazz, których nie puszczała w radio. Nakładał brylantynę na ciemne włosy, nosił spinki do mankietów i drwił.

Duży Peter, mały Ian. Ostatnie dni iluzji. O ile to była iluzja. Wciąż nie wiedział, czy to film spowodował jego upadek, czy tylko pokazał, że ten upadek jest nieunikniony.

Drwił z mieszkańców stanu Iowa i Missisipi. W Nevadzie chciał pójść do burdelu, żeby zakpić zarówno z prostytutek, jak i z ich klientów. Gdy mijały ich kelnerki, klepał je po pupach – to był taki żart. Był młodym mężczyzną, który zachowywał się jak szalony bogaty wujek z filmu z lat trzydziestych. Wyśpiewywał głośno sprośne piosenki, które leciały z kasetowego magnetofonu. Żartował. Był zabawny. Spytajcie kogokolwiek! Spytajcie Iana Caseya, który – Peter Elroy był tego pewien – wyczyścił ścieżkę dźwiękową ze swojego śmiechu po żartach Petera.

Nawet gdy Ian pokazał mu film – wyświetlił mu go na prześcieradle w swoim nowojorskim mieszkaniu, wiosną następnego roku – Peter nie zrozumiał. Był zaskoczony, owszem, że Ian wyciął się z każdego kadru, że zamienił rozmowę w monolog. Ale wciąż uważał, że to dobre, wierzył (jak wierzył od jakiegoś czasu), że stanie się najsłynniejszym ekonomistą w Ameryce. Występy w talk-show, w wiadomościach, artykuły w prasie.

Film sprawi, że trafi tam szybciej, a gdy go oglądał, widział samego siebie, jak wygłasza wspaniałe, szokujące poglądy.

Później starał się nie być dla siebie zbyt surowy za to, że nie zrozumiał. Nikt na świecie nie jest na tyle mądry, by dostrzec swój własny podtekst.

W lesie wyły wilki i wiatr, zupełnie jakby ze sobą konkurowały. „W chwili, gdy się rodzimy, wyruszamy w drogę ku śmierci”, powiedział kiedyś Peterowi Elroyowi odwiedzający szpital kapelan, ale to przecież bzdury. Równie dobrze można twierdzić, że ruszamy w drogę do snu, gdy tylko się budzimy, co być może jest prawdą dla niektórych ludzi, ale nie dla większości. Ścieżka ku śmierci wcale nie jest taka ostateczna, a Peter Elroy właśnie zaczął jej szukać, ale nie mógł znaleźć i zapomniał, czego szuka. Miał wrażenie, jakby przedzierał się przez gałęzie. Coś po niego szło, a on musiał uciekać.

Obudził się z czyjąś ręką na czole.

– Peter...

Gdy drzemał, sofa powoli rozłożyła się wedle swojego uznania. Popatrzył na sufit, a potem na Młodą Matkę, która się nad nim pochylała.

– Przynieść ci coś? – zapytała.

Jego głowa wciąż była ociążała od snu. A przygniatająca mu czaszkę ręka nie pomagała, męczył się z nią.

– Przepraszam – powiedziała i wyprostowała się. – Wydawało mi się, że jest ci niewygodnie.

Skinął głową.

– Podać ci kolację? – zapytała.

– To już pora kolacji?

– Już minęła – odpowiedziała. – Właśnie położyłam dzieci do łóżek. Powiedz, co chciałbyś zjeść.

Nie miał pojęcia, jak to zrobić. Był co prawda głodny, ale trudno mu było wyobrazić sobie negocjowanie jakiegokolwiek rozwiązania.

– Nie trzeba – odparł.

– Pościelić ci łóżko? – zapytała Młoda Matka. Miała na myśli rozłożenie poliestrowego prześcieradła na śliskiej skórze sofy.

– Musiałbym wstać – stwierdził.

– Oczywiście – powiedziała. – Pomogę ci.

Wziął ją pod rękę. Wspólnymi siłami dotarli do fotela przy biurku, na który opadł, ciężko dysząc.

– Boli cię?

– Tylko jeśli nie biorę morfiny.

– Wolno ci pić alkohol?

– Czemu nie? – Położył ręce na szklanym blacie biurka, który był lodowato zimny. Zdziwił się, że nadgarstki nie przymarzły do jego powierzchni. – Przecież nie kieruję ciężkim sprzętem.

Na koniec orzekła:

– Wyglądasz dobrze.

To było tak okropne kłamstwo, że miał ochotę ją uderzyć.

– Skąd możesz wiedzieć? Dopiero się poznaliśmy.

– Cóż – powiedziała. – Widziałam film. Wyglądasz dokładnie tak samo, jak trzydzieści lat temu.

– Widziałas go? – Z jakiegoś powodu o tym nie pomyślał.

– Oczywiście. Tak poznałam Iana. Miał gościnny wykład na moich studiach. Pokazywał go.

– Kolejna klasa mistrzowska – stwierdził.

– Pewnie tak. Wiesz – powiedziała – naprawdę było mu przykro, że nie mógł tu być, gdy przyjechaliście. Wydaje mi się, że bardzo za tobą tęskni.

– Cóż, następnym razem! – odparł Peter Elroy wesołym głosem.

– Wróci jutro przed kolacją.

Potrząsnął głową.

– Wiesz, że nie. Ten chłopak ucieka. Daje nogę. Co godzinę dzwoni, żeby sprawdzić, czy już czysto.

– Wcale nie.

– Nie kłam.

– Nie kłamię – powiedziała. – Nie zrobiłby mi tego.

– Ach – westchnął Peter Elroy, rozglądając się po pokoju. – Niech będzie. Tak przy okazji, gdzie plakat? Oto ja, tytułowy Peter Elroy.

Spojrzała na ścianę, a on dostrzegł dziurę po gwoździu.

– Zdjęliśmy go przed twoim przyjazdem – powiedziała w końcu.

Pamiętał ten plakat: jego zdjęcie, jak patrzy przez ramię z paskudnym uśmiechem. Tytuł filmu – znowu on, jego nazwisko – na samym dole. Krążył po różnych festiwalach, aż wyświetliła go stacja PBS, rujnując mu życie.

– Ten film jest starszy od ciebie – stwierdził.

– Mniej więcej w tym samym wieku.

– I co pomyślałaś?

– O „Peterze Elroyu”? To było tak dawno. Nawet nie pamiętam.

– Ja też nie – odparł, choć to nie była prawda. Widział go tylko jeden raz, ale miał wrażenie, że potrafiłby opisać każdy kadr. Przez chwilę po pokazie miał ochotę obejrzeć go jeszcze raz, sprawdzić, czy coś przeoczył, ale to byłoby pastwienie się nad samym sobą.

– W każdym razie teraz jesteś inny – stwierdziła Młoda Matka.

– Nie jestem – zaprzeczył natychmiast. – Nigdy nie byłem taki, jak w filmie.

– Mówiłeś te rzeczy. Nikt cię nie zmuszał.

„Te rzeczy”. Mówił je przez lata bez żadnej szkody, te rzeczy, rzeczy, które powodowały, że ludziom zapierało dech w piersiach, że wrzeszczeli, wściekali się albo się śmiali. Rzeczy, które sprawiały, że studenci tamtego rocznika wysuwali kontrargumenty albo kiwali potakująco i pisali w ankiecie o wykładowcy: *Profesor Elroy jest geniuszem* albo *To wariat, ale wie o ekonomii wszystko*.

Ale tak to właśnie działa, czyż nie? Tylko we własnej osobie można być wielkim. Na ekranie telewizora jest się samym, innym: jest się bufonem. Gdy puścili film w PBS, stał się sławny (w każdym razie pośród oglądających PBS) jako ucieleśnienie wszystkiego, co złe w ludziach, którzy we wczesnych latach osiemdziesiątych lubili pieniądze. Wyglądał jak młody człowiek, który przemierza Stany Zjednoczone tylko po to, żeby poczuć się lepszym od wszystkich innych, i jest zachwycony, że za pomocą telewizji może sączyć swój nikczemny przekaz do wszystkich domów w kraju. Nie otrzymał stałej posady, przestał wykładać. Skończył jako nauczyciel w szkołach pomaturalnych, a potem dostał pracę w Stowarzyszeniu Małego Biznesu, gdzie udzielał bardzo ostrożnych porad.

– Rozumiem, że nie domyślałeś się, dlaczego tak wypadniesz. To kwestia uprzywilejowania – wyjaśniła Młoda Matka.

– Och, pieprzone uprzywilejowanie – odparł.

– Gdy pochodzi się spośród bogatych...

– Kto twierdzi, że pochodzę z bogatych? Na pewno nie twój mąż. On kłamie głównie przez niedopowiedzenia.

Widział, jak mu się przygląda, spinki do mankietów, droga, wykrochmalona koszula – wykrochmalona! w dwudziestym pierwszym wieku! – włosy, które nadal zaczesywał do tyłu. Wszystko w nim sugerowało całe pokolenia bogaczy. To było celowe.

– Cóż – powiedziała – ty tak stwierdziłeś. Na filmie. Nie?

– Może pochodzę z Dorchester – odparł. – Może Caseyowie byli bogaci w porównaniu z moją rodziną. Może znałem jego matkę i całowałem jego małą siostrzyczkę. W dawnych czasach należało się wstydzić tego, że wywodzi się z biedy. Teraz jest odwrotnie. Nie ma nic gorszego niż komfortowe dzieciństwo, jeśli zamierzasz osiągnąć sukces. Ach! – powiedział. – Już widzę, że bardziej się mną zainteresowałaś. Moimi trudnymi warunkami. Wybaczysz mi, jeśli pochodzę z biednej rodziny.

– A tak jest?

– Co?

– Pochodzisz z biednej rodziny?!

– Ty nie słuchasz – zauważył. Ale nie mógł tego powiedzieć. Tylko Ian znał Petera Elroya, zanim był Peterem Elroyem, kiedy był jeszcze Pete'em O'Neillem z Dorchester (pierwszą rzeczą, jakiej nauczył się w college'u, było wymawianie „Dorchester” jak ktoś spoza Dorchester; profesor lingwistyki wyjaśnił, że decydująca jest pierwsza samogłoska, wymawiana, jakby się ktoś dławiał).

– Posłuchaj – powiedział. – Żyjesz z dokumentalistą. Na pewno wiesz, że o wszystkim decyduje montaż. Przykro mi. Nie ma go tutaj. Czy ja te wszystkie rzeczy powiedziałem? Tak. Odpowiadałem na pytania, które zadawał mi twój przyszły mąż.

– Jesteś zmęczony – stwierdziła i w pierwszej chwili poczuł się urażony, ale potem przypomniał sobie, że ona cały swój dzień spędza w ten sposób, wmawiając nierozsądnym ludziom, że są zmęczeni, i uświadomił sobie, że to prawda. Był zmęczony.

– Pościelę ci łóżko – powiedziała.

Dotknął kciukiem sygnetu, który kupił w swoim ulubionym sklepie z antykami w Portlandzie w stanie Maine, kiedy był jeszcze żółtodziobem.

Widać go na filmie. A nawet, jeśli dobrze sobie przypomina, na plakacie. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy to byłaby jakaś różnica, gdyby film uczciwie przedstawił jego pochodzenie. Ale on sam nie chciał być uczciwy. Mógł być odbierany jako biedny dzieciak, oszust albo dupek. Nikt nie żałowałby dupka, więc wybrał tę wersję. Nienawidził litości, choć teraz żył nią otoczony, jakby był zanurzony w emocjonalnej galarecie, której nie ma siły od siebie odepchnąć.

Młoda Matka pochylała się nad sofą, a on miał ochotę poklepać ją po pupie.

– Pewnie wyświetla dziś „Petera Elroya” – rzuciła przez ramię. – College’ę proszą właśnie o ten film.

Wstał nagle i dotknął ręką jej tułowia, wyżej niż zamierzał. Poczł ciężar jej piersi w zgięciu kciuka, a pod spodem fiszbinę stanika.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

– Wiesz, uprzywilejowanie to nie tylko pieniądze.

– On mnie zabił – stwierdził Peter Elroy. – Ale i tak go kochałem.

W Las Vegas, przed tylu laty, znaleźli starą salę do boksu. W końcu poznali się na ringu bokserskim, w Boys’ Club.

– Jak dobrze walnąć kogoś prosto w twarz – powiedział Peter Elroy do kamery po walce. Śmiał się, wyglądał absurdalnie w wypomadowanych i zaczesanych do tyłu włosach, w wysoko podciągniętych spodenkach. – Wspaniale. Zwłaszcza gdy walisz gościa, który nie odda. Na tym polega prawdziwa przyjemność. Gdy walisz i walisz, a on tylko wytrzeszcza oczy jak dziewczyna, „przestań, ty brutalu!”.

Mówił oczywiście do Iana. Mówił o sobie. Ian właśnie uderzył Petera w twarz. Peter nie oddał: był zbyt delikatny, za bardzo się bał, że może zrobić krzywdę, potrafił myśleć o konsekwencjach i miał świadomość, że nie

wybaczyłyby sobie, gdyby złamał Ianowi nos. Gdy mieli po piętnaście lat, obiecał pani Casey, że będzie się opiekować Ianem, a chyba nikogo nie bał się tak, jak Dolly Casey.

– Mój Boże – powiedział Peter od kamery, już po, gdy ból szczęki przybrał na sile. – Jak dobrze.

Nieprawdaż? Załatwiłeś mnie, Ian.

„Nikt cię nie zmuszał do mówienia tych rzeczy” – powiedziała Młoda Matka, ale to nie była prawda. Wszyscy to robili, nieustannie. Błagali go, żeby je mówił. Zwłaszcza Ian, bo to on tak właśnie myślał. Tylko był nieśmiały. A Peter te myśli wyrażał.

Ten film to miała być historia o miłości: mały, cichy facet i duży, głośny facet, którzy znają się od zawsze, obrażają się wzajemnie, ale trzymają się razem, bo obaj podejrzewają, że ten drugi może – ewentualnie – dorównywać mu intelektualnie, podczas gdy reszta świata to durnie.

To mogła być historia o miłości. Teraz, trzydzieści lat później, trzydzieści lat po jego obejrzeniu, Peter Elroy postanowił uwierzyć, że nią była. Trawiony chorobą odkrył, że może to zrobić, że może postanowić w coś wierzyć, i nie wiedział, czy to skutek uboczny raka, leków, bliskości śmierci czy też wieku – miał umrzeć przedwcześnie, ale nie był młody, nie był w wieku, w którym śmierć byłaby zupełnym zaskoczeniem. Był w wieku, w którym najwyżej pocmoka się i pokręci głową.

To miał być list miłosny. Peter Elroy pomyślał tak, gdy go zobaczył, i Ian Casey tak samo. To reszta świata źle go zrozumiała.

Młoda Matka wyszła, nie pomagając mu wrócić na sofę. Stwierdził, że i tak nie dałoby się na niej spać: pościel zsuwałaby się, szeleściłaby mu paskudnie do ucha. Zaraz pojedzie na fotelu biurowym do łazienki na końcu korytarza. Spojrzał przez odbicie pokoju w przesuwanych szklanych drzwiach.

Oczywiście Ian nie przyjedzie. Powinien przestać na to liczyć. Myra go odbierze, usiądzie i porozmawia chwilę z Młodą Matką, powie: „Warto było spróbować”, powie, gdy będą odjeżdżać: „Przynajmniej poznałeś jego rodzinę”. Wino wciąż stało na biurku i teraz mógł już po nie sięgnąć. Napił się i skrzywił, bo było ciepłe. Niemal poczuł smak ślicznego zwierzątka na naklejce. Wino za sześć dolarów. Wino dla ludzi, którzy nie piją wina albo tych, którzy piją go za dużo.

Dotknął komórki w kieszeni koszuli i pomyślał, że Myra mogłaby zadzwonić.

Byli małżeństwem od dwudziestu pięciu lat, a on wciąż czuł panikę – nie w sercu, tylko tuż pod nim – za każdym razem, gdy podejrzewał, że ona o nim nie myśli. Paraliżowało go to tak samo, jak jakakolwiek głębsza, trwalsza nieodwzajemniona miłość, którą kiedykolwiek czuł. Oczywiście kochała go, wiedział o tym, tylko chciał, żeby kochała go cały czas.

Próbował przesłać jej wiadomość myślą. „Bez względu na to, o czym teraz myślisz, pomyśl o mnie”. Kolejna rzecz, którą zepsuła technologia, możliwość anonimowego wybrania numeru, odsłuchania sygnału, rozłączenia się. Jakże często to robił, pragnąc tylko sprawić, żeby jakaś dziewczyna zaczęła myśleć o czymś innym, nie mając pojęcia, że sprawił to akurat on.

Pomyślał, że w tym momencie zapalają się światła, studenci klaszczą, a profesor filmoznawstwa, który zorganizował pokaz, stwierdza: „Pan Casey zgodził się odpowiedzieć na kilka waszych pytań”. Młody człowiek ma pytanie, podnosi rękę. Nie. Młoda kobieta. „Tak?” – mówi Ian, a ona pyta: „Gdzie pan znalazł tego człowieka?”.

„Wypowiedz moje imię” – pomyślał Peter Elroy, najpierw do dziewczyny, a potem do Iana. Ale wyobraźnia go zawiodła i nie miał pojęcia, co Ian mógłby odpowiedzieć.

Znowu dotknął komórki. Gdyby tylko mógł sobie wyobrazić, gdzie jest Myra. Znaleźliby się w domu Evie (w którym nigdy nie był), otoczeni dziećmi i wnukami Evie (których nigdy nie poznał).

Gdzieś zaszczekał pies. Nie, nie zaszczekał. Tylko w powieściach są takie przerywniki, tylko tam pustce w brzuchu odpowiada gdzieś daleko pies, który woła bez odpowiedzi. W Przystani Drake'a nie wolno trzymać psów. Ale na pewno gdzieś na świecie szczeka jakiś pies, jakiś kot prycha, a papuga, której niemiły właściciel niedawno zmarł, mówi coś niestosownego do wolontariusza w schronisku.

W świetle mocnych lamp Przystani Drake'a śnieg lśni, jakby nie był śniegiem. Tylko diamentami, asfaltem albo szmerglem.

Pukanie do drzwi: dzieci.

– Nie powinniście być w łóżkach? – zapytał Peter Elroy. Wskazał na korytarz za nimi i zmarszczył brwi, choć wiedział, że teraz wygląda mniej groźnie, bo jest ciemno, a jego okulary są po prostu przezroczyste.

– Mieliśmy zły sen – oznajmił chłopiec.

– O wylku – powiedziała dziewczynka.

Nie miał wyrzutów sumienia. Zawsze pragnął tego, by ludzie myśleli o nim wbrew swojej woli. I to właśnie spowodowało na niego kłopoty.

– Czy wilki istnieją naprawdę? – zapytał chłopiec takim tonem, jakby znał odpowiedź.

Nie przyszli do niego po pociechę, w tym celu obudziliby Młodą Matkę. Powiedziałyby im, że w Connecticut nie ma żadnych wilków. Albo skłamałyby całkiem, mówiąc, że nie, wilki nie są prawdziwe, już nie, to ta sama kategoria co starożytny Egipt, dinozaury, groźni rycerze, piraci Long John Silvera, którzy istnieją w książkach i legendach, lśniące symbole zła, które dzieci uwielbiają: szable, kły, kordziki, szpony – to wszystko, co mogą sobie przywłaszczyć, bo pierwotni właściciele wymarli.

– Oczywiście, że tak – powiedział Peter Elroy. – I nadchodzą. Nie po was. Nie żeby was zjeść. Jesteście za mali. Za chudzi. Same kości. Wilk spojrzałby na was i pomyślał: „Paskudztwo”.

– Paskudztwo – powtórzyła dziewczynka.

– Ale ja jestem śliczny – powiedział Peter Elroy. – I smaczny.

– Obronimy cię – zapewnił chłopiec.

– Skarbie – rzekł Peter Elroy. – Wszystko w porządku. Niech przyjdą.

I przyszły, pewnej nocy niedługo potem.



Grom z jasnego nieba

1.

Wes i Laura nie wiedzieli nawet, że Helen zaginęła, gdy policja przyprowadziła ją o północy do domu. Jej długie, nagie nogi pokryte były marmurkiem żyłek od zimna, a na twarzy miała ślady łez, ale poza tym wyglądała jak zawsze, jak zwykła, spokojna, niezgrabna gimnazjalistka: poplątane włosy, spierzchnięte wargi, różowe policzki. Zgubiła gdzieś spodnie, a w jednej ręce ścisnęła pustą chyba, plastikowy worek na śmieci, brązowy, z mocno ściągniętą żółtą taśmą u góry. Laura pomyślała, że policjanci powinni byli dać jej coś do okrycia. Ale co tam gliniarze wiedzą o ubraniach: może myśleli, że jej długi czarny T-shirt to sukienka. Był na nim obrazek z bladym tłuściochem w skórzanych ciuchach i napisem czcionką jak z neonu starego kina: LINDA.

– Ona ma dwanaście lat! – oznajmił policji Wes, jakby to oni wywabili ją z łóżka. – Ona ma dopiero dwanaście lat!

– Przepraszam, tato – powiedziała Helen.

Laura chwyciła córkę za nadgarstek i wciągnęła ją do domu, zanim policjanci zmienią zdanie i aresztują ją. Albo ich. Zabrała Helen worek na śmieci, rozciągnęła taśmę i zajrzała do środka, szukając dowodów,

brakujących ubrań, złoczyńców.

– Podtlenek azotu – powiedział wyższy z policjantów, który wyglądał jak irlandzcy chłopcy, z którymi Laura dorastała. Może nawet był jednym z nich.

– Nakładają sobie na imprezach takie worki na twarz i wdychają. Właścicielka domu została aresztowana. Któryś dzieciak źle zareagował, a ona wyrzuciła ich wszystkich na trawnik. Reszta uciekła, ale państwa córka została z tym chłopcem. I tyle.

– I tyle – powtórzył Wes.

Helen wtuliła się słodko w matkę. Tak urosła, że musiała się zgarbić, żeby zmieścić się jej pod pachę. Była już wzrostu Laury.

– Mamusiu, kocham cię – powiedziała. Była bardzo teatralnym dzieckiem. Od zawsze.

– Mogłaś się udusić! – wykrzyknęła Laura, zgniatając worek.

– Nie założyłam go na głowę – odpowiedziała Helen.

Laura wyrwała dziurę w worku, jakby wciąż stanowił niebezpieczeństwo.

To była jej wada jako rodzica, pomyślała później: nigdy tak do końca nie wyzbyła się matczynej troski. Wszyscy byli w schowku, w małych piżamkach ze stópkami i w zrobionych na szydełku niemowlęcych czapczkach, a Laura codziennie wyjmowała ich, rozwijała, próbowała zastosować. Kit miała siedem lat, a Helen była już nastolatką, ale każdy drobny przedmiot na podłodze, który można połknąć, sprawiał, że Laura rzucała się na kolana. Nie mogła patrzeć na swoje dziewczynki na rowerach, ani gdy na nich jeździły, ani szczególnie gdy na nich odjeżdżały. Czy przypomniała sobie numer jej telefonu, jeśli obie naraz zgubią komórki? Czy ktokolwiek uczy się jeszcze numerów telefonów na pamięć? W gniazdkach elektrycznych wciąż tkwiły plastikowe zaślepki, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy grzebać w nich widelcem.

Dotąd nie martwiła się wdychaniem trujących gazów z worka na śmieci.

Kolejne zmartwienie. Dołożyć do stosu. Może wkrótce też stanie się dziwactwem.

O swoje zmartwienie się obwiniała pierwszego pediatrę Helen, który powiedział jej, że nie ma powodu, by mieć obsesję na punkcie nagłej śmierci łóżeczkowej. „Wydarzy się albo nie” – stwierdził dr Moody. Laura uznała, że taka filozofia jest nie do przyjęcia. Jej troska o dziecko była gorąca i pełna energii: jak mogła być bezużyteczna? Nikt jej nie ostrzegł, jak mocno potrafią spać niemowlęta, że nie zawsze widać, że oddychają. Patrzysz i patrzysz, i dotykasz ich śpiących brzuszków, żeby poczuć działający mechanizm. Nawet gdy malutka Helen zaczęła przesypiać całą noc, Laura sprawdzała ją co dwie godziny. Czasem o drugiej nad ranem była tak przekonana, że Helen nie żyje, iż czuła wstrząs elektryczny w sercu, a to (jak wierzyła) poruszało też serce Helen: jej troska była energią, która utrzymywała je obie przy życiu. Kit także, gdy Kit, niespodzianka, słodko wdarła się w ich życie.

Może to właśnie przydarzyło się Helen. Miała być jedynaczką. Tak jej obiecano. Kit była kokieteryjnym dzieckiem, zabawnym, pewnym siebie szkrabem. Rozśmieszała ludzi. Biedna, wielka, niezgrabna Helen: trudno było być starszą siostrą Kit. Laura, gdy dorastała, nienawidziła, jak jej rodzice porównywali ją ze starszym bratem – Ben był dobry z matematyki, więc nawet nie było sensu się starać; Laura była bardziej towarzyska, więc musiała przedstawiać brata swoim przyjaciołom – ale gdy sama miała dzieci, zrozumiała, że porównywanie jest niezbędne. W ten sposób odkrywa się ich osobowość: blask jednego dziecka uwypukla drugie, tak samo jak ona, mając trzynaście lat, wiedziała, jak wygląda, tylko dzięki porównywaniu długości swoich nóg i koloru włosów do przyjaciółek, ich nóg i ich włosów.

Helen biła siostrę; zamykali ją za karę w pokoju, a potem całą czwórką szli do staroświeckiej lodziarni z krzesłami o oparciach z giętego metalu. Ona

i Wes nie potrafili zdecydować, kiedy karać, a kiedy rozpieszczać, kiedy dziecko sprawdza granice i potrzeba mu dyscypliny, a kiedy domaga się, w prymitywny, dziecięcy sposób, więcej miłości. W ten sposób ich życie sklejały razem krem z pianek marshmallow i gorący karmel. Zamknij ją w pokoju. Kup jej deser bananowy. Zrób i to, i to, i sprawdź, co z tego wyniknie.

Helen wymykająca się w nocy. Helen eksperymentująca z narkotykami.

Dzieci są niepojęte. To samo, co mogło sprawić, że przestawały oddychać w nocy, mogło sprawić, że przestawały cię kochać w dzień. Mogło sprawić, że policja przyprowadza je do domu bez spodni i bez sensownego wyjaśnienia.

Tamtej długiej nocy Laura i Wes przepytali ją. Głównie Laura, bo Wes przeszukiwał łóżko Helen i wydawał się oniemiały z żalu. Czyj to był dom? – zapytała Laura. Co ona tam robiła? A co z Addie, jej najlepszą przyjaciółką, Addie z aparatem na zęby i klarnetem? Czy ona tam była? Laura chciała wiedzieć wszystko. Nie, to nieprawda. Nie chciała wiedzieć nic, chciała usłyszeć, że nie ma powodów do niepokoju: chciała od Helen wyłącznie pocieszenia. Zdawała sobie sprawę, że nie zdoła go od niej uzyskać krzykiem, ale nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić.

– Co ty sobie myślałaś? – zwróciła się do Helen, zbyt głośno, jakby to w myśleniu tkwiło niebezpieczeństwo.

Helen wzruszyła ramionami. A potem rozciągnęła kołnierzyk T-shirta, żeby obejrzeć swoje ramię, i ponownie wzruszyła ramionami. Nad łóżkiem wisiał plakat, który pasował do jej koszulki: ten sam tłuścioch, błysk światła w pęknięciach jego skórzanych spodni, blada szminka, ciemna kreska do oczu.

– Co ci się stało w nos? – zapytała Laura.

Helen zasłoniła go ręką.

– Ktoś próbował zrobić mi kolczyk.

– Helen! My się na to nie zgadzamy.

Wes, patrząc na plakat, stwierdził:

– Śliczny ten Linda.

– To nie jest imię – zauważyła Helen. – Linda to zespół.

Laura usiadła obok niej. Nos Helen był czerwony i zadraśnięty, ale ktokolwiek trzymał igłę, zrezygnował.

– Piękna Helen, po co? – powiedziała Laura. Helen zagryzła wargę, żeby powstrzymać uśmiech. A potem spojrzała na plakat.

– Musi mu być gorąco w tych spodniach – stwierdził Wes.

– Pewnie tak – odparła Helen. Wślizgnęła się pod kołdrę i ponownie dotknęła nosa. – Zmęczona jestem.

– Biedny Linda – rzekł Wes. Potarł twarz w geście niedowierzania. – Żeby tak cierpieć dla sztuki.

– Polecimy do Paryża – powiedział Wes do Laury. Była czwarta nad ranem.

– Tak. – Byli wykończeni, niewyspani. Helen była niczym test na inteligencję, z którym sobie nie radzili, nie radzili sobie od lat. Lepiej uciec. Do Paryża. – Po co? – zapytała.

– Helen zawsze chciała.

– Tak?

– Wszystkie te książki dla dziewczynek. Madeline. Któraś z myszek Richarda Scarry’ego. Słoń Babar. Kit jest już wystarczająco duża, żeby też skorzystać. Załatwimy Helen lekcje malarstwa. Kit też, jeśli będzie zainteresowana. Albo zabiorę je do muzeum i będziemy rysować. I na ciastka. Wyrwiemy się stąd. Twój brat zawsze oferował nam punkty ze

swojej lotniczej karty lojalnościowej. Zgódźmy się. Wyjedźmy.

Największy deser lodowy na świecie. Wes wykładał rytownictwo w college'u i miał wolne w wakacje. Laura pracowała dla firmy cateringowej, ale płacono jej tylko od zlecenia. Będą musieli bardzo oszczędzać, ale to dało się zrobić.

– Dobrze – powiedziała Laura. Nie spali do rana, oglądając apartamenty do wynajęcia w internecie. Jeszcze przed siódmą rano Ben odpisał mailem, że z przyjemnością przekaże im swoje mile; przed ósmą mieli już zarezerwowane bilety. Umówili się z jednym ze studentów Wesa, że zajmie się ich domem i psem przez te pięć tygodni, gdy ich nie będzie. Zdumiewające, jak szybko udało im się zorganizować tę podróż.

Plan był taki, żeby zrobić sobie przerwę w życiu, wstrząsnąć systemem Helen, zanim szkoła zacznie się na nowo jesienią. To będzie obce i piękne miasto, tak samo jak Helen jest obca i piękna. Może tam ją zrozumieją. Może cały problem polega na tym, że jej duszę zapisano po francusku.

Polecieli nocnym lotem z Bostonu; ostatni raz siedzieli na pokładzie, gdy nie było jeszcze Kit. Na lotnisku z trudem ciągnęli wielkie torby w kratę, które miały za mało srebrnych kółek i przez to ciągle się przewracały. Walizki z podróży poślubnej z zeszłego wieku: tak dawno nigdzie nie wyjeżdżali. Na lotnisku Charles'a de Gaulle'a wszyscy Europejczycy prowadzili za sobą niczym grzeczne psy swoje idealnie wyważone torby na długich rączkach, mamrocząc coś do telefonów. Laura poklepała się po kieszeni, poczuła wyłączoną komórkę, której używanie tutaj kosztowałoby zbyt wiele, i poczuła żal. Jej torba przewaliła się niczym zastrzelony pies. Tylko Helen zdawała się wiedzieć, jak przebrnąć przez to lotnisko, jakby to była jakaś dyscyplina sportowa idealna dla dojrzewających dziewcząt, których długonogi krok sprawiał, że walizka trzymała się przy nodze.

Na zewnątrz poranek był gorący, francuski i oślepiający, a Wes ładował

już walizki do bagażnika taksówki. Robił to z ponurą miną człowieka pozbywającego się trupów. Laura pomyślała: „To był fatalny pomysł”. Wcisnęła się na tył taksówki pomiędzy dziewczynki, jak zawsze zapobiegliwa: nadmierna bliskość sprawiała czasem, że zaczynały się szczypać. Musiała zaokrąglić plecy niczym grzbiet książki. Wes usiadł na fotelu pasażera i rozwinął karteczkę z adresem apartamentu, który wynajęli przez internet.

– *Excusez-moi* – powiedział Wes do kierowcy. – *Je parle français très mal.* – Taksówkarz niecierpliwie pokiwał głową. Tak, bardzo źle, to było najbardziej oczywiste zdanie, jakie kiedykolwiek padło: cokolwiek Wes powiedziałby po francusku, przekazałby dokładnie tę samą informację. Taksówkarz wyjął mu świstek z ręki.

– *L'appartement* – powiedziała Helen – *se trouve dans le troisième arrondissement, je crois, monsieur. Cent vingt-deux rue du Temple.*

Na to kierowca zareagował uśmiechem.

– *Ah! Bon! Merci, mademoiselle. Le troisième, exactement.*

Były tak ściśnięte z tyłu auta, że Laura nie mogła się odwrócić i spojrzeć na Helen.

– Mówisz po francusku! – stwierdziła zdumiona.

– Uczę się francuskiego, mamó. Przecież wiesz. Ale nie mówię po francusku.

– Mówisz płynnie! – zauważyła Laura.

Ulica była wąska, więc taksówkarz najechał na krawężnik, żeby ich wypuścić. Powiedział po angielsku: *Welcome here.* Po drugiej stronie ulicy znajdowały się jakieś hurtownie jubilerskie i księgarnie z tanią książką. Laura była zdumiona, że wystawiony w oknach towar wygląda tak tanio, zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie wynajęli mieszkania w jedynej tandetnej dzielnicy Paryża. Drzwi do ich budynku były szeroko otwarte. Dziewczynki

zaczęły jęczeć, gdy wchodzili po schodach, ciągnąc walizki.

– Wydawało mi się, że to ma być czwarte piętro – powiedziała Helen, a Wes odpowiedział:

– Tutaj inaczej liczą piętra¹.

– Tak jak mają inny alfabet? – zapytała Kit.

Klatka schodowa zwężała się, im wyżej się wspinali, niczym złudzenie perspektywy. Na górze znajdowało się dwoje drzwi. Na jednych widniała przyklejona taśmą staroświecka wizytówka. *M. Petit*. To tutaj. Wes zapukał, a drzwi otworzył drobny starszy pan w nieskazitelnie białej koszuli i granatowym krawacie.

– *Bonjour!* – powiedział. Wyszedł i otworzył im drugie drzwi. Trzymał się za krawat, jakby chciał, żeby na pewno go zauważyli. – *Bienvenu, venez ici. Ici, ici, madame, monsieur, mademoiselles.*

– *Je parle français très mal* – odezwał się Wes. I znowu to spojrzenie. *M. Petit* puścił swój krawat.

– Lepiej ty to zrób, Helen – zaproponowała Laura.

– *Bonjour, monsieur* – powiedziała Helen, a on oprowadził ich po apartamencie i wszystko opisał, gestykulując i pytając: *Vous comprenez?*, a Helen odpowiadała swoim zwykłym, nosowym, przypominającym kwakanie kaczkę głosem: *Ouais. Ouais. Ouais.*

– Co on powiedział? – zapytał Wes, gdy *M. Petit* sobie poszedł.

– Coś o ciepłej wodzie – odpowiedziała. – Coś o śmieciach. Musimy kupić karty do telefonu. Mieszka tu obok, gdybyśmy czegoś potrzebowali.

– Coś o śmieciach – powtórzyła Kit. – Bardzo konkretnie.

Mieszkanie było malutkie, ale z wysokim stropem, urocze, jakby wycięte z piernika: dobry znak na początek pobytu, uznała Laura. Dziewczynki miały spać na dwóch łóżkach w jednym pokoju, a ona i Wes po drugiej stronie korytarza na łóżku, które było podwójne, choć nie do końca. Trzy czwarte

podwójnego łóżka, jak wiolonczela trzy czwarte, na której grała Helen. Z okien rozciągał się widok na ściany z kominami. Salon miał wielkość zajmującego podłogę orientального dywanika. Kuchnia obejmowała zlew, kuchenkę z dwoma palnikami, sięgającą pasa lodówkę i mikrofalówkę. Żadne z nich nigdy dotąd nie było w tak starym budynku.

– Dlaczego poduszki są kwadratowe? – zapytała Kit.

– Bo po prostu takie są – odpowiedziała z wyższością Helen. Wychyliła głowę przez małe okienko. „Piąte piętro i nie ma się jak szybko ewakuować” – pomyślała Laura. A Helen dodała: – Mogłabym tu zostać na zawsze.

– Zobaczymy – powiedział Wes. – Chodźcie. Idziemy. Obejrzyjmy ten Paryż.

Jet lag i słońce czyniły miasto pięknym niczym halucynacja.

– Będziemy chodzić – zdecydował Wes. – Aż do wieczora. To najlepszy sposób na jet lag. – W dół rue des Francs Bourgeois, przez plac Wogezów aż do Bastylia, wzdłuż rzeki, przez jeden most, potem przez drugi: i już stali, wpatrując się w tył katedry Notre Dame, jej liczne łuki przyporowe aż kłuły Laurę w mostek.

– Notre Dame jest tutaj? – zapytała Helen. Podstępny powiew wiatru szarpał ją za dół bluzki; przytrzymała ją.

– Tak, jest w Paryżu – odpowiedział Wes.

– Ale my doszliśmy do niej na piechotę?

Wes się roześmiał.

– Możemy dojść pieszo wszędzie.

Chodzili dalej, szukając kawiarni, a słoneczna pogoda napawała ich optymizmem. Laura mogłaby przysiąc, że francuski Helen poprawia się wraz z upływem dnia: przetłumaczyła menu w kawiarni, zapytała o drogę, wyliczyła pieniądze, żeby zapłacić za naleśniki. Negocjowała zakup dwóch skromnych komórek na karty pre-paid, jednej dla Wesa i jednej dla Laury.

W domu dziewczynki miały swoje własne telefony, ale w Paryżu zawsze będą w towarzystwie któregoś z rodziców.

Cóż to kwitło w piersi Laury? Poczucie, że tak to właśnie jest: stajemy się zależni od własnych dzieci i to jest w porządku.

Spacerowali dalej, żeby nie spać, dopóki nie nadejdzie pora snu. O szóstej Laura pomyślała, że chodnik wygląda jak płaskie, rozkładane łóżko. Weszli do małego sklepu spożywczego z tyłu ich budynku, kupili chleb, wędliny i wino i utworzyli zator, bo najpierw nie wiedzieli, że muszą sami spakować swoje zakupy, a potem nie potrafili otworzyć śliskich plastikowych toreb. Wyszli jednak z poczuciem triumfu. Wes trzymał bagietkę niczym miecz.

Skręcili w swoją małą uliczkę. Przed nimi przysadzista kobieta zabawnym krokiem pośpieszyła na środek drogi, a potem nagle skręciła, podciągnęła czarną, błyszczącą spódnicę do połowy uda i wysikała się do kratki kanalizacyjnej. Wprawiający w zdumienie wodospad zatrzymał Langfordów.

Helen powiedziała:

- Odjazd.
- Imponujące – stwierdziła Kit.
- Miasto świateł – dorzucił Wes.

W swoim średniowiecznym apartamencie zjedli jak ludzie średniowiecza, rwąc chleb zębami i rozsmarowując masło palcami. Wszyscy położyli się spać o tej samej porze, dziewczynki w koszulkach nocnych – Kit w różyczki, a Helen znowu w za dużym T-shircie z Lindą.

– Dobranoc, dobranoc – powiedziała Laura, stanąwszy pomiędzy ich łózkami. Jej córki nigdy nie spały w jednym pokoju. A potem ona i Wes przeszli przez korytarz do drugiej sypialni.

Narzucona przez łóżko trzy czwarte bliskość wszystko wyolbrzymiała.

Jej czułość wobec Wesa, który był święcie przekonany, że to dobry pomysł; jej troskę o to, ile ta podróż będzie kosztować; jej niepokój, że będzie musiała użyć swojego bardzo kiepskiego francuskiego z liceum. Zrozumiała, że przez to właśnie nigdy nie była w Europie, choć miała trzydzieści sześć lat. To był rodzaj tremy.

Rano zorientowali się, że ściany wewnętrzne są tak cienkie, że tuż za zagłówkiem łóżka słyszą wyraźnie, jak M. Petit opróżnia swój pęcherz – jakby byli w tym samym pomieszczeniu. To była długa historia, to opróżnianie pęcherza przez M. Petita, z wieloma dygresjami i pozornymi zakończeniami.

– Jesteśmy w Paryżu – szepnął Wes.

– Myślałam, że będzie więcej foie gras, a mniej sikania – odszepnęła w odpowiedzi Laura.

– I to, i to – powiedział Wes. – Będzie dużo i tego, i tego.

W Paryżu Helen znów stała się dzieckiem. Była chudą dzieciną, a nie wiotką i groźną nastolatką, jaką wydawała się w domu, w obcisłych dzinsach i w za dużych T-shirtach. W Paryżu można było kupić dziecięce buty i dziecięce ubrania dla kogoś, kto ma prawie metr sześćdziesiąt wzrostu. Trwały wyprzedaże, a ubrania były tak tanie, że ciągle coś kupowali. Helen decydowała się na spódniczki w landrynkowych kolorach i T-shirty z postaciami z kreskówek.

Na boulevard Richard-Lenoir, niedaleko od Bastylii, Helen kupiła sobie torebkę z kolorowego plastiku na długim pasku, w której trzymała parę euro, błyszczący, karteczkę z nazwiskiem i adresem oraz notes do robienia zapisków ze spacerów. Szła ręka w rękę z Kit: nagle stały się przyjaciółkami, jakby ich dotychczasowe ciągłe utarczki były reakcją alergiczną na amerykańskie powietrze. Obie dosłownie chłoneły francuski i rozmawiały

w tym języku nawet między sobą, zarzucając do tyłu włosy. *Ouais* – mówiły w taki sposób, że nawet Laura, której mózg wydawał się absolutnie odporny na francuszczyznę, domyślała się, że tak właśnie kwaczą Paryżanie, mówiąc „tak”.

Było tam tyle *pâtisseries* i *boulangeries*, i *fromageries*, że wystawiali oceny *pain au chocolat* z różnych uliczek. Sklepy z czekoladkami były niczym sklepy jubilerskie, wystawy pełne dwudziestoczerokaratowych *bonbons*. Właścicielka firmy cateringowej, dla której pracowała Laura, dała jej trochę pieniędzy, żeby przeszmurować z powrotem trochę nielegalnych w USA serów z niepasteryzowanego mleka, a Laura postanowiła spróbować w Paryżu każdego *reblochon* i każdego *sainte-maure-de-touraine*, żeby ostatniego dnia kupić najlepszy i kazać go zapakować próżniowo dla ochrony przed, jak to sobie wyobrażała, nosami pracujących w amerykańskiej służbie celnej beagli od serów.

Paryż był dokładnie taki, jak sobie wyobrażała, i zupełnie inny. Uliczki pełne sklepów ze znaczkami i z mebelkami dla lalek, drogie muzeum figur woskowych, do którego dziewczynki ciągle chciały wracać, mimo że nie znały większości przedstawionych osobistości, cukiernie z gorącą czekoladą, reklamy z półnagimi modelkami na przystankach. To były rzeczy, o których nie wiedziała, że są w Paryżu, a czuła, że powinna. Bar szybkiej obsługi pod nazwą Flunch, dzielnica żydowska z falafelami („Pójdziemy po f'laffela na f'lunch?” – pytał niemal codziennie Wes). Nadal nie potrafiła się zorientować w tym mieście, choćby nie wiadomo jak długo studiowała mapę. Paryż na papierze wyglądał jak upuszczone na ziemię pudełko z orzechowym krokantem, a Sekwana – niczym rozplątana wstążka.

– Co ci się najbardziej podoba w Paryżu? – zapytał Wes.

– Moja rodzina – odpowiedziała. I taka była prawda.

Po pewnym czasie kupili trzeci telefon na kartę, wspólny dla Helen i Kit,

żeby mogły wychodzić we dwie na miasto po lunchu. Wes i Laura wracali wtedy do apartamentu. Pomyślała, że każde syjące się małżeństwo powinno wypróbować łóżko trzy czwarte. Ani myśleli przejmować się M. Petitem za ścianą, dopóki nie docierały do nich wieści z jego spokojnego, statecznego życia: dzwonek telefonu, gwizdek czajnika, delikatny stukot plastiku, który musiał być upuszczonym guzikiem. Dlatego dobrze było być tam przejazdem i mieć za sąsiadów Francuzów.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała Laura Wesa.

– Co masz na myśli? – odparł.

– Helen. Że będzie tu taka fajna.

– Nie wiem. Po prostu tak... poczułem. Ale jest, prawda? Fajna. Urocza. Taka jak dawniej.

„Taka jak dawniej?” – pomyślała Laura. Helen nigdy w życiu taka nie była, nawet przez jeden dzień.

Mimo wszystko to był cud: zabierz niezdarną, niepewną siebie nastolatkę do Paryża. I patrz, jak zmienia się w dziewczynę z klasą.

A potem nadszedł sierpień. W Paryżu było gorąco. Nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo będzie gorąco i – myślała sobie czasem Laura – jak bardzo brudno. Upał jakby wyciągał brud, stulecia zbieranego przez kocie łby kurzu. Miało się takie wrażenie, jakby Paryż tak naprawdę nigdy nie był czysty, jakby czuć było każdą kroplę krwi, moczu i łajna rozpryskanego na ulicach od czasów rewolucji. Połowa sklepów i restauracji była w sierpniu zamknięta, bo rozsądni mieszkańcy miasta uciekali na wybrzeże. Odczuli tyranię francuskiego jedzenia. Gdy źle wybrali restaurację, bo lokal wyglądał dobrze, ale skórka *confit de cancard* była zwiotczała i miękka, a pieczywo czerstwe, nie mieli wrażenia, że to po prostu pech, tylko czuli, że dali się nabrać. Jakby chowano przed nimi lepsze jedzenie na zapleczu, dla

prawdziwych Francuzów.

Laura była gotowa wracać do domu. Sierpień stanowił zupełną odmianę. Lipiec był szczęśliwy, a sierpień przekłety. Od pierwszego dnia, myślała potem Laura, bez wątpienia.

W dniu wypadku Helen – a może dzień wcześniej; nigdy nie będą wiedzieli, kiedy dokładnie nastąpił wypadek – była dziecinna i kochana jak zawsze. W dziale makijażu Monoprix odbiła umalowane szminką usta na dłoni, dolną wargę na kciuku, a górną na palcu wskazującym.

– *Bonjour* – powiedziała do matki namalowanymi na dłoni ustami.

– *Bonjour, madame* – odpowiedziała Laura, która nie lubiła mówić po francusku nawet w takich okolicznościach. W sklepach sieci Monoprix była klimatyzacja. Spędzali tam dużo czasu.

Francja udoskonalila rysy twarzy Helen – Laura zawsze uważała, że są nieco ordynarne: wydatne, skłonne do spierzchnięć usta, zbyt jasne oczy – twarz, jak myślała Laura teraz, dziewczyny, która zrobiłaby dla chłopaka wszystko, nawet dla takiego, któremu na niej nie zależy. Jej własna twarz, dawno, dawno temu. Lecz w Paryżu Helen się zmieniła. Straciła niepewność, dziwaczność, wyraźną ciężkość swoich rysów. Stała się paryżanką. Laura wsunęła metkę koszulki Helen za kołnierzyk, poczuła ciepło jej pleców i z mocą nieznanego jej dotąd bólu serca zrozumiała: za trzy dni wrócą do domu i nic, nic się nie zmieni. Wrócą w sam środek tego wszystkiego, z czym sobie nie poradzili.

– Cieszysz się, że wracamy do domu? – zapytała Laura.

Helen wydeła usta. A potem wypchnęła kciuk i sprawiła, że jej dłoń też wydeła namalowane usta.

– *Non* – powiedziała. – *J'adore Paris*. Chciałabym tu zostać na zawsze.

– A ja nie – odezwała się Kit. – Tęsknię za Frogbertem.

– Za kim? – zapytała Helen.

– Naszym psem! – odrzekła Kit. – Ale śmieszne.

– Na zawsze – powtórzyła Helen. – Tato! – zawołała do ojca, który właśnie wchodził do sklepu ze staroświeckim abażurem w ręku. On też chciał zostać we Francji na zawsze. Laura potrafiła sobie wyobrazić, że używa tego abażuru jako wymówki: „W jaki sposób zabierzemy to na pokład? To już lepiej tutaj zostańmy”.

– Patrzcie! – powiedział. – Ręcznie malowany. To węże morskie.

I były tam, łańcuch oślizgłych, głupich węży morskich połączonych pyskami i ogonami dookoła krawędzi abażuru. To był obrzydliwy, wręcz groteskowy przedmiot w lśniącej alejce z kosmetykami w Monoprix.

Helen ujęła go rozłożonymi płasko dłońmi.

– Wspaniały – orzekła. – Tato, jest idealny.

Laura nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała u Helen taki wyraz twarzy – to nie było samo szczęście, tylko pragnienie podzielenia się tym szczęściem z kimś innym, hojność. Ten właśnie wyraz twarzy Laura starała się później zapamiętać, zapisać go w swojej głowie, bo zaraz zniknął na zawsze, zastąpiony parodią uśmiechu, spojrzeniem, które nie było rozmarzone, tylko oniemiałe, charakterystyczne, nie jak Kopciuszek wybierający się na bal, tylko jak jego przyrodnia siostra, wiele lat później, zaproszona wreszcie do pałacu, uzyskująca wybaczenie. Bo dwanaście godzin później Wes i Laura, śpiący w swoim zabytkowym łóżku, usłyszą znajomy, zapomniany dźwięk: dzwonek amerykańskiej komórki Wesa, z szuflady komody. Dlaczego nie była wyłączona? Laura odebrała.

– Ma pani córkę? – zapytał głos z drugiej strony.

To była pielęgniarka z amerykańskiego szpitala w Paryżu, która powiedziała, że przywieziono do nich dziewczynkę z urazem głowy.

– Ma na sobie koszulkę z napisem Linda – powiedziała pielęgniarka. – Przewróciła się i uderzyła w głowę.

Laura poszła do pokoju dziewczynek, z telefonem przyciśniętym do ucha. Kit spała na kwadratowych poduszkach i pod zbyt grubą kołdrą. Włosy miała przepecone. Łóżko Helen było puste. Laura spojrzała na okno, jakby to stamtąd spadła, jakby to o chodnik na dole rozbiła sobie głowę. Było zamknięte, jedynie uchylone, żeby wpuścić powietrze. Jeśli Helen opuściła apartament, to w najzwyczajniejszy sposób.

– *Je ne comprends pas* – powiedziała Laura, chociaż pielęgniarka mówiła po angielsku.

– Ktoś powinien tu do niej przyjechać – stwierdziła pielęgniarka. – Jest źle.

2.

I dlatego ma się dwoje dzieci. I dlatego się nie ma. Wes stał przed ich starym, bardzo starym, niewyobrażalnie starym budynkiem. Nie widać było żadnej taksówki, a on nie miał pojęcia, jak ją wezwać. Zastanawiał się, czy nie chciał przyjechać do Paryża z powodu języka: tego, jaki się będzie czuł rozpieszczony, nic nie rozumiejąc, zachwycony tym, że tak niewiele może. Teraz radził już sobie całkiem nieźle, ale kwestia, jak Paryż funkcjonuje w środku nocy, wydawała się przekraczać jego możliwości. I kogo potrzebował, żeby się dostać do Helen? Helen. Metro nie działało o tej porze, tyle wiedział. Na górze Kit nadal spała, Laura z nią została i dlatego był na ulicy sam. Była zapasowym dzieckiem. Tym, którego miało nie być. Tym, które było całe i zdrowe. W panice nie chciał od niej odchodzić: miał ochotę wpełznąć do pustego łóżka Helen, nie zwracając nawet uwagi na to, czy pościel jest zimna czy ciepła, od jak dawna jej nie ma, jakby to dziecko było już stracone, a jedyną rzeczą, jaką mogli zrobić, to czuwanie nad dziewczynką, która im została.

Miał GPS-a w komórce, tej amerykańskiej. Cztery i pół mili, w zamożnej podparyskiej dzielnicy Neuilly-sur-Seine. Pójdzie pieszo, nie widział innego wyjścia. Jeśli zobaczy taksówkę, zatrzyma ją, ale najważniejsze, żeby ruszył. Na zachód, jak najszybciej. Poczłł nagle, jakby się znalazł w rozmazanym, dziwnym, niewiarygodnym filmie. Miał misję do wykonania, a każda osoba, którą mijał, wydawała się niezwykle istotna: mężczyzna niosący śpiące dziecko, który zapytał o drogę, ale Wes nie mógł mu pomóc (schował telefon, nie chciał się zatrzymywać); dwóch policjantów z tarczami, choć Wes nie słyszał w okolicy żadnych zamieszek; starsza pani w eleganckim, ale brudnym ubraniu, która zamiatała romboidalny front kawiarni. On i jego trzy kobiety chodzili przez całe lato. „Tylko w ten sposób można zrozumieć to miasto” – powtarzał nieraz Wes. „Jesteśmy *flâneurs*”. Zrozumiał teraz, że wędrowanie niczego nie uczy. Można poznać jakieś miejsce, tylko jeśli porusza się po nim w jakimś celu. Zmierzając do kogoś albo od kogoś. „Helen” – powiedział na głos, gdy przechodził pod ruchliwą obwodnicą Périphérique. Nie kierował samochodem od ponad miesiąca. Auta wydawały mu się niczym dzikie bestie. Tak naprawdę wszystko wydawało mu się zdziczałe. Zapragnął broni.

Dotarcie do ekskluzywnej, zachodniej dzielnicy, w której mieścił się amerykański szpital, zajęło mu ponad godzinę. Słońce już wschodziło. Wpadł do środka, oszołomiony światłem i ludźmi. Nie chciał rozmawiać z nikim innym niż Helen, chciał tylko ją znaleźć, ale wiedział, że to niemożliwe, więc zatrzymał się przy podświetlonym kontuarze koło wejścia. Napis u góry brzmiał: INFORMATION. Czy to „informejszyn” po angielsku, czy „informasją” po francusku?

– *J'arrive* – powiedział, jak kelnerzy w zatłoczonych restauracjach, z tym, że im chodziło o bliską przyszłość, a jemu o czas dokonany. I dodał: – Na piechotę.

Mężczyzna za kontuarem miał krótką, tłustą grzywkę, zaczesaną w równe ząbki, niczym ostrze noża.

– Nazwisko pacjenta?

Wes się zawahał. W jakim ona jest stanie? Jakie informacje Laura podała szpitalowi?

– Helen Langford. – Znalazł w sobie odrobinę nadziei: oczywiście, że Helen jest przytomna. Skąd wzięliby jego amerykański numer telefonu? Z pewnością nie pamiętała numeru francuskiej komórki.

– OIOM – powiedział mężczyzna z ząbkowaną grzywką.

Ale okazało się, że Helen zabrała amerykańską komórkę matki, używała jej przez całe lato, żeby dzwonić najpierw do Stanów, a potem do Paryża, żeby wysyłać SMS-y, żeby robić sobie zdjęcia. Gdy bateria się wyczerpała, zamieniła ją na komórkę Wesa, podładowała i zamieniła z powrotem. W szpitalu znaleźli telefon w jej kieszeni, dzwonili pod numery z listy kontaktów i w końcu dotarli do nich.

Lekarz z OIOM-u był wysokim mężczyzną z grubymi, czarnymi brwiami i siwymi bokobrodami. Wesa oszołomiły: jego bezbłędny angielski, trudny do zidentyfikowania akcent, potok szczegółów. Helen podrzucili pod drzwi szpitala jacyś chłopcy. Prawdopodobnie nie zraniła się tu w okolicy: chłopcy przywieźli ją tutaj, jakby bycie Amerykanką było przypadłością, którą należy leczyć w specjalnym szpitalu. Zrobili jej tomografię głowy i rezonans magnetyczny. Zranioną ma tylko głowę. Upadła na nią. We krwi nie było śladów narkotyków, ale piła alkohol.

– Może przez wino zakręciło jej się w głowie. Jakieś wygłupy – powiedział lekarz, a Wes wychwycił, że nie jest jednak rodowitym użytkownikiem angielskiego. – Dzieciaki. I głupoty.

– Czy ona nie żyje? – zapytał lekarza.

– Co? Nie. Nieźle oberwała, to prawda. Ma uraz czaszki. W tej chwili

utrzymujemy ją w śpiączce, zrobiliśmy drenaż. – Doktor postukał się palcami w swoją siwiejącą skroń. – Żeby zmniejszyć ciśnienie.

A co zwiększa to ciśnienie?

– Powietrze? – zapytał Wes.

– Powietrze? Ach, nie. Płyn. Zbiera się. Dlatego drenujemy... – Lekarz głośno zassał powietrze. – Na razie działa. Dzisiaj po południu albo jutro będziemy wiedzieć więcej.

Wes spodziewał się, że jego córka będzie sprawiać wrażenie małej w szpitalnym łóżku, ale wydawała się spora, kobieca. Oczy miała zamknięte. Bok jej głowy zakrywał gigantyczny bandaż, z którego wystawała mała siorbiąca rurka. Nie, nie siorbiąca. Rurka nie wydawała żadnego dźwięku. Wes to sobie wyobraził, przez tego lekarza.

Jej mały pokój miał przeszklone ściany, zasłonięte staroświeckimi zasłonami na kółkach. Nie było na czym usiąść. Przez pół godziny pochyłał się nad łóżkiem i mówił do niej, chociaż oczy miała zamknięte. Była wiotka. Cała była wiotka.

– Helen – powiedział. – Helen. Możesz nam powiedzieć wszystko. Powinnaś, wiesz? – Byli tego rodzaju rodzicami, którzy nie chcieli słyszeć nic, nic złego. Ogarnęło go to z mocą nagłego nawrócenia: przez cały czas wierzyli, że to, czego oni nie uznają, nie istnieje. Oto dowód: niewypowiedzialne istniało.

– Helen – powiedział do swojej śpiącej córki. – Nigdy już się na ciebie nie rozzłoszczę. Zaczynamy wszystko od początku. Opowiedz mi wszystko.

Nowy początek. Wykasował zdjęcia i wiadomości z telefonu: chciał wiedzieć wszystko w przyszłości, nie przeszłości. Później będzie żałował, będzie chciał nazwisk, numerów telefonów, nie dającego się rozszyfrować slangu SMS-ów francuskich nastolatków, ale gdy przesuwiał wiadomości,

usuwał je i potwierdzał usunięcie, to było niczym modlitewna medytacja: „Zmienię się. Życie stanie się lepsze i wspanialsze”. Pół godziny później wyszedł do toalety i spotkał Kit i Laureę przy automatach z jedzeniem. Kit płakała. „Och, moje kochanie!” – pomyślał. A potem uświadomił sobie, że Laura ją maglowała. Nie była pełną troski siostrzyczką. Była współniczką.

– Wzięłyśmy taksówkę – powiedziała słabym głosem Laura.

– Dobrze – odpowiedział Wes.

– Nikt nie chce mi nic powiedzieć – poskarżyła się Laura. – Cholerna biurokracja.

– W porządku – rzekł Wes. – Ona...

– Skąd ona się tu wzięła? – zapytała Laura. – Kto ją tutaj podrzucił?

– Nikt nie wie – odparł Wes, który tak to przynajmniej zrozumiał.

– Ktoś musi wiedzieć!

– Posłuchaj – powiedział Wes. Zanim poszli zobaczyć Helen, chciał jej to wyjaśnić. Teraz już wiedział, że muszą rozmawiać o wszystkim. Muszą się interesować sekretami swoich córek, a nie bać się ich. Posadził je na krzeselkach, które w połączonym na stałe rzędzie stały pod ścianą. Cieszył się chwilą odpoczynku. – Mamy szczęście. Podrzućli ją tutaj, zrobili to dla nas.

– Tchórze – powiedziała Laura.

Wes oparł się o krzesło, aż cały rząd się przesunął. Tchórze zostawiliby ją na miejscu wypadku. To odwaga ją tutaj sprowadziła. Pamiętał, jakim sam był chłopcem, prysnąłby i zatrzymał się, żeby pomyśleć, dopiero po przebiegnięciu pół mili. Adrenalina zalewa umysł niczym silnik, którego nie da się już uruchomić. Ale Helen taka nie była. Została z chłopcem, który źle się poczuł, tak powiedzieli policjanci miesiąc temu, i karma wróciła.

– Przepraszam – powiedziała Kit. – Przepraszam, tak strasznie przepraszam. – Wciąż miała na sobie koszulkę nocną w różyczki, a do tego

srebrne sandaalki. Wyglądała niczym mityczny symbol snu: Narkolepta, Somnifaria. Gdy tylko to sobie pomyślał, odczuł nagłą senność, niczym zarzucone na głowę prześcieradło.

- Kto to jest? – zapytała nagle Laura Kit. – Musiałś ich poznać.
- Zostawiała mnie gdzieś i kazała obiecać, że się stamtąd nie ruszę.
- Francuzi?
- Nie wiem! – powiedziała Kit.

Każdej nocy przez cały tydzień Helen wykradała się, żeby spotykać się z jakimiś chłopcami. Poznała ich na jednym ze spacerów z siostrą; na następnym wspólnym spacerze posadziła Kit na ławce w parku z książką i kazała jej tam siedzieć. W nocy zabierała telefon albo matki, albo ojca; Kit spała z ich wspólnym telefonem na kartę pod poduszką, ustawionym na wibracje. Gdy Helen chciała, żeby ją z powrotem wpuściła, dzwoniła, aż wibrujący telefon budził Kit, która zbiegała po cichu po schodach, żeby otworzyć jej frontowe drzwi.

Z Kit będą kłopoty. Tak stwierdzili, gdy miała dwa latka i mrugała do kelnerów albo chichotała, kiedy obcy ludzie zwracali na nią uwagę. To Kit miała wymykać się z domu po nocy, a Helen kłamać, żeby ją chronić.

Starasz się, żeby twoje dzieci się polubiły, i tak to się kończy.

Poszli na OIOM. Gdy Kit zobaczyła siostrę, znowu się rozplakała.

– Ja nic więcej nie wiem – powiedziała, chociaż nikt nie pytał. – Ja po prostu nie wiem.

Laura zatrzymała się przy drzwiach. Objęła Kit ramieniem. Nie potrafiła na nikogo spojrzeć. Wes pomyślał, że zaraz otoczy się zasłonami na kółkach, jakby w tym kraju w taki właśnie sposób czuwało się przy rannym dziecku. Gniew matki był zbyt żarliwy, by płonąć bez osłony.

– Skąd w ogóle wiesz, że upadła? – szepnęła. – Może ją ktoś uderzył, może... została zgwałcona?

Wes niespokojnie pokręcił głową. Helen leżała na łóżku. Powinni do niej podejść.

– Skąd wiesz? – zapytała Laura.

– Sprawdzili.

– Zabiję ich – powiedziała. – Znajdę tych chłopaków. Nienawidzę tego miasta. Chcę do domu. – Wreszcie spojrzała na Wesa.

– Na razie nie można jej przewozić.

– Wiem – odrzekła Laura, a potem ciszej dodała – Chcę do domu. Teraz.

Cóż, on jednak przemierzył aż trzy *arrondissements*, żeby zobaczyć się z Helen. W dzieciństwie fascynowała go choroba dekompresyjna – to, co dzieje się z nurkami, gdy zbyt szybko wydostają się na powierzchnię oceanu, a ich płuca nie zdążyły przyzwyczać się do normalnego ciśnienia. Z miejsca na miejsce trzeba przenosić się ostrożnie. Laura zbyt szybko przeniosła się z apartamentu do taksówki i do szpitala. I oczywiście nie mogła złapać tchu.

Ale wraz z upływem dnia wcale się nie poprawiało. Patrzyła na Helen, owszem, i uczesała jej włosy różowym plastikowym grzebykiem, który zostawiła pielęgniarka. Przez cały czas mruczała coś pod nosem, przeplatając swą przemowę przekleństwami: przeklinała ich decyzję o przylocie do Paryża; przeklinała śmiesznie elegancką lekarkę z przedpołudniowego dyżuru, która nadęła policzki i wypuściła powietrze, gdy zapytali ją o rokowania Helen; przeklinała nieznanomych chłopców.

– Mówią, że to byli chłopcy – powiedziała Laura – ale skoro ich nie widzieli, to skąd to wiedzą?

– Trzeba się skupić na tym, co da się zrobić, skarbie – odpowiedział Wes.

Tego popołudnia Kit i Laura pojechały z powrotem do centrum metrem. Kit miała już przecież siedem lat.

On wrócił do apartamentu dopiero o dziesiątej. Laura była już w łóżku, ale nie spała. Omówili sprawy logistyczne. Za dwa dni mieli lot do domu.

Sensowniej było, żeby to Laura została z Helen – pracowała na zlecenie, a zajęcia Wesa zaczynały się za tydzień – ale pozostawał problem języka. I Paryża.

– Ja zostanę – powiedział Wes. Leżeli w łóżku. Za nimi, w mieszkaniu M. Petita panowała cisza. Kit spała w sypialni po drugiej stronie korytarza.

Laura pokiwała głową.

– A nie powinniśmy wszyscy? – Po czym sama sobie odpowiedziała: – Trzecia klasa.

– Trzecia klasa – potwierdził Wes. Szkoła Kit też zaczynała się za tydzień. Powinna tam być. – Mamy telefony. Nie to, co kiedyś. – Rozmawiali o tym, jak bardzo technologia ułatwiała teraz pobyt za granicą. – Posłuchaj, jestem pewien, że za tydzień czy za dwa będzie ją można zabrać do domu.

Żadne z nich nie było w stanie zastanowić się na głos, jak musiałby się zmienić stan Helen.

– Gdzie się zatrzymasz? – zapytała Laura.

– Och, Boże. Nie pomyślałem o tym.

Następnego ranka zapukał do drzwi M. Petita. Otworzyło dwóch młodych ludzi. Jeden z nich trzymał w rękach jakiś ciemny obraz w dużej ramie. Drugi pakował filiżankę w kawałek rozłożonej gazety.

– *Bonjour* – przywitał się Wes, nie wiedząc, co mówić dalej.

– Po angielsku? – zapytał jeden z mężczyzn, łysiejący rudzielec.

– Tak. Amerykanie. – Wes wskazał za siebie na drzwi.

– Ach! – powiedział rudy, a Wes dostrzegł w nim odbicie M. Petita. W obu mężczyznach. Jego synowie. Rudowłosy wyjaśnił: ich ojciec zmarł nagle i niespodziewanie.

– Och, nie – rzekł Wes. – Tak mi przykro. – Poczł lekkie wyrzuty sumienia, jakby to jego własna tragedia przeniknęła przez ściany i zabiła

starszka. Starał się przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz słyszał poranne czynności M. Petita.

– Jak pan widzi – powiedział rudy – pakujemy rzeczy.

– Mieliśmy wypadek – wyjaśnił Wes. – Moja rodzina. Nagły. Chciałem zapytać, czy mógłbym przedłużyć wynajem.

– Ach, nie. Nie. Moja córka się tu wprowadza, w przyszłym tygodniu, z mężem. Są świeżo po ślubie.

Wes pokiwał głową. Poczul ucisk w piersi, rozczarowanie albo rozpacz. Musiał mieć nocleg, możliwie najtańszy, i trudno mu było sobie wyobrazić, gdzie miały go szukać albo ile to mogłoby potrwać.

– Ale... – powiedział mężczyzna. – Może chciałby pan wynająć to mieszkanie? – Wskazał na podłogę apartamentu M. Petita, na takie same ciemnopomarańczowe kafelki jak w mieszkaniu obok. Wes spojrział w ciemny korytarz. – Bo wie pan, to tak nagle.

– Tak – powiedział Wes. – Dziękuję. *Merci. Merci mille fois.*

Wziął urlop na cały semestr. Kierownik wydziału powiedział, że wymyślą coś, żeby nadal mógł pobierać pensję, odwołają kurs i dadzą większe obciążenie na wiosnę. Lepiej ustalić od razu, niż żeby wszyscy musieli się potem ciągle zastanawiać, czy Wes wraca, czy nie.

W dzień wylotu pojechali z Laurą i Kit do szpitala. Kit pożegnała siostrę z czułością i płaczem, przytuliła się do niej na łóżku, gładziła ją po włosach i mówiła: „Obiecuję, obiecuję, obiecuję”. Co obiecywała? Wes pomyślał, że powie mu, gdy będą się żegnać na lotnisku, ale kiedy tam dotarli, Kit była niezadowolona, nieszczęśliwa, trzymała ręce skrzyżowane niemal pod brodą. Wyglądało to tak, że gdyby spróbował ją do siebie przyciągnąć, broniłaby się łokciami.

– Do zobaczenia, Kitty – powiedział. Pokiwała głową.

Pomyślał wtedy, że powinien był sobie znaleźć jakieś miejsce do leżenia,

jak Helen. Zupełnie inaczej żegnamy się z kimś, kto leży. Ale nie widział żadnych ławek, a gdyby położył się na ziemi, stratowałyby go buty i walizki Europejczyków. A może ochrona. Zabraliby mu pasek i buty (tylko w więzieniach i na lotniskach obcy ludzie mogą kazać ci je zdjąć). Położyliby jego smutne, zbolące ciało. Kit mogłaby się nie dać od razu przekonać. „Tato” – powiedziała, ponizona, bo teraz musiała też dźwigać poniżenia za siostrę. Ale wtedy na pewno, gdyby zaczął znikać – jego głowa, ramiona, pozbawiony paska brzuch, podczas gdy strażnicy prześwietliliby wnętrze jego ciała, puste kieszenie – podbiegłaby do niego, chwyciłaby go za stopy – nie. Najpierw zniknęłyby stopy, żeby miała dość czasu, by wyszeptać mu tę obietnicę do ucha.

W końcu podniósł ją. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz to robił. Palce jej stóp obity się o jego golenie.

– Będę dzwonić codziennie – powiedział.

– Wiem – odpowiedziała.

A potem pocałował Laure.

– Zadzwoń, jak dojedziecie.

– Będzie zbyt późno.

– Nie – zapewnił. – Niemożliwe.

Patrzył, jak przechodzą przez bramki. Laura machała: „idź, idź”, ale on nie mógł, nie, dopóki nie zniknęły mu z oczu.

Pojechał z powrotem pociągiem do miasta, żeby przenieść swoją walizkę do mieszkania M. Petita. Meble były staroświeckie, z frędzlami, poprzecierane. Okna wychodziły na podwórze, a nie na ulicę. Miał wrażenie, jakby to mieszkanie było cierpiącym na depresję kuzynem apartamentu, w którym byli tacy szczęśliwi. Innymi słowy, odpowiednie miejsce. W łazience była mała wanna na nóżkach, głęboka i krótka, z siedzeniem w środku. W jaki sposób M. Petit do niej wchodził? Łóżko znajdowało się na

antresoli. Żaden osiemdziesięciolatek nie powinien musieć używać drabiny, żeby położyć się spać. Nagle wszystko wokół wydawało się czymś, z czego można spać. Postanowił, że będzie spać na małym narożniku, bo może M. Petit umarł w swoim łóżku. Postawił abażur z węzami morskimi pośrodku stolika do kawy i zasnął. Zaskoczył samego siebie, ale przespał całą noc. Sprawdził telefon: wiadomość od Laury – *Na miejscu, zadzwonię rano, czyli dla ciebie po południu*. Poszedł, trzeci z kolei dzień, do szpitala.

Granica pomiędzy świadomością a śpiączką nie jest tak wyraźna, jak Wesowi wydawało się na podstawie obrazów z telewizji. Przestali podawać jej środki usypiające. Nie wypłynęła gwałtownie na powierzchnię, jak z jeziora. Wynurzała się z nieświadomości po milimetrze przez kilka kolejnych dni. Obudził się jej nos. Obudziło się jej czoło. Policzki. Oczy. Ciśnienie wewnątrzczaszkowe spadło; dren odłączono.

Wyglądała jak jakaś szalona święta. Nawet dłonie miała splecione na piersi, jakby do modlitwy. Usta uchylone. Pielęgniarki czesały jej włosy – tyle, ile ich zostało, a potem wezwały szpitalną fryzjerkę, która obcięła je na Joannę d’Arc.

W szpitalu Wes przyglądał się Helen tak, jak robił to, gdy była niemowlęciem. Wzrok krążył wokół twarzy, potem splecionych palców, zgięć łokci. Nie była małym dzieckiem, oczywiście. Była dziewczyną, niespełna trzynastoletnią, z piersiami, a jej ciało będzie zmierzać do dorosłości bez względu na to, czy jej mózg będzie nadążać. Lekarze powiedzieli, że wciąż jest zbyt wcześnie, żeby cokolwiek stwierdzić.

Starał się odnaleźć swoją córeczkę w wyglądzie tej dziewczyny, ale była zupełnie odmieniona. Starał się pocieszyć: Helen miała już troski za sobą. Najgorsze jej się nie przydarzy, bo już jej się przydarzyło. Teraz nie trzeba podejmować żadnych decyzji. Nie umrze. W tej chwili była poza wszelkimi psychicznymi rozterkami. Musiał tu być. Tyle był w stanie zrobić.

Pod koniec każdego dnia wracał na piechotę do Paryża, całe cztery i pół mili: pod obwodnicą Périphérique, przez siedemnastą dzielnicę, w dół bulwaru Malsherbes, i rozmawiał z Laurą, ocierając ucho o plastikową słuchawkę. Wydawała się taka daleka, wyczuwał u niej ulgę. Przekazał najświeższą diagnozę: nadal oceniali, czy uszkodzenie mózgu Helen ma charakter ogniskowy czy rozproszony. Tkwiący w czaszce mózg wciąż był opuchnięty. Odzyskanie zdrowia może zająć lata. Laura przekazywała mu wieści z Ameryki: firma ubezpieczeniowa świetnie współpracowała ze szpitalem, ale firma telekomunikacyjna nie umorzy rachunku na niemal tysiąc dolarów za rozmowy i SMS-y Helen z Paryża, który nabiła zwędzonymi rodzicom komórkami. Czasem rozmawiał też z Kit, ale zwykle miała basen, była u koleżanki albo miała lekcję gry na flecie. Albo słyszał tylko zatraskujące się za nią drzwi, gdy wychodziła na dwór.

- Tęsknimy za wami – zapewniała Laura.
- My też za wami tęsknimy – odpowiadał.
- Helen za niczym nie tęskni.
- Nie wiemy tego.
- Czuję to.
- Okej – mówił, bo mogła mieć rację.

Zanim się wygadali, był już z powrotem w trzeciej *arrondissement* i skręcał nagle nad rzekę. Chodził tak, jak chodzili w pierwszy dzień z jet lagiem, żeby się zmęczyć, zanim wejdzie po schodach do mieszkania M. Petita, i żeby zasnąć, nie słysząc za ścianą wnuczki z mężem hałasujących na łóżku trzy czwarte. Albo na sofie, albo w dowolnym kącie tego starego domu. Czasem myślał sobie: „To wciąż my, a ja jestem M. Petitem”, i próbował znaleźć ten fragment ściany, który sąsiedował z pokojem służącym za sypialnię dziewczynkom. Może podsłucha, jak spiskują. Może tym razem zdoła to powstrzymać.

A może usłyszy tylko pieprzących się sąsiadów.

Pewnego wieczoru w drodze do domu natknął się na mały sklepik spożywczy nastawiony na amerykańskich klientów: wielkie pudła mocno słodzonych płatków, batoniki, a on chciał kupić je dla Helen, bo właśnie wyjęli jej z nosa sondę dożołądkową, choć i tak mogła jeść tylko papki. W tym sklepie mieli każdy rodzaj amerykańskiego chłamu. Jasnożółtą musztardę, masło orzechowe, nadzienie do indyka, a nawet sos serowy Cheez Whiz. Na tyle długo nie był w Stanach, że czuł sentyment do tamtejszego jedzenia, a jednocześnie na tyle długo przebywał w Paryżu, że nim gardził.

I wtedy zobaczył czerwoną nakrętkę słoika Fluff, kremu z pianek marshmallow.

– Mam dla ciebie coś słodkiego – powiedział do Helen następnego ranka. Rozejrzał się za łyżeczką, ale znalazł tylko patyczek do badania gardła. Nada się.

Helen zamykała oczy, gdy jadła piankę, gdy jej okrągła buzia otaczała patyczek. Wes był podekscytowany. Do tej chwili Helen stanowiła niewiadomą, była dla niego tajemnicą, taką samą, jaką musiała być dla oddziału ratunkowego, gdy się tutaj znalazła: dziewczynka, która spadła z nieba. Niezidentyfikowana. Odcięta od swojej historii.

A teraz otworzyła oczy i on zobaczył, po raz pierwszy, że Helen nimi patrzy, chociaż (pomyślał) nic nie może powiedzieć. Jakby leżała na dnie studni. Wszystko powyżej było ukryte w cieniu. Widział, jak próbuje cokolwiek dostrzec. Jej rozchylone usta otworzyły się szerzej, celowo, z użyciem mięśni, spragnione: „więcej”.

Nabrał na patyczek więcej kremu. Zamknięte oczy, zamknięte usta, ale gdy patyczek wsunął się do środka, Helen zaczęła kasłać. To był okropny, mokry dźwięk.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Pomyślał, czy nie powinien wsunąć jej palca do ust i wyjąć krem, a potem to zrobił, a Helen zagryzła zęby. Najpierw tylko ucisk, wierzchołki trzonowców, a potem ból. Spróbował wyciągnąć palec.

– Ojej, Helen – powiedział. – Helen, proszę. Helen, pomocy! Pomocy! – I wtedy szczęka się rozluźniła, a on stał i dyszał, z obślinionym, pokarbowanym palcem.

Na piętrze dyżur miała doktor Delarche, wysoka kobieta, która tak zirytowała Laureę. Zanim zajrzała Helen do ust, cała pianka się rozpuściła, z wyjątkiem kropelki na jej górnej wardze.

– Co to jest? – zapytała Helen. Dotknęła jej brody, przyjrzała się całej twarzy. – Hę? To lepkie coś.

Wes cały czas trzymał się za bolący palec.

– Pianka.

– Pianka? – Lekarka zwróciła się do niego. – Jaka pianka?

Odkręcony słoik spadł na łóżko – wyciągnął go spod koca i pokazał lekarce.

– Krem z pianek marshmallow – wymówił słowo „krem” z francuska. – To na kanapki, jak masło orzechowe.

Dr Delarche chyba mu nie wierzyła.

– Nie – powiedziała. – To nie jest dobre dla zdrowia. Nawet bez urazu mózgu, a już na pewno nie w takim przypadku. Żadnej pianki.

– Okej – odparł, zadowolony.

Jego błąd polegał na tym, że wydawało mu się, że dziewczynka na łóżku niczego nie potrzebuje. Ale to była Helen, a Helen wręcz składała się z pragnień. Pragnęła, płonęła, nawet jeśli nie mogła się ruszyć czy przełknąć kremu z pianek. Chciałby odnaleźć tych jej chłopców, żeby usiedli na skraju łóżka i jej poczytali; chciałby zabrać ją do miasta, pozwolić jej napić się

wina.

Cóż, w takim razie... Musiał się dowiedzieć, czego ona pragnie i dostarczyć jej to.

Tego wieczoru, po długim spacerze, znalazł się na ulicy, która była pełna sklepów dla artystów: sklep z piórami, sklep malarski, sklep papierniczy. W sklepie z farbami kupił podkładkę, która rozkładała się jak sztaluga, i akwarele w malutkiej metalowej walizeczce z pętelką z tyłu na palec, na wypadek, gdyby się malowało *plein air*. To było coś, co kupiłby w zwykłych czasach dla dziewczynek. On sam nie malował od czasu liceum – był rytownikiem i tego nauczał – a jeszcze dłużej nie używał akwareli. Ale Helen tak. Pobierała w Stanach lekcje. Może mogłaby go pouczyć. To jej właśnie powie.

– Ach! – powiedziała lekarka, gdy zobaczyła, jak rozkłada miniaturową sztalugę. – Tak. Terapia. Bardzo dobrze. To pomoże.

Zaczęli malować.

Tak, Helen tam była, była tam. Nie była w stanie artykułować słów. Uśmiechała się szerzej, gdy ludzie do niej mówili, ale chyba nie miało znaczenia, co mówią. Ale gdy miała pędzel w ręku – Wes tylko go podtrzymywał – malowała. Najpierw obrazy abstrakcyjne, pola żółcieni, pomarańcze i rozmytego różu (nigdy nie zbliżała się do błękitu) pokryte kołami i kwadratami. Wiedziała, a on nie, jak rozcieńczyć farbę wodą, żeby uzyskać taki kolor, jaki chce.

Wkrótce przeniesiono ją do pojedynczego pokoju na innym piętrze. Szpitalna manikiurzystka („Jakie to paryskie!” – powiedziała Laura, gdy jej o niej wspomniał) pomalowała jej paznokcie u rąk i stóp na czerwień godną wampa. Ulubiony pielęgniarz Wesa, niski mężczyzna, który przypominał mu trenera zapasów z liceum, skonstruował z szyny i bandażu uchwyt do

malowania, żeby Helen mogła utrzymać nadgarstek dłużej, choć wciąż trzeba było podierać jej łokieć.

– Ona maluje – powiedział Wes przez telefon. Wymknęło mu się pod koniec rozmowy, gdy stał przed drzwiami frontowymi budynku: do tego momentu nawet sobie nie uświadamiał, że trzyma to w tajemnicy.

– Co masz na myśli? – zapytała Laura.

Wyjaśnił jej, opowiedział o podpórce i akwarelach.

– Co maluje?

– Abstrakcje. Zrobię zdjęcie, żebyś mogła zobaczyć.

Zapadła cisza.

– Co?

– Nic. Westchnęłam. Mówisz, że maluje jak ten słoń?

– Co takiego?

– Jest taki jeden słoń, co maluje. A może nie jeden. Wsadzają mu pędzel do trąby i kładą płótno. Efekty są lepsze, niż można by się spodziewać. Ale to nie jest prawdziwe malowanie, prawda? To tylko ruch pędzlem. Ona nie wie, co robi.

– Wie – powiedział Wes. – Poprawia jej się.

– O milimetry.

– Owszem. Ale to zawsze postęp.

– Co to za postęp w milimetrach? – stwierdziła Laura. – Dokąd w ten sposób dotrze?

– Nie wiem!

– Żałuję, że ona nie... – zaczęła Laura. – Po prostu nie wiem, jak będzie wyglądać teraz jej życie. – I znów cisza.

Wes wiedział, że tym razem nie wzdycha. Powiedział:

– Słuchaj, muszę kończyć.

Nie pił alkoholu od tamtego telefonu ze szpitala nad ranem: dręczyła go myśl, że mógł się tamtej nocy obudzić i przyłapać Helen na wymykaniu się z domu, gdyby był całkowicie trzeźwy. Teraz pomyślał, że przed wejściem do mieszkania M. Petite kupi sobie butelkę wina. Minął siłownię, którą widział wcześniej i która była czynna, choć minęła dziesiąta wieczorem. Na poziomie ulicy w szklanej kabinie siedziała kobieta, gotowa go zapisać. Miała na sobie zwyczajne wyjściowe ubranie, a nie strój do ćwiczeń.

– *Bonjour, madame* – powiedział. – *Je parle français très mal.*

– *Ah, non!* – odpowiedziała. – *Très bien.*

Zabrzmiało to nieco protekcjonalnie, ale w taki wesoły, niemal amerykański sposób.

Sama siłownia znajdowała się w piwnicy. Jak na amerykańskie standardy była mała i skromna, ale były tam sztangi – w college’u dość intensywnie ćwiczył podnoszenie ciężarów – i kilka bieżni. Od tego dnia przychodził tam wieczorem po długim spacerze i rozmowie telefonicznej z Laurą, bo tylko fizyczne zmęczenie łagodziło świadomość, że Laura żałuje, że Helen nie umarła. Miał nadzieję, że i Laura ma co robić, żeby złagodzić swoją świadomość, że on wie, iż ona coś takiego czuje i że się nie zgadza.

Z jakiegoś powodu jeden z instruktorów na siłowni zapałał do niego niechęcią i ciągle wrzeszczał na niego po francusku: za wniesienie torby na salę, za wysuwanie kolan poza palce stóp, gdy robił przysiad, za wchodzenie w drogę Francuzom, którzy wyglądali, jakby w ramach ćwiczeń wymachiwali kijami od szczotek. Według ulotek leżących na blacie recepcji miał na imię Didier; włosy miał wygolone wokół podstawy czaszki, a dłuższe na górze. „Jak *oignon*” – pomyślał Wes. Didier ostentacyjnie pił jasnożółty płyn z dużego bidonu Nalgene, a Wes lubił sobie wyobrażać, że pije swój własny mocz. Dobrze było kogoś nienawidzić, nawiązać z kimś jakąkolwiek relację bez medycznego tła.

„Jak spędzę tu rok – pomyślał pewnego wieczoru, robiąc martwy ciąg na stojaku – jak znajdziemy z Helen odpowiednie mieszkanie, to znajdę sobie dziewczynę”. Ta myśl wleciała mu do głowy niczym ptak – niemożliwa, nie na miejscu, trzepocząc na wszystkie strony. Nie pasowała tu. I nie mogła odlecieć.

Po trzech tygodniach stan Helen nie tylko się poprawił, on się wymiennie poprawił: mogła podnieść i utrzymać głowę, odwracała się w stronę osoby, która mówiła, ścisnęła dłoń, gdy ktoś wypowiadał jej imię.

I malowała. Kontury abstrakcji stały się wyraźniejsze, bardziej kanciaste, aż w końcu Wes dostrzegł, o co jej chodzi. Malowała Paryż. Przedtem w Stanach uznali, że Helen ma talent, i skupili się na tym, kupili jej przybory, wysłali na lekcje, nie tylko malarstwa, ale także rzeźby, rysunku, fotografii. Problemem była treść, taka sama jak u każdej amerykańskiej dziewczynki z przedmieść. Tańczące księżniczki. Piękne damy. Balowe suknie.

A teraz malowała witraże i zrujnowane budynki w promieniach słońca, pomniki, ogrody. Czuł, jak jej dłoń walczy, żeby namalować tak, jak trzeba. Rysowała twarze o dziwnych rysach i krzywych uśmiechach. Gdy po raz pierwszy napisała w rogu swoje imię grubymi, kolorowymi literami, Wes wybuchnął płaczem.

Personel szpitala i odwiedzający zabierali jej obrazy, bez pytania, a Wes musiał chować te, na których mu szczególnie zależało. Wmawiał sobie, że czeka na ten odpowiedni, żeby wysłać mailem zdjęcie Laurze, ale one każdego dnia były lepsze niż poprzednie. A chciał wysłać najlepszy.

Pewnego ranka wpadł na dr Delarche w drodze do pokoju Helen.

– *Monsieur* – powiedziała i zatrzymała go gestem. Wes był zaniepokojony. Lekarze nigdy nie udzielali mu żadnych informacji o Helen. Albo musiał pytać, albo zauważać sam. A poza tym dr Delarche pracowała na

OIOM-ie.

– Muszę pana o coś zapytać – powiedziała.

Skinął głową.

– Mój mąż robi filmy dokumentalne. Zastanawiałam się... Opowiadałam mu o Helen i jej obrazach. Chciałby zrobić o niej krótki film.

– Och! – odrzekł Wes. – Tak!

Documentariste okazał się przystojnym, kudłatym Algierczykiem o imieniu Walid, który sprawił, że Wes bardziej polubił dr Delarche: roztaczał wokół siebie atmosferę radości i bez troski.

– Mogę? – zapytał. Miał małą, tanią cyfrową kamerkę Flip – matka Laury sprezentowała im taką samą rok temu. Wes miał lepsze możliwości filmowania na swoim nikonie, który zostawił w mieszkaniu. Spodziewał się, że na dokumencie widać będzie głównie kształt szerokiego, stwardniałego kciuka Walida.

Nie powiedział Laurze o filmie. Kazałaby mu wyrzucić męża lekarki z pokoju. „Nie rób z naszego dziecka dziwadła do pokazywania” – powiedziałyby.

Ale Wes wiedział, że Helen tego właśnie pragnęła.

Nie miłości, nie zwykłej uwagi: od małego dziecka lubiła straszyć i niepokoić rodziców i nieznajomych, a teraz nie uważał już, żeby była to jakaś zaszyfrowana wiadomość – wołanie o miłość! Ona po prostu chce, żeby do niej mówić! Helen pragnęła miłości, ale nie zwyczajnej. Chciała, żeby ludzie rozdziawiali usta. Gdyby została sama w Stanach, nie tylko przekłułaby sobie nos i uszy, nie tylko wytatuowałaby sobie czarne, chropowate wzory na chudych plecach: cała pokryłaby się tuszem i metalem, rozepchnęłaby sobie wargę i małżowiny uszne dużymi, płaskimi kólkami. Ludzie by się na nią gapili. Krzywiliby się i odwracali wzrok. Pragnęła i tego, i tego.

I teraz to miała.

Nie był na tyle głupi, na tyle optymistyczny, by sądzić, że sama poszłaby na taki układ. Nie zrezygnowałaby z tamtych chłopców w jakiejś nieznanej części Paryża, częstujących ją winem, obserwujących, jak robi coś głupiego, zanim upadła. Ale gdyby znalazła się w szpitalnym łóżku, chciałaby – nie chciałaby, po prostu chciała – być najbardziej interesującą dziewczyną w szpitalnym łóżku, jaka kiedykolwiek istniała. Filmowaną, skupiającą na sobie całą uwagę. Nazywaną – przez co bardziej egzaltowane pielęgniarki – wręcz cudem. Odwiedzaną przez inne chore dzieci ze szpitala, które przyprowadzali dobroduszni, religijni wolontariusze.

Pokój Helen był miejscem pełnym ciepła i światła. Każdy tak mówił. Walid filmował, choć Wes nie do końca rozumiał po co.

– Może – powiedział Walid pewnego dnia – jak już skończymy, to tamci chłopcy, ci, z którymi wtedy była, zobaczą ten film.

– Mogliby przyjść ją odwiedzić! – zawołał Wes.

– Hę? – zapytał Walid. Przestał filmować i popatrzył na Wesa. – Zgłosić się. Okazać skruchę. To okropne, tak porzucić dziewczynę, prawda? Jesteś Amerykaninem i chcesz dla nich kary śmierci – wyjaśnił. – Ale my oczywiście jej nie uznajemy. Już nie, swoje przeżyliśmy. Ale mimo wszystko. To okropne.

– Jest prawdziwą inspiracją – powiedziała pewnego dnia dr Delarche, gdy Wes i Helen malowali. – To dobrze. – Dr Delarche oparła się o ścianę w lekarskim fartuchu, któremu elegancki wygląd nadawał sposób, w jaki wsuwała ręce do kieszeni. Odkąd Wes pozwolił Walidowi filmować, przychodziła do pokoju Helen niemal codziennie, ale nigdy w trakcie obecności Walida. Może wpadł jej w oko, choć to byłoby bardzo niefrancuskie. To ona wpadła w oko jemu.

– Światło na tych obrazach – powiedziała. – Jak Monet, prawda?

– Boże, nie – odpowiedział Wes. – Nienawidzę Moneta. Czego szukasz, Helen? Czerwieni? Tu jest czerwień.

– Renoir? – zapytała dr Delarche.

– Jeszcze gorzej. Nie – odparł Wes. – Jestem po waszej stronie przeciwko Włochom, jeśli chodzi o wino, kawę i nawet lody, ale malarstwo? Biją was na głowę. Francuzi są zbyt słodcy.

– Jesteśmy słodcy – zgodziła się dr Delarche. – I jeszcze sery mamy lepsze. Wino, jasna sprawa. Każdy to wie. A tak w ogóle, macie jakieś plany?

Uprzejmie pokręcił głową, nie wiedząc, o co jej chodzi.

– Helen wkrótce nas opuści – powiedziała.

– Umrze? – Zatrzymał dłoń i poczuł nacisk Helen, która chciała dalej przesunąć pędzel, ale wyciągnął go z uchwytu i odłożył. Żałował, że wypowiedział to słowo przy niej.

– Och, nie! – odrzekła dr Delarche. Wydawała się urażona, że tak źle ją zrozumiał. Z jego doświadczenia wynikało, że Francuzi często czują się urażeni cudzą głupotą. – Opuści ten szpital.

– I trafi do innego?

– Do domu. Do Stanów. Porozmawia pan z terapeutami, sprawdzi pan, co ustalili – ona czuje się lepiej. To oczywiste. Czuje się dużo, dużo lepiej i jest już na tyle silna, że może podróżować. A więc, hurra, tak? Wróćcie do domu, do rodziny.

– Oczywiście – odparł.

Wyszedł ze szpitala. Prawie nigdy nie wychodził z niego za dnia. Neuilly-sur-Seine wyglądało jak scenografia stworzona przez kogoś, kto nigdy nie był w Paryżu i wyobrażał sobie, że jest nudny: czyste dziewiętnastowieczne kamienice z mansardowymi dachami, malutkie

kawiarnie serwujące kawę w białych filiżankach, nic godnego uwagi, nic obscurnego. Pomyślał o zabraniu Helen do mieszkania M. Petita i uświadomił sobie, że to był prawdziwy powód, dla którego zaczął chodzić na siłownię: podnosił ciężary, żeby móc nosić Helen. Pięć pięter po schodach. Wkładać ją do wanny. Nosić po Paryżu. Tyle po nim chodził, że wiedział, że jest koszmarnym miejscem do jazdy na wózku. Żadnych amerykańskich ustaw dla osób niepełnosprawnych, żadnych obniżanych krawężników. Łatwiej będzie na piechotę.

Zaniesie ją do Jardin de Plantes. Będą malować zwierzęta w zoo, odwiedzą wyłożoną mozaikami herbaciarnię w meczecie. Oczami wyobraźni widział, jak jej się z upływem czasu poprawia: zamyka usta, siedzi prosto. Nie przejmował się tym, że ich krótkoterminowa wiza wygasa za dwa tygodnie. Nie wyobrażał ich sobie w Ameryce.

Jeśli nie będzie w stanie chodzić czy mówić w Ameryce, to nie będzie w stanie chodzić czy mówić do końca życia, a na to zgodzić się nie mógł.

Lecz gdy wieczorem w drodze do domu zadzwonił do Laury, powiedziała, że przylatuje za dwa dni. Kit zostanie u ich przyjaciół. Brat załatwił jej bilet last minute. Chciała przekonać się na własne oczy, jak Helen sobie radzi.

Wes czekał na lotnisku i martwił się, że nie rozpozna własnej żony – zawsze się tym martwił, gdy miał się z kimś spotkać – a serce podskakiwało mu za każdym razem, gdy automatyczne drzwi rozsuwały się, żeby przepuścić kolejnego wykończonego podróżnego. Kiedy wyszła, rozpoznał ją oczywiście od razu i poczuł szybsze krążenie krwi, jak na pierwszych randkach, gdy kochał ją i nie wiedział, co będzie. „To ona” – pomyślał. Przeszła po podłodze lotniska i zniknął cały dystans. Przywarła do niego, a on ją kochał. Poczuł wstyd za każdą brzydką myśl o niej przez ostatnie

tygodnie. Przez chwilę obejmowali nawzajem swoje zmęczenie.

– Wydajesz się jakiś inny – stwierdziła. – Szczuplejszy. Wyglądasz świetnie. Jak tam Didier?

– Nienawidzę go każdą cząstką swojego ciała. Ty wyglądasz lepiej niż świetnie.

Potrząsnęła głową. A potem powiedziała:

– Nie chcę tam wracać.

– Gdzie? – zapytał. – Och. Cóż, ale tam jest Helen.

– Helen tam nie ma.

– Czuje się lepiej. Ona... Ona będzie wiedziała, że jesteś. – Gdy tylko to powiedział, uświadomił sobie, że dotąd wmawiał Laurze coś przeciwnego, żeby ją pocieszyć: Helen nie wie, kto przy niej jest, a kogo nie ma, więc nie ma znaczenia, że ona i Kit są w Ameryce, oddalone o tysiące mil.

– Naprawdę? – zapytała Laura.

– Tak.

– A jak to okazuje?

Ruszyli w kierunku stacji kolejki lotniskowej. Wes kupił bilety już w Paryżu. W końcu odpowiedział:

– Maluje. Ona wciąż maluje, Lauro.

Pociąg zatrzymał się przed nimi z chłodnym sykiem i wszedli.

– Wiem.

– Co?

– Kit mi pokazała. Na YouTube. Ale on wcale nie pokazuje, że ona maluje. Przecież nie maluje sama. Nie wierzę.

Słyszał o popularności filmu w internecie, ale myślał, że to plotki, interesy albo czcze gadanie: przecież rozpowszechniano go lokalnie, a nie pomiędzy różnymi krajami.

– Kto tak naprawdę maluje? – zapytała Laura. – Terapeutka czy ktoś inny? Jedna z tych nawiedzonych wolontariuszek? Na niektórych ujęciach widać rękę, która podtrzymuje jej łokieć.

– Helen – odpowiedział Wes. – Przysięgam. Chodźmy. Ona ci pokaże.

Na Gare du Nord Laura powiedziała:

– Weźmy taksówkę. Jedźmy do Helen.

– Nie chcesz zostawić walizki?

Pokręciła głową.

– Szkoda, że nie znalazłeś innego mieszkania.

Podeszli do postoju przy dworcu. Nie korzystał z taksówki od tamtego pierwszego dnia w Paryżu. Rano jechał do szpitala metrem, a wieczorem wracał na piechotę. Uświadomił sobie nagle, że słabości każdego narodu widać na jego drogach.

– Masz gotówkę? – zapytała Laura, gdy dojechali.

– Myślałem, że ty masz.

– Dopiero co przyleciałam. Mam dolary.

Pogrzebał w kieszeniach i znalazł akurat tyle, ile trzeba. Wysiedli.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała Laura, patrząc na lśniąca fasadę szpitala.

– Wiem. Ja też.

– Nie. Ty jesteś lepszy ode mnie. Ty tego nie nienawidzisz. Ty nienawidzisz tej sytuacji. To właściwa reakcja. A ja... Ja mam ochotę wybiec przez drzwi i nigdy nie wrócić. Zrobiłabym to, gdybym mogła.

– Tędy – powiedział. – Tutaj ją przenieśli.

W pierwszej chwili Wesa zaskoczyło, jak Helen dobrze wygląda, zaróżowione policzki, niemal szykowna fryzurka. A potem spojrzał na Laurę i zrozumiał, jak niewiele się ich córka zmieniła. Upłynęło sześć tygodni. Była

nieruchoma i radosna. Nie mogła mówić.

– Cześć, kochanie – powiedział Wes. – Zobacz. Mama tu jest.

– O, Boże – westchnęła Laura.

– Ci... – uciszył ją Wes.

Ale Laura już była przy łóżku. Dotknęła policzka Helen.

– Skarbie – powiedziała. – Kochanie. Cholera. – Spojrzała w dół łóżka i odsunęła koc: zgięte kolana z poduszką pomiędzy, bezużyteczne mięśnie, rurka cewnika. Potrząsnęła głową, poprawiła koc. – Wiem, wiem, co mnie myślisz, Wes.

– Wcale...

– To nie chodzi o to, że to nie jest ona. Chodzi o to, że kimkolwiek jest ta osoba na łóżku, ona jest tam, gdzie powinna być moja Helen. I z tym nie mogę się pogodzić, chociaż wiem, że muszę.

Laura miała na sobie sukienkę, którą kupiła na lipcowej wyprzedaży, gdy tu przyjechali, czerwoną, z wyhaftowanymi niebieskimi kwiatami na ramionach niczym epolety. Zbyt mocno zacisnęła pasek. Ona też schudła.

– Usiądź sobie – zaproponował. – Tu są krzesła. Proszę. Będziemy malować. Pomalujemy, Helen?

Owinął uchwyt wokół jej nadgarstka, co zawsze sprawiało mu przyjemność, i wsunął w niego ulubiony pędzel Helen, o długim trzonku, przeznaczony do olejów, nie do akwareli. Ustawił sztalugę na stoliku na kółkach, który można było nasunąć na łóżko, przyniósł wodę, farby i je rozprowadził. Zaczęli.

– Ty to robisz – stwierdziła Laura.

– Nie – odpowiedział cierpliwie. – Ja tylko stabilizuję jej rękę.

– W takim razie puść – powiedziała Laura.

Zrobił to i wierzył, że tak będzie: że jej dłoń poszybuje w górę, niczym

ptak wyrzucony w powietrze. Poleci dalej. Tak, właśnie tak. Chciał powiedzieć Laurze, że chyba raczej za mocno przytrzymał dłoń Helen, przeszkadzał. Już go nie potrzebowała.

Ale jej dłoń, niczym tykająca wskazówka, opadła na sam dół i się zatrzymała.

Szczęka Helen poruszyła się, a Laura i Wes patrzyli. Od tygodni nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. I teraz też nie. Krótka fryzurka raz wydawała się chłopięca, a raz jakby obcięto jej włosy za karę. Wes podniósł jej dłoń, ustawił i puścił. Cyk, cyk, na sam dół.

– A widzisz – powiedziała Laura.

Wes pokręcił głową. Nie. Potrzebowała pomocy, ale on nie umiałby namalować tych obrazów.

A gdyby nawet, to jakie to miało znaczenie? Po Helen pozostały właśnie te obrazy.

– Ona nie jest oszustką – powiedział Wes.

– Nie, nie jest – zgodziła się Laura. – Myślę, że ona nie jest nikim. Jej tu nie ma, Wes.

– Nie ma? – zapytał Wes.

– Nie – odparła Laura. Poklepała się po głowie. – Tutaj, w jej mózgu, jej nie ma. Nieważne, gdzie jest jej ciało. Ono może być wszędzie. Ale ważne jest, gdzie jest twoje ciało. Musimy zabrać ją do domu, i ciebie też.

– Ale nie tylko ja to widzę – rzekł Wes.

– Kto nie pokochałby cudownej dziewczynki – powiedziała Laura, ale z miłością. – Ja też jej pragnęłam, naprawdę. I pokochałabym, gdyby to była prawda.

Ale, pomyślała Helen – bo Helen tam była, Helen wszystko słyszała – czy to nie sprawia, że to tym bardziej jest cud? Jej matka miała rację. Nie mogła poruszać rękoma: to jej ojciec malował. Ale widziała obrazy w swojej

głowie, te pola z kamienicami, to złote światło – i nie mogła poruszyć dłonią, żeby przelać je na płótno. Robił to jej ojciec. To był cud, o którym wszyscy mówili, po angielsku i po francusku. Odwiedzająca chorych zakonnica twierdziła, że to Bóg, ale to jej ojciec brał ją za rękę i malował obrazy z jej głowy. Za każdym razem wiedział dokładnie jak: budynki, latarnie, te niewyraźne kształty unoszące się w jej polu widzenia, gdy nie patrzyła na nic szczególnego i co, jako dziecko, uważała za swoją świadomość – zmętnienia, ojciec wyjaśnił jej kiedyś, że tak się nazywają. „Ja też je mam” – powiedział. W szpitalu to się pogłębiło, stanowiło rodzaj stałego zakłócenia. Ona widziała, on malował wewnątrz jej przypominającej wypełnioną sztucznym śniegiem kulę czaszki, wszystkie te migające rzeczy, gdy upadała – wieżę ciśnień na szczycie budynku, chłopca, który ją pocałował, drugiego, który ją popchnął, to ich twarze były w rogu obrazu, butelki wina, które wypila – wcześniej w domu piła piwo, likier miętowy i syrop na kaszel, ale nigdy wina. A tutaj wina było wszystkim. Ci chłopcy przyjdą ją odwiedzić. Obiecali, gdy ją tu podrzucali. Miała czekać. „Nie pozwól jej mnie zabrać, tato”. „Matka ani razu nie spojrzała jej w oczy, odkąd weszła do pokoju, ale czy kiedykolwiek to robiła?” – pomyślała Helen. Całe życie jaśniała zbyt mocno.

– Beztroska Helen – powiedziała Laura, a potem zwróciła się do Wesa: – Wiesz, myślę, że właśnie jej wybaczyłam.

– Co? – zapytał Wes.

Mimowolnie potarła nos.

– Dziwny zapach. Co to jest?

Ani lekarstwo, ani choroba: opalizujący lakier, którym manikiurzystka pomalowała Helen palce u stóp.

Wes pomyślał, że chcąc budzić się każdego dnia, wmówił sobie mnóstwo rzeczy, które nie były prawdą. Czuł, jak niektóre jego przekonania kruszą się

niczym stary tynk – życie w Paryżu, chodzenie po ulicach z Helen w ramionach, zemsta na Didierze, nawet zauroczenie dr Delarche. Oczywiście, że wrócą do Stanów, do Kit, będą rozmawiać ze specjalistami, znajdą jakiś ośrodek, zabiorą Helen do domu, gdy tylko będą mogli, będzie ją odwiedzać Addie z aparatem na zęby i klarnetem oraz koledzy ze szkoły. Może już nigdy nie będzie chodzić. Ale jej ciało będzie trwać. Było popsute, ale istniało. Była ich do końca życia, a potem odziedziczy ją Kit. To właśnie Laura dostrzegą od pierwszego dnia i to ją załamało, i dopiero teraz zdejmowała sobie ten ciężar z jej piersi.

Helen malowała. To była prawda. Znał swój własny mózg, wiedział, co potrafi stworzyć, a czego nie. Spojrzał na żonę, którą kochał, którą tak bardzo pragnął przekonać, i poczuł, jakby skakał na główkę w sam środek szczęścia. To była cyrkowa sztuczka, ryzykowna. Szczęście to bardzo mały akwen. Trzeba się upewnić, czy brzeg jest bezpieczny.

1. W amerykańskim angielskim parter to „first floor”, czyli pierwsze piętro.

PODZIĘKOWANIA

Ogromne podziękowania należą się Henry'emu Dunowowi, Susan Kamil, Noah Eakerowi, Ann Patchett, Paulowi Lisicky'emu; American Academy w Berlinie, Radcliffe Institute for Advanced Study oraz Bogliasco Fellowship Program za cudowne wsparcie; redaktorom, którzy publikowali te opowiadania w czasopismach i antologiach, m.in. Johnowi Freemanowi, Robin Black, Adrienne Miller, Joyce Carol Oates, Geraldine Brooks, Allison Wright, W. Ralphowi Eubanksowi, a w szczególności Michaelowi Rayowi z „Zoetrope: All-Story”, który skłonił mnie do powrotu do krótkiej formy, zadając w odpowiednim momencie odpowiednie pytanie.

PRZEWODNIK DLA CZYTELNIKA

Rozmowa ANN PATCHETT z ELIZABETH MCCRACKEN

Ann Patchett jest autorką sześciu powieści i trzech książek non-fiction, a także laureatką wielu nagród, w tym brytyjskiej Orange Prize, PEN/Faulkner Prize czy Book Sense Book of the Year. Jej książki przetłumaczono na ponad trzydzieści języków¹. Mieszka w Nashville w stanie Tennessee, jest współwłaścicielką księgarni Parnassus Books.

Ann Patchett: Kim chciałaś zostać, gdy byłaś dzieckiem? Wiem, że to idiotyczne pytanie, ale i tak odpowiedz. Gdy byłaś w wieku Gusa czy Matyldy [dzieci Elizabeth mają w tej chwili osiem i sześć lat], miałaś jakąś wizję siebie w przyszłości?

Elizabeth McCracken: A wiesz, że nie wydaje mi się? Pamiętam, że jak byłam w czwartej klasie, chciałam zostać pierwszą kobietą prezydentem USA, ale myślę, że miało to więcej wspólnego z moim zamiłowaniem do rekordów świata i podręczników niż z pragnieniem służenia krajowi. Wydawało się, że to cel możliwy do osiągnięcia: na pewno zanim dorosnę i będę mogła startować (2001), świat będzie już gotowy na prezydenta kobietę. Gdybym była pierwsza, zostałabym uwieczniona w podręcznikach na zawsze.

Ogólnie byłam raczej przerażona przyszłością, ale chyba dlatego, że taka

była religia mojego dzieciństwa. Zaprzeczaliśmy przyszłości. Trzeba jak najlepiej działać w terażniejszości, która cię otacza.

AP: Bycie mocno wierzącym w terażniejszość wydaje się bardzo dobre dla twórcy opowiadań, zarówno ze względu na samą formę – ponieważ opowiadania koncentrują się na jednej chwili, w której wszystko się zmienia; mam na myśli wypadek Helen w *Gromie z jasnego nieba* czy morderstwo w *Juliet* – jak i samego pisarza oraz czytelnika. Powieści są takie zależne od przyszłości, zajmują tyle czasu, natomiast nawet jeśli jesteśmy przytłoczeni życiem, to i tak zazwyczaj potrafimy znaleźć chwilę czasu na opowiadanie, czy to, żeby je napisać, czy też żeby je przeczytać.

EM: Hm... Tak się nad tym zastanawiam i tak, tak sędzę, choć uwielbiam opowiadania, które wykorzystują czas w sposób powieściowy: wskakują w przyszłość albo wspinają się ku przeszłości. (Mam na myśli opowiadania Alice Munro czy Edwarda P. Jonesa). Na pewno uważam, że moje ostatnie opowiadania są skoncentrowane na terażniejszości, na zbiegu okoliczności, na wydarzeniu w sposób o wiele wyraźniejszy niż wcześniejsze: fabuły moich dawnych opowiadań skupiały się głównie na przeszłości. To nie wynika z decyzji artystycznej: na moje życie w tej chwili – i tak jest od jakichś dziesięciu lat – terażniejszość, zbieg okoliczności, wydarzenia wpływają w większym stopniu, niż miało to miejsce kiedyś. Zdecydowanie uważam, że zakończenia opowiadań dotyczą przyszłości, a zakończenia powieści zazwyczaj nie.

AP: Czy zdarza ci się myśleć, że chciałabyś napisać historię, która dzieje się w czasie rzeczywistym albo w której czas płynie do tyłu, albo która obejmuje bardzo długi okres? Ja nieustannie myślę o upływie czasu, gdy piszę powieści, mam obsesję na tym punkcie.

EM: Każda twoja powieść jest z punktu widzenia upływu czasu zupełnie inna, prawda? A mimo to każda jest bardzo wciągająca. Mnie się wydaje, że ja tak naprawdę nie rozumiem czasu w powieściach. Pędzę do przodu i tyle. Jeśli chodzi o opowiadania, inaczej odpowiadam sobie na to pytanie: „Tak”, „Nie”, „Kto to pamięta?”. Moje dawne opowieści często działały się w szerokiej perspektywie czasowej, głównie dlatego, że właśnie tym była dla mnie wtedy fabuła: upływem czasu. Nawet teraz nie wydaje mi się, że bym potrafiła napisać opowieść, w której najważniejsze rzeczy wydarzyłyby się w stosunkowo krótkim czasie: potrzebuję drzwiczek do przeszłości. Na pewno wiem, że potrafię w opowieściach posługiwać się punktem widzenia – a punkt widzenia to też pewnego rodzaju sposób na zaginanie czasu. Albo inaczej: to nie jest tak, że nie zrobiłabym czegoś takiego z punktem widzenia w powieści, ale zanim bym zaczęła, musiałabym wypracować jakąś filozofię dotyczącą właśnie punktu widzenia. A w opowiadaniu robię, co robię. Ta forma wydaje się bardziej elastyczna. Wiele lat temu Bruce Holbert powiedział mi, że trenowanie koszykarzy to głównie powtarzanie: „Nie, nie stój tak. Ładny rzut”. Z kwestiami technicznymi w opowiadaniach tak to według mnie wygląda. Nie interesuje mnie formalna perfekcja czy filozofia formy, ani nic takiego.

A z drugiej strony pracuję właśnie nad jednym opowiadaniem, które zaczęłam, bo chciałam napisać opowiadanie, które byłoby takie jakby na odwrót.

AP: I dlatego dobrze, gdy przyjaciółki robią z nami wywiady...

EM: Wspomnialiśmy, że się przyjaźnimy?

AP: Nie, nie wspomnialiśmy. To wszystko ustawka. Przyjaźnimy się od dawna. Ale to pomocne, bo przyjaciele wiedzą o rzeczach, o jakich

profesjonalni dziennikarze prowadzący wywiad nie mają pojęcia. Ja na przykład wiem, że trzy opowiadania z tego zbioru – *Coś cudownego*, *Terpsychora* i *Biuro rzeczy znalezionych metropolii bostońskiej* – były kiedyś rozdziałami powieści, nad którą pracowałam. Nic z niej nie wyszło, ale potrafiłam wykorzystać zapisane strony i stworzyć trzy ważne opowieści z gotowych postaci i sytuacji. Uważam, że to wspaniałe. To tak jakby powieść się paliła, a ty wbiegłaś w ogień i uratowałaś trzy historie. To wymagało mnóstwa przepisywania, więc zastanawiam się, jak to było, tak przemyśleć swoją własną pracę?

EM: To nie było takie trudne. A przynajmniej, patrząc z perspektywy czasu, nie przypominam sobie, żeby było. Pewnie cały czas chlipałam nad dymiącymi szczątkami powieści.

Sprawę ułatwiło mi to, że w przypadku pierwszego opowiadania szczątki wciąż jeszcze dymiły. Odłożyłam tę powieść na samym początku czerwca 2005 roku. Kilka dni później Michael Ray z magazynu literackiego „*Zoetrope: All-Story*” napisał do mnie maila i zapytał, czy nie miałabym jakiegoś opowiadania do ich jesiennego wydania. Och, pomyślałam, ktoś chce coś, co napisałam! Czułam się fatalnie, że porzuciłam powieść, więc uchwyciłam się tego: jak jestem w kiepskiej formie, to właściwie tylko praca może mnie podnieść na duchu. Wzięłam kawałek powieści i napisałam na tej podstawie opowiadanie. „Napisałam opowiadanie”, a nie „przerobiłam na opowiadanie”, bo zmieniałam przecież tak wiele, choćby narrację z trzeciej osoby na pierwszą, co (zawsze powtarzam studentom, którzy niefrasobliwie twierdzą, że zmienia się narrator) nie jest drobną poprawką. Wysłałam Michaelowi *Terpsychorę* 21 czerwca, zaakceptował ją następnego dnia i uratował moje zdrowie psychiczne.

Chyba cały rok zajęło mi potem napisanie drugiego opowiadania na ruinach powieści i kolejne dwa na napisanie trzeciego. Wydaje mi się, że

potrzebowałam tego czasu pomiędzy nimi. Nie potrafiłabym zrobić tego naraz. Próbowałam napisać czwarte, ale nie wyszło. Nadal jest pewien wątek z powieści, za którym chciałabym podążyć, ale gdybym to zrobiła, prawdopodobnie nawet nie zajrzałabym do tego, co już napisałam.

Tak ogólnie to uważam, że to był znak, że ta książka nie zadziałałaby jako powieść. Gdy mówię ludziom, że trzy opowiadania z *Gromu z jasnego nieba...* pochodzą z jednej, porzuconej powieści, próbują zgadnąć które. I nikomu się nie udaje. One nie mają wspólnych bohaterów czy czasu akcji. Są zupełnie inaczej skonstruowane. Dobra powieść nie rozpadłaby się tak łatwo.

AP: To byłaby świetna zabawa towarzyska, różne drużyny argumentowałyby, które trzy opowiadania McCracken były kiedyś elementami tej samej powieści. Czyli tak: opublikowałaś już dwa zbiory opowiadań, dwie powieści oraz wspomnienia i z tego, co się orientuję, spotkałaś się z powszechnym uznaniem na wszystkich frontach. Czy któraś forma najlepiej ci odpowiada? Czy to się zmienia z czasem i czy mogłoby zmienić się znowu?

EM: Och, na pewno nie z powszechnym uznaniem. Pamiętam każdy szczegół recenzji, które nie miały nic wspólnego z uznaniem.

AP: Dlaczego zawsze pamiętamy złe recenzje? Nie pamiętam niczego ze swoich dobrych recenzji, ale mogłabym wygłosić porywający monolog, cytując wszystkie złe.

EM: Mogłabym chyba słowo w słowo wyrecytować pierwszą moją recenzję, to było w „Kirkus”. Była mdła i bolesna.

Wracając do twojego pytania: teraz, gdy piszę na poważnie od ponad dwudziestu pięciu lat, uderza mnie, jak wiele się zmienia: proces pisania,

zainteresowania, zwyczajnie. Piętnaście lat temu myślałam, że już raczej porzuciłam pisanie krótkich form, ale to dlatego, że doszłam do granic tego, co na ich temat wiedziałam. Po piętnastu latach czytania i wykładania wymyślałam jednak parę nowych rzeczy, które mogę zrobić. Gdybyś w tym momencie powiedziała mi, że już nigdy nie napiszę powieści, ale będę mogła pisać i publikować opowiadania, tęskniłabym za powieścią, ale zaakceptowałabym taki układ. Tak mi się przynajmniej wydaje. A gdybyś powiedziała mi, że nigdy już nie napiszę żadnych wspomnień, uściskałabym cię i stwierdziła: „O, tak, strzeż mnie, panie Boże, przed wspomnieniami” – bo wolałabym nie mieć podstaw do ich spisywania. Ty chyba myślisz podobnie.

AP: Gorąco przytakuję.

EM: Gdyby życie dostarczyło mi materiału do kolejnych wspomnień – a mam nadzieję, że tak nie będzie – pewnie bym je spisała. Z całą pewnością napisałam tamtą książkę [*An Exact Replica of a Figment of My Imagination*] szybciej, z większą pewnością i z mniejszą liczbą poprawek niż cokolwiek innego. Czasem myślę o moim przyjacielu Joshui Cloverze, który powiedział mi kiedyś, gdy świetnie poszło mi w bilardzie, jak byliśmy razem na stypendium w Fine Arts Work Center: „Gdy coś idzie dobrze, ludzie zwykle uważają, że to znak, iż powinni kontynuować, ale czasem to było właśnie ich szczytowe osiągnięcie”.

Może kiedyś napiszę powieść z takim poziomem pewności (chodzi mi tutaj tylko o to, że jak skończyłam wspomnienia, wiedziałam, że na dobre czy na złe, taka właśnie jest ich ostateczna forma). A potem już nie napiszę żadnej.

A więc tak: to się zmienia i założę się, że jeszcze się zmieni.

AP: Miłe wspomnienie: kiedyś wyrzucono nas obie z baru za dyskusję na temat *Dziewięciu opowiadań* Salingera. To było zimą 1990 roku i byłyśmy na stypendium Fine Arts Work Center w Provincetown. Wpadłyśmy na drinka i dyskutowałyśmy, dyskretnie, jak mi się wydawało, które z tych dziewięciu opowiadań jest naszym ulubionym i jak tak książka (cud, nie książka) została skonstruowana. Piosenkarka z baru powiedziała nam przez mikrofon, żebyśmy spadały. To było cudowne! Zbiór opowiadań okazał się tak ważny, że można było wylecieć z baru za samo dyskutowanie o nim!

EM: To, jak nas wyrzucili z tamtego baru – wydaje mi się, że to był Townhouse – stanowi jedno z moich najszcześniejszych wspomnień z Provincetown. Pamiętam, że ta piosenkarka dziękowała nam przez mikrofon przez cały czas, gdy się zbierałyśmy: „Dziękuję, dziewczęta. Dziękuję. Dzięki, dziewczyny”. Powiedziałaś, że jest jak Julie London, nie miałam pojęcia, kto to. Uwielbiam tę książkę. To jest najlepszy poradnik pisania opowiadań, jaki znam.

I oczywiście w moim pierwszym zbiorze opowiadań jest historia, której tytuł nawiązuje do tamtego wieczoru. Kiedyś mijałyśmy tamten bar i powiedziałam: „Oto bar naszego niedawnego nieszczęścia”, a ty odpowiedziałaś: „To byłby dobry tytuł”, i zrobiłyśmy sobie wyścig, która pierwsza napisze pod takim tytułem. To chyba jedyny pisarski wyścig z tobą, jaki wygrałam, chociaż przyznaję, że ja pisałam wtedy opowiadania, a ty powieść, dla której byłby to wysoce niestosowny tytuł [*The Patron Saint of Liars*].

AP: Co prowadzi mnie do zapytania cię, jak złożyłaś ten zbiór opowiadań. Czy próbowałaś różnych konfiguracji? Czy chciałaś osiągnąć jakiś konkretny układ? Uwielbiam tytułowe opowiadanie z tego zbioru. Uwielbiam. Graniczy niemal z nowelą i z pewnością ma ciężar noweli. Historie takiej długości

bardzo trudno opublikować w pojedynkę. One faktycznie potrzebują książki. W którym momencie układania tego zbioru napisałaś *Grom z jasnego nieba*? Czy chciałaś mieć dłuższą opowieść w zbiorze? Wydaje mi się, że zawiera największy ładunek w tej kolekcji, zwłaszcza że znajduje się na samym końcu. Czy było tak, że przeczytałaś zbiór i pomyślałaś: tutaj czegoś brakuje, jakiegoś X, więc usiadłaś i napisałaś to X?

EM: Jesienią 2012 roku miałam semestralny urlop i pisałam dużo, intensywnie i w skupieniu. Gdy zaczęłam ostatnią rzecz, wiedziałam, że to będzie tytułowa opowieść i coś nieco odmiennego od pozostałych. Być może długość tej historii wynika z rozpędu: byłam doskonale wprawiona i skoro to był ostatni element, skoro zbliżał się już kolejny semestr, nie miałam po co odkładać twórczej energii na później. W każdym razie wiedziałam o tej historii mniej niż o innych z tego zbioru. Może rzeczywiście to bardziej nowela. Może (dla mnie) to najważniejsza różnica pomiędzy opowiadaniem a nowelą: ile wiem z góry. Jest trochę niewygodna. Byłam podekscytowana, gdy zgodzili się ją opublikować w „Story Quaterly”.

AP: A co z czynnikiem X?

EM: Nie wydaje mi się, żebym pisała opowiadania świadomie, myśląc, że ta książka potrzebuje tego albo tamtego, ale gdy dokonywałam selekcji, byłam dość bezlitosna. Wyrzuciłam jedno opowiadanie, bo było zbyt podobne do innego w tym zbiorze – w tych opowiadaniach dzieciom zagraża wiele niebezpieczeństw, ale uznałam, że jest pewien limit dzieci, którym mogę zrobić krzywdę w jednym tomie. Inne opowiadania po prostu nie wydawały się wystarczająco dobre. Jest jedno opowiadanie w moim pierwszym zbiorze, które według mnie nie należy do zbyt udanych (myślę, że wiesz które). Nie chciałam, żeby to się powtórzyło.

AP: Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Mnie się podobały wszystkie.

EM: W *Gromie z jasnego nieba i innych opowiadaniach* wybrałam najmniej realistyczną opowieść jako pierwszą, bo czytelnicy są najbardziej otwarci na pierwszych stronach książki, a przynajmniej ich oczekiwania są wtedy najbardziej elastyczne. Resztę ułożyłam tak, żeby było jak najbardziej różnorodnie.

AP: Nigdy nie pomyślałam o tym, że czytelnicy są najbardziej otwarci na początku książki! Co za użyteczna informacja i absolutnie przekonująca. Prowadziłam kiedyś rozmowę z Allanem Gurganusem (który dla nas obu, choć w innym czasie, był bardzo ważnym i ulubionym nauczycielem) i on powiedział, że zawsze należy wstawić kolor do pierwszego czy drugiego zdania opowiadania, bo to zachęca czytelnika do wizualizacji. Boże, odpowiedziałam, fajnie by było, jakbym się tego dowiedziała, jak miałam osiemnaście lat.

EM: Fascynuje mnie ostatnio koncepcja „hipnotyzowania czytelnika pierwszymi stronami”. Czy to znaczy, że jeśli na pierwszych stronach pojawia się na gzymsie kominka rewolwer, to jeszcze lepiej byłoby, gdyby był w kolorze fuksji?

AP: Właśnie tak.

Twoja książka została ostatnio nagrodzona Story Prize w kategorii „najlepszy zbiór opowiadań”. To wspaniała nagroda i jak najbardziej zasłużona. Cudowne jest to, że tak wielu autorów, których uwielbiasz, George Saunders, Steven Millhauser, Tobias Wolff, też było laureatami tej nagrody. To taki panteon mistrzów opowiadań. Co myślisz o nagrodach? Wiem, że wielu pisarzy ich nie lubi, krytykują konkurencję oraz subiektywność, jaka nieuchronnie wiąże się ze stwierdzeniem, że jakaś książka jest lepsza od

innej, ale jako współwłaścicielka księgarni uwielbiam nagrody. Dają mi powód, żeby znowu położyć *Grom z jasnego nieba i inne opowiadania* na wystawie z wielkim napisem: „Wygrała! Przeczytaj!”.

EM: Och, nagrody. Nie wydaje mi się, by jakikolwiek pisarz mógł stwierdzić, że nagrody to samo dobro albo że nagrody to samo zło. Właśnie skończyłam czytanie aplikacji na dwa programy MFA, na których prowadzę zajęcia, i wiem, jak sztuczne jest wybieranie pomiędzy jednym dziełem a innym, jak bardzo nasze odczucia wobec jakiegoś autora zmieniają się w zależności od pogody, pory dnia, pory posiłku. To loteria. Złe książki dostają nagrody, a wspaniałe zostają przeoczone, a coś, co wygrało w jednym roku, nie wygrałoby w następnym, to się nawet zmienia z dnia na dzień. Nie ma na razie automatów, które oceniałyby jakość literacką twórczości. I to dobrze.

Ale byłabym nieuczciwa, gdybym powiedziała, że Story Prize nie miała dla mnie ogromnego znaczenia. To pierwsza książka, jaką opublikowałam od czternastu lat. Wiedziałam, że decydując się na jej wydanie, wrzucam monetę do fontanny i wypowiadam życzenie, nie mając żadnej pewności, że cokolwiek się po tym początkowym „chlupnięciu” wydarzy.

AP: Wydarzyło się wiele dobrego. Ja wiem, że to jest książka, która była mi potrzebna.

1. W Polsce ukazały się dotychczas: *Asystentka magika* (2004), *Belcanto* (2005), *Biegnij* (2008), *Stan zdumienia* (2012) i *Taft* (2013).

O AUTORCE

ELIZABETH MCCRACKEN jest autorką pięciu książek, m.in. *The Giant's House* i *Niagara Falls All Over Again*. Pracowała jako bibliotekarka, prowadziła uniwersyteckie kursy kreatywnego pisania, obecnie wykłada literaturę na University of Texas w Austin. Otrzymała wiele nagród i stypendiów od licznych organizacji, w tym American Academy of Arts and Letters, Guggenheim Foundation, Radcliffe Institute for Advanced Study czy American Academy w Berlinie. Jest żoną Edwarda Careya, powieściopisarza i ilustratora.

elizabethmccracken.com

[@elizmccracken](https://twitter.com/elizmccracken)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Thunderstruck & Other Stories

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Paulina Rynkiewicz

Korekta: Ewa Kosiba

Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcie na okładce: © panproduct. (fotolia.pl), © victor zastol'skiy
(fotolia.pl)

Copyright © 2014 by Elizabeth McCracken

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE, an imprint of
ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Daria Kuczyńska-Szymala

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65506-35-1

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com